POLSKA – IZRAEL
Jak rozpętano wojnę dziesięciodniową

LASY RZĄDOWE
Szyszko odszedł, leśnicy zostali

KOŚCIÓŁ BEZ KROCHMALU
Rozmowa z papieżem Franciszkiem

SZYMON HOŁOWNIA
O szatańskich wersetach w Polskim Radiu

Kraków 18 lutego 2018 nr 8 (3580) cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

DANUTA SZAFLARSKA

Dziś jest pora na życie

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379425

REKLAMA

14.02 — 25.03.2018 www.noweepifanie.pl 14.02 — 25.03.2018

festiwal nowe epifanie 2018 teatr muzyka rozmowy film kulinaria edukacja festiwal nowe epifanie 2018

nowe Epifanie

a więc jesteś królem?

festiwal nowe epifanie 2018 teatr muzyka rozmowy film kulinaria edukacja festiwal nowe epifanie 2018

14.02 — 25.03.2018 www.noweepifanie.pl 14.02 — 25.03.2018

Patronat Honorowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy w roku 100-lecia
Odzyskania Niepodległości 1918–2018

Cykl koncertów pod patronatem
Jego Eminencji Ks. Kardynała Kazimierza Nycza
Arcybiskupa Metropolity Warszawskiego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Organizator

Partnerzy

Partnerzy wspierający

Patroni medialni

KS. ADAM

Boniecki: *To się nie opłaca*

W roku 1949 trafiliśmy z przyjaciółmi na zastanawiającą notatkę w czasopiśmie Akademii Nauk »Przyroda«. Pisano tam drobną czcionką, że nad rzeką Kołymą, w trakcie prac wykopaliskowych została znaleziona podziemna tafla lodu – zamarły, prehistoryczny potok – a w niej zamarznięte (kilkadziesiąt tysięcy lat temu) okazy fauny kopalnej. Ryby te, czy może płazy, zachowały się tak dobrze, wydawały się tak świeże – informował uczony korespondent – że obecni przy tym, po rozbiciu lodu, zjedli je zaraz z OCHOTĄ".

Tą notatką rozpoczyna się pierwszy tom „Archipelagu Gułag" Aleksandra Sołżenicyna. Owi „obecni przy tym" – wyjaśnia autor – należeli do „plemienia" zeków, które „samo jedno tylko było zdolne zjeść z OCHOTĄ płaza". Wygłodzeni do granic wytrzymałości zjadali to „tysiącletnie ścierwo", „mając za nic szlachetne cele ichtiologii". Dla wygłodzonego zeka argument o naukowych walorach znaleziska znaczył niewiele, skoro wabiło ono możliwością podtrzymania uchodzącego życia. Ten obraz znad Kołymy to symbol sytuacji, w których wartość wszystkiego mierzy się miarą możliwości zjedzenia i konsumpcji.

Podobnie jest z lasami. Weźmy puszczę, czyli las nigdy nie wycięty, który sam się odnawiał. Z konsumpcyjnego punktu widzenia taki las jest niepotrzebny. Potrzebne są „drzewostany klasy III i IV", „tyczkowiny", „drągowiny" – te można skonsumować. Na inne niż konsumpcyjne walory lasu wskazuje w tym numerze „Tygodnika" pisarz i przyrodnik Michał Książek w tekście „Szyszko odszedł, oni zostali". Jeden z jego fragmentów zatytułował „Lasy również dla poetów". Bo las (puszcza) to także wartości kulturalne, humanistyczne i humanitarne, które stanowią przecież, nieco dziś zapomniane, aspekty leśnictwa. Kto tego nie rozumie, powie pewnie: „I co z tego, że ludzie jadą z odległych stron świata, by oglądać Puszczę Białowieską, ostatni nizinny las Europy? Co z tego, że zachowały się tu okazy ginącej dziś fauny i flory, jeśli wycinany starodrzew można doskonale sprzedać?".

Perspektywa szybkiej maksymalizacji zysków działa jak narkotyk. Nasze problemy z Puszczą Białowieską są niczym wobec konsekwencji spustoszeń czynionych w lasach tropikalnych. Kiedyś fotografowałem sznur ciężarówek wywożących z lasów w Kamerunie ogromne, stare pnie na eksport, i ledwo zdołałem umknąć przed człowiekiem pędzącym, żeby mi przeszkodzić w robieniu zdjęć. Może nawet on nie miał czystego sumienia. Nie wiem, czy ktoś się upomina o niszczone puszcze kameruńskie i walczy o nie tak, jak my walczymy o Puszczę Białowieską.

Ale chodzi nie tylko o puszcze i lasy. W naszym świecie kryteria szybkiej konsumpcji i opłacalności odgrywają coraz bardziej decydującą rolę. Koszty kalkuluje się w stosunku do przewidywanych zysków. Czy opłaca się inwestować w zachowanie ginących gatunków jakichś tam insektów, owadów, ptaków, z których i tak nie ma wyraźnego pożytku? Albo wydawać pieniądze na konserwowanie zabytków przyrody? A po co odnawiać stare dwory i pałace, jeśli nie można w nich zrobić hotelu ze spa albo muzeum? Co za sens inwestować w poetów, z których nie wiadomo co wyrośnie? Albo dofinansowywać eksperymentalny teatr? A wydawanie ważnych książek, których nie sprzeda się na pniu? Czy łożyć pieniądze na poprawę stanu domów dla starców, którzy i tak nie wrócą do produkcji i te nakłady się nie zamortyzują? Czy NFZ ma refundować sztuczne szczęki i kosztowne medyczne zabiegi staruszkom – toć oni i tak niebawem umrą.

Pytanie brzmi: inwestować w produkcję drewna czy w puszczę? Człowiek w krańcowej sytuacji, żeby dzieciom kupić chleb, sprzeda rodzinne precjoza przechowywane przez poprzednie pokolenia. A jeśli sytuacja nie jest krańcowa? Pisał o tym, w formie modlitwy, Franciszek w encyklice „*Laudato si*": „Ojcze ubogich (...) Dotknij serc tych, którzy szukają jedynie zysków kosztem ubogich i ziemi. Naucz nas odkrywania wartości każdej rzeczy, kontemplowania w zadziwieniu, uznania, że jesteśmy głęboko zjednoczeni z każdym stworzeniem w naszej pielgrzymce ku Twej nieskończonej światłości". ©℗

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIA Z KS. ADAMEM BONIECKIM

KRAKÓW REKOLEKCJE NA POCZĄTEK WIELKIEGO POSTU
14–17 lutego, bazylika św. Floriana, ul. Warszawska 1b
środa – godz. 18.30 msza św. i konferencja
czwartek, piątek, sobota – godz. 9 i 18.30 msza św. i konferencja

SPOTKANIE W RAMACH CYKLU SALON „ALL IN UJ"
środa, 28 lutego – godz. 18, Auditorium Maximum, ul. Krupnicza 33
Informacje o zapisach znajdą Państwo na: **www.powszech.net/wydarzenia**

MSZE ŚW. I SPOWIEDŹ:

Msze św. – kościół zgromadzenia marianów na Stegnach (ul. Bonifacego 9, Warszawa), soboty godz. 18, niedziele godz. 8.30.
Spowiedź – bazylika św. Floriana (ul. Warszawska 1b, Kraków), wtorki godz. 18-19.

Kontakt ws. organizacji spotkań z ks. Adamem Bonieckim: kuczminska@tygodnik.com.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Koniec buntu rezydentów
MACIEJ MÜLLER

6-11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Wojna dziesięciodniowa
ANDRZEJ STANKIEWICZ: *Rząd na ścieżce wojennej z Izraelem i USA*

26 Nie możemy zmieniać historii
ROZMOWA Z NAFTALIM BENNETTEM, MINISTREM EDUKACJI IZRAELA

29 Jak dziarscy chłopcy Andrzeja Dudę zagrzewali
KALINA BŁAŻEJOWSKA

■ ■ WIARA

32 Kościół bez krochmalu
ROZMOWA Z PAPIEŻEM FRANCISZKIEM: *Nikt nie może mieć wiary sam z siebie*

37 Na miejscu Boga
SZYMON HIŻYCKI OSB: *Pierwsza część rekolekcji z Ojcami Kościoła*

38 Popielcowa Środa kochanków
PIOTR SIKORA

40 Słudzy diabła i fałszywi prorocy
SZYMON HOŁOWNIA *o szatańskich wersetach w Polskim Radiu*

43 List z Lasek
S. MARIA KRYSTYNA ROTTENBERG: *Podczas debaty nad ustawą o IPN przegraliśmy moralnie*

■ ■ ŚWIAT

44 O czym śni Kosowo
AGNIESZKA ROSTKOWSKA: *Mija 10. rocznica ogłoszenia niepodległości*

47 Mikrokosmos w zawieszeniu
MACIEJ MACHCEWICZ *o rozdartej Albanii*

KRYSTIAN MAJ / FORUM

■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Szyszko odszedł, oni zostali
MICHAŁ KSIĄŻEK

Ostatnie miesiące przyniosły wielkie szkody nie tylko polskim lasom, ale też polskiemu leśnictwu. Po co nam takie?

Las jest dla leśnika tylko „drzewo-stanem": magazynem drzew. A na mapie – wydzieleniem, powierzchnią w pododdziale, z określonym numerem i literką: 338Ab.

16 W lasach rządzi korporacja
ROZMOWA Z PROF. JERZYM SZWAGRZYKIEM, LEŚNIKIEM

Sytuacja finansowa Lasów Państwowych jest zbyt dobra w stosunku do reszty kraju. Ich przywileje są nieuzasadnione.

■ DODATEK ■

Festiwal Nowe Epifanie

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER
76 JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: DANUTA SZAFLARSKA
Fotografia: BOHDAN MAJEWSKI / FORUM
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

50 Pekin nie dla wszystkich
ULA IDZIKOWSKA

53 Pomysły o. Antoine'a
KATARZYNA STAŃKO: *Francuscy jezuici i integracja uchodźców*

■ ■ HISTORIA

54 Kto pomagał, kto zabijał
ANTONI SUŁEK: *Prowincja, okupacja, Żydzi i Polacy. I opowieść o bohaterstwie oraz draństwie*

57 Wołyńska Atlantyda
WOJCIECH PIĘCIAK *o książce „Rzeczpospolita Krzemieniecka albo Nowe Ateny Wołyńskie"*

■ ■ NAUKA

58 Pierwsi rolnicy
JAKUB MEJER: *Rewolucja agrarna nie przypominała rewolucji*

■ ■ KULTURA

64 Dziewczyna na huśtawce
KATARZYNA KUBISIOWSKA: *Dla Szaflarskiej zabawa zaczęła się w dziewiątej dekadzie życia*

70 Łazik z Mauthausen
GRZEGORZ BOGDAŁ *o książce „Pięć lat kacetu" Stanisława Grzesiuka*

72 Przyzwoitość, głupcze!
JAKUB MAJMUREK: *„Czwarta władza", najnowszy film Stevena Spielberga*

74 Cudowna i pożyteczna
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Kształt wody" Guillermo del Toro*

75 Warto zobaczyć w TV

76 Głos bezimiennych
LEKTOR *o książce „Deportowani z życia"*

■ ■ ZMYSŁY

78 Skala Kurtyki
BARTEK DOBROCH: *Osiągnął w górach wszystko, ale wielkie wyprawy porzucił nieodwołalnie*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem Ⓟ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Minister zdrowia Łukasz Szumowski i przedstawiciele PR OZZL: Łukasz Jankowski, Krzysztof Hałabuz i Jarosław Biliński, Warszawa, 8 lutego 2018 r.

ANDRZEJ HULIMKA / REPORTER

Koniec buntu rezydentów

MACIEJ MÜLLER

Kiedy w październiku 2017 r. rezydenci zaczynali protest, pilnowali, by na ich sztandarach znajdowało się nie hasło podwyżek, ale zwiększenia nakładów państwa na system ochrony zdrowia (do 6,8 proc. PKB w 2020 r., obecnie to 4,7 proc.). Czyli „za wolność naszą i waszą". Bo dofinansowanie systemu, poza wzrostem płac, oznacza skrócenie kolejek, lepszą wycenę świadczeń itp. Rezydenci podkreślali, że protestują dla dobra swoich pacjentów.

Dzięki takiemu podejściu młodzi lekarze zdobyli sympatię społeczną, potwierdzaną w sondażach, w wielu miastach wychodziły na ulice popierające ich manifestacje. W plebiscycie „Słowo roku 2017" zwyciężył „rezydent". Temat działania systemu ochrony zdrowia zajął należne mu miejsce w debacie publicznej. Akcja wypowiadania klauzul opt-out (czyli zgody na pracę więcej niż dopuszczalne prawem 48 godzin tygodniowo) spotkała się ze sporą akceptacją – głównie ze względu na przekonującą narrację rezydentów, że przemęczony lekarz jest niebezpieczny dla pacjenta. Środowisko lekarskie uznało tę akcję za środek, który wymusi na rządzie reakcję, ponieważ sparaliżuje pracę szpitali.

8 lutego media obiegło zdjęcie uwieczniające chwilę, w której przywódcy rezydentów wręczają ministrowi zdrowia Łukaszowi Szumowskiemu znaczek z logo swojej organizacji, Porozumienia Rezydentów OZZL. Po czterech miesiącach protestu podpisali porozumienie – nazywając je sukcesem. Udało się wywalczyć podwyżki, choć dalekie od postulowanych; a jeszcze dodatkowe kilkaset złotych będzie można dostać za podpisanie zobowiązania do odpracowania dwóch lat w Polsce. Zamiast 6,8 proc. PKB do 2020 r. będzie 6 proc. do 2024, ponieważ „przyjmujemy do wiadomości realia budżetu", jak powiedział jeden z lekarzy.

Tylko dlaczego wobec tego rezydenci jesienią zbierali podpisy pod obywatelskim projektem (swojego autorstwa!) zwiększającym nakłady na zdrowie do 6,8 proc. PKB w ciągu trzech lat? Czy wtedy nie należało się liczyć z realiami budżetu? I dlaczego jeszcze 22 stycznia na Twitterze PR OZZL można było przeczytać: „Najważniejsze jest dla nas szybkie zwiększenie nakładów na ochronę zdrowia, czyli 6,8 proc. w trzy lata"? Największe zaskoczenie wywołał apel do lekarzy, który padł z ust rezydentów, a nie ministra, by dla dobra pacjentów, jeśli czują się na siłach... „pracowali więcej".

Dlaczego rezydenci zaczęli mówić językiem rządu? Kluczowa wydaje się zmiana ministra. Konstanty Radziwiłł traktował młodych lekarzy wyniośle. Łukasz Szumowski podszedł do nich z szacunkiem, chwalił ich zdolności negocjacyjne. I najwyraźniej zdobył ich zaufanie na tyle, że zrezygnowali ze wszystkich swoich postulatów. Po tym porozumieniu lekarzom trudno będzie zdobyć poparcie społeczne: walczyli o dobro wspólne, wywalczyli podwyżki dla siebie. Po raz kolejny okazało się, że dobrem pacjenta można podpierać zupełnie przeciwstawne postulaty. A hasło rezydentów „jeden lekarz – jeden etat" pobrzmiewa teraz trochę jak sławetne „nie oddamy nawet guzika". ©℗

Czytając dyrektor Bugałę

MAREK RABIJ

Nie da się ukryć", że krótka, ale burzliwa kariera Ewy Bugały (prowadzącej do niedawna w TVP Info program pod takim tytułem) na stanowisku dyrektor biura komunikacji PKN Orlen przejdzie do historii polskiego *public relations*.

W ubiegły piątek pani Ewa poinformowała na Twitterze, że wskutek „bezprecedensowej, brutalnej" nagonki rezygnuje z etatu w największej polskiej firmie paliwowej, której chciała służyć swym siedmioletnim doświadczeniem dziennikarskim. Wcześniej pogroziła prawnikami każdemu, kto podważy jej „kompetencje i wizerunek", by tuż potem zapewnić, że umiejętności dowodzić będzie jednak nie w sądzie, lecz w pracy. Od 8 do 9 lutego Orlen miał więc rzecznika zajętego głównie samym sobą – i to w momencie, gdy po zmianie zarządu wartość firmy na giełdzie spadła o 2 mld zł.

Czytając Ewę Bugałę na Twitterze, trudno było pozbyć się również wrażenia, że ktoś w Orlenie lepiej obeznany w meandrach PR najpierw poradził pani dyrektor komunikacji, by zmieniła jej styl, a potem być może szepnął też firmowym decydentom, by przerwali tę komedię omyłek. W wielu spółkach kontrolowanych przez Skarb Państwa zarządzanie od lat (nie jest to wyłącznie efekt uboczny „dobrej zmiany") odbywa się właśnie na dwóch płaszczyznach. W gabinetach zarządów nominaci z partyjnymi paliuszami pilnują politycznych konfitur, a bieżącą działalność zostawiają podwładnym drugiego i trzeciego szczebla, którzy co prawda nie występowali nigdy w Wiadomościach, ale za to znają się na swojej robocie. ©℗

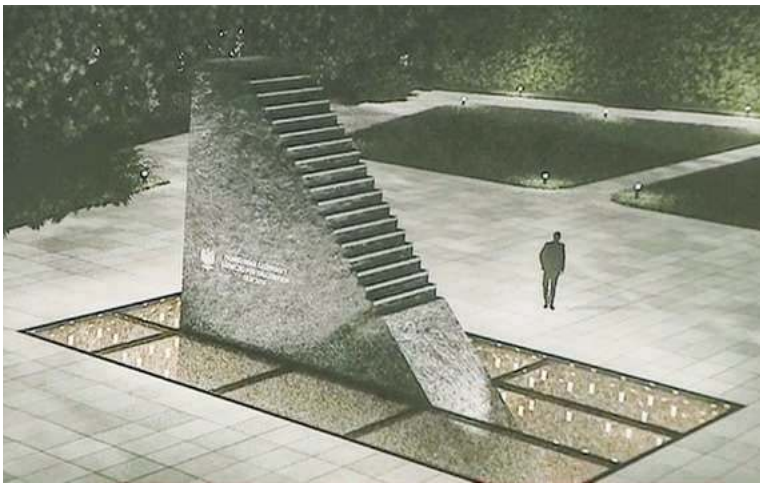

TVP.INFO

POMNIK ofiar katastrofy smoleńskiej według projektu Jerzego Kaliny stanie na pl. Piłsudskiego – właśnie ruszyły prace przygotowawcze. Jacek Sasin z komitetu budowy zapowiedział, że będzie gotowy na 10 kwietnia, podczas gdy drugi pomnik – Lecha Kaczyńskiego – powinien pojawić się obok do listopada. PiS wybrał to miejsce, zamiast postulowanej wcześniej lokalizacji na Krakowskim Przedmieściu, ponieważ dzięki wybiegowi prawnemu udało się wyjąć plac spod gestii władz miasta. Warszawski samorząd chce podważyć w sądzie decyzję wojewody, a politycy PO grożą, że w razie ich powrotu do władzy oba pomniki mogą zostać zlikwidowane. ©℗

Dajcie dzieciom spokój

TO JEDYNIE OŚWIADCZENIE, tylko o zasięgu lokalnym. A jednak głos warmińsko-mazurskiego wicekuratora oświaty wart jest zastanowienia. Wojciech Cybulski napisał do nauczycieli, że zadawanie prac domowych na weekendy skutkuje często fizycznym i psychicznym przeciążeniem dzieci. „Ogranicza także czas, który uczniowie powinni poświęcić na odpoczynek, rozwijanie zainteresowań czy spotkania z rodziną" – dodawał. Ten głos to potwierdzenie smutnych diagnoz. Raport Instytutu Badań Edukacyjnych pokazał np., że polski 15-latek siedzi w domu nad książkami o dwie godziny tygodniowo dłużej niż przeciętnie w krajach OECD. W sprawie przeciążenia uczniów wypowiadał się też – pisząc m.in. listy do MEN – rzecznik praw dziecka Marek Michalak. ©℗ PW

W autobusach i tramwajach: drobna rzecz, a cieszy

„AKTY KSENOFOBII, agresji i odrzucenia są sprzeczne z demokratycznymi wartościami wyznawanymi w naszym kraju i mieście", oświadczył dyrektor MPK w Legnicy po tym, gdy kierowca odmówił wyproszenia z autobusu (na żądanie innej podróżnej) pasażerki w burce. Po tym zdarzeniu zajrzeliśmy na facebookowe portale z ogłoszeniami zamieszczanymi przez pasażerów – jest tam sporo przykładów rozsądku, zabawy, dobrych uczynków i drobnych, miłych gestów. Oto kilka:

- **POZDRAWIAM** najmocniej i dziękuję dziewczynie, która zapukała w szybę tramwaju nr 4, żebym nie spała. Inaczej bym przejechała miliard przystanków (Kraków).
- **SZUKAM** pana z oczami pomalowanymi na czarno, który chciał pieniądze na wino i podawał się za Śmierć (Lublin).
- **CHCIAŁABYM** podziękować pani motorniczej z tramwaju linii 14, która uratowała małego czarnego pieska. Błyskawicznie zatrzymała tramwaj, wyszła do wilczurka, pogłaskała go i przeprowadziła przez ulicę. Piesek z radości zaczął merdać ogonkiem. Po chwili do pieska dobiegli właściciele (Wrocław).
- **W NOCY** z 29 na 30 XI dwie dziewczyny pomogły mi wsiąść do autobusu po 2 godzinach na przystanku Stradom. Chciałem im serdecznie podziękować i miło by było usłyszeć, co ja tam ogółem robiłem (Kraków).
- **CHCIAŁBYM** zdobyć kontakt do dziewczyny, z którą rozmawiałem o majonezie kieleckim w autobusie nr 240, o godzinie 00:35 (Wrocław).
- **POZDRAWIAM** piękną, młodą kobietę, która dnia 10.02.2018 o godz. 8 jechała tramwajem nr 12 w kierunku mostu Teatralnego. Miałaś... dobra, koniec tego! Poszukuję pilnie osoby, która pomogłaby mi przygotować się do poprawy kolokwium z matematyki. Zapłacę (Poznań). ©℗ ŻYM

Czy zmienią się zasady naliczania nadgodzin?

WYNAGRODZENIE za przepracowane nadgodziny (maksymalnie 168 godzin) trafi na konto powiernicze, skąd wypłacane będzie pracownikowi w określonych sytuacjach, np. w obliczu załamania koniunktury lub sezonowej zmiany popytu na pracę – to chyba najbardziej kontrowersyjna z propozycji ministerialnej Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Pracy, która od ponad roku pracuje nad nowym kodeksem pracy. W projekcie przewidziano np., że wypłaty nadgodzin będą konsultowane ze związkami zawodowymi, nie wiadomo jednak, jak przepis będzie działać w firmach, w których związki zawodowe nie funkcjonują. Kolejna wątpliwość: czy w ogóle można precyzyjnie zdefiniować takie sytuacje jak „załamanie popytu" czy „sezonowe zmniejszenie zapotrzebowania na pracę"? Projekt na razie nie przynosi też odpowiedzi na pytanie o to, czy pracownicy będą mogli współdecydować o tym, w co zostaną zainwestowane pieniądze zgromadzone na kontach powierniczych – bo ustawodawca chce dać takie prawo pracodawcom. ©℗ MR

Himalaiści doszli do ściany

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Najpierw wywiady, konferencje, pożegnanie w świetle kamer. Potem analizy: przewidywanej taktyki, pogody, „życia codziennego" w bazie („Dziś oglądaliśmy skoki" – informował kierownik Krzysztof Wielicki). Jeszcze później doniesienia o akcji ratunkowej pod Nanga Parbat. I pytania: czy akcja zakłóci plany? Nie zakłóci? Wreszcie zeszłotygodniowa kulminacja (?) tego medialnego wzmożenia. Z informacją, że reporter TVP Sport – uprzednio wytrenowany, a nawet podhartowany działaniem komory niskotlenowej – udaje się pod K2, by relacjonować postępy wyprawy. Oraz z zajściem na antenie TVP Info: dziennikarka zapytała kontuzjowanego dopiero co Rafała Fronię, „jak się czuje", ten w pierwszym odruchu odparł, że „do dupy", w drugim zaś napomniał: „Dajcie nam spokój!".

Czy ta otoczka polskiej wyprawy na K2 – stawiającej sobie za cel zdobycie ostatniego niezdobytego zimą ośmiotysięcznika – to kolejny dowód, że media oszalały? Nic podobnego: dziennikarze weszli po prostu z kamerami tam, gdzie ich zaproszono. A zaproszenie przyszło – nie dziś i nie wczoraj (np. wyprawa „Netia K2 Expedition", czyli poprzedni szturm góry z zimy A.D. 2002/03, była wielkim medialno-marketingowym przedsięwzięciem) – od samych himalaistów, którzy zobaczyli w tym szansę na dotarcie do sponsorów. Jeśli więc część środowiska himalaistów doszła dziś w tym mariażu ze światem mediów do ściany, to w dużej mierze na własne życzenie.

Wyjściem z kłopotliwej sytuacji jest zdobycie K2: efektem byłoby wyczerpanie się najbardziej spektakularnych, a przez to medialnych górskich celów w Himalajach i Karakorum. Trzymamy kciuki! ©℗

DENIS URUBKO / POLSKI HIMALAIZM ZIMOWY

W SKRÓCIE

MUSIMY ODRZUCAĆ. „Dziś wrogowie Polski, można powiedzieć, że dzisiaj diabeł podpowiada nam pewną bardzo niedobrą receptę, pewną ciężką chorobę duszy, chorobę umysłu – tą chorobą jest antysemityzm. Musimy go odrzucać, zdecydowanie odrzucać. Ale to nie oznacza, że mamy przyznać rację tym – wszystko jedno, czy to Żydzi, czy Polacy, bo Polacy niestety też często dzisiaj obrażają swój własny kraj" – powiedział Jarosław Kaczyński.

HUCPIARSKA TRADYCJA. Ośmieleni przez prezesa PiS, odrzucamy więc i nie przyznajemy racji słowom prof. Andrzeja Zybertowicza, który powiedział w wywiadzie dla „DGP", że Żydzi nie rozliczyli się ze swoją pamięcią o własnych kolaborantach i szmalcownikach, a ich brutalne rozprawianie się z Palestyńczykami to też odreagowywanie za „pójście jak owce na rzeź". „Wcześniej doznali traumy upokorzenia, a teraz – może zgodnie ze swą hucpiarską tradycją – to odrabiają" – uważa doradca prezydenta RP.

DOBRA RADA. W skład rady Muzeum II Wojny Światowej weszli m.in. Sławomir Cenckiewicz, Piotr Semka, Marek Chodakiewicz i duszpasterz kibiców ks. Jarosław Wąsowicz. Niezłym pomysłem wydaje się w tym kontekście powołanie do rady Narodowej Galerii Sztuki „Zachęta" b. posła Witolda Tomczaka, który poznał tę placówkę podczas wizyty na jednej z wystaw w 2000 r., i wsparcie Muzeum Literatury przez posła Andrzeja Melaka, który zażądał dopisku w „Medalionach", tłumaczącego, że użyta przez Nałkowską fraza „polskie obozy śmierci" dotyczy obozów niemieckich.

WOŁANIE NA PUSZCZY. Kontynuowalibyśmy dalej w tym duchu, ale przeczytaliśmy oświadczenie Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej w związku z „falą kłamliwych ataków i jawnych oszczerstw" pod adresem dyrektora Muzeum Auschwitz. Rada ma rację: kłamstwa powielane na forum publicznym sieją zamęt, uderzając nie tylko w konkretnych ludzi, ale także w fundament wspólnoty ludzi dobrej woli z Polski i całego świata.

SERGEY DOLZHENKO / EPA / PAP

Także Kijów krytykuje polską ustawę

NOWELIZACJA PRZEPISÓW O IPN wywołała zmasowaną krytykę nie tylko w Izraelu, ale – co pozostaje w Polsce mniej widoczne – również na Ukrainie. W nowym brzmieniu dokumentu znalazły się bowiem słowa o „zbrodniach ukraińskich nacjonalistów i członków ukraińskich formacji kolaborujących z Trzecią Rzeszą Niemiecką", popełnionych w latach 1925-50, które *de facto* zrównano ze zbrodniami nazistowskimi i komunistycznymi. Oficjalnie Kijów zareagował wprawdzie z opóźnieniem, bo dopiero po głosowaniu w Senacie i po krytyce ze strony Izraela oraz Stanów Zjednoczonych. Jednak głos w sprawie polskiej ustawy zabrali wszyscy najważniejsi politycy ukraińscy, a temat ten przez kilka dni był jednym z najczęściej obecnych w tamtejszych mediach. Prezydent Poroszenko uznał zapisy ustawy za „absolutnie nieobiektywne i kategorycznie nieakceptowalne". Nadzwyczajną uchwałę przyjęła Rada Najwyższa, w której „z głębokim rozczarowaniem i zaniepokojeniem" stwierdzono, że Warszawa podważa dialog i wolność akademicką, oraz wyrażono obawy, że konsekwencją może być wzrost tendencji antyukraińskich w społeczeństwie polskim. Natomiast ukraiński IPN zawiesił swój udział w Polsko-Ukraińskim Forum Historyków, uznając, że zmniejszyła się przestrzeń do dyskusji i wręcz zagrożone zostało bezpieczeństwo badaczy ukraińskich. Były też protesty przed polskimi placówkami dyplomatycznymi (na zdjęciu: przed ambasadą w Kijowie). Relacje polsko-ukraińskie widziały w ostatnich latach już większe i mniejsze spory. Ale dziś po raz pierwszy nad Dnieprem nie słychać żadnych głosów, które wyrażałyby zrozumienie dla decyzji polskich władz. ©

WOJCIECH KONOŃCZUK

Berlin: nowy rząd, nowe niewiadome

WOJCIECH PIĘCIAK

Polscy dziennikarze specjalizujący się w tematyce Niemiec – Jerzy Haszczyński z „Rzeczpospolitej" i Bartosz Wieliński z „Gazety Wyborczej" – ocenili w minionym tygodniu umowę koalicyjną, którą uzgodnili wreszcie chadecy i socjaldemokraci, partnerzy nowego-starego rządu Angeli Merkel. Obaj doszli do optymistycznych wniosków, choć różnie rozłożyli akcenty. Haszczyński uznał, że jest ona korzystna dla Polski (która „okazała się partnerem o szczególnym znaczeniu" i „wraz z Niemcami i Francją będzie tworzyć strategię" Unii); Wieliński był mniej entuzjastyczny, ale akcentował dobrą wolę Berlina („Jest tak źle, że Niemcy chcą zacząć wszystko od nowa").

Fakt: trzeba dużo złej woli, by interpretować na niekorzyść Berlina płynące stąd sygnały, świadczące o gotowości do zaczynania od nowa. Z kolei w Polsce nowy premier i szef MSZ też sygnalizują, że chcą nowego początku.

Tyle tylko, że na drodze stanąć mogą tu nie tylko warszawskie realia (polityka kontynuacji) i stare okoliczności (np. Nord Stream 2 – w Niemczech brak już tylko zgody jednego urzędu, by skompletować formalności związane z budową gazociągu na odcinku niemieckim, lądowym i morskim). Idei nowego początku może zagrozić też to, co jest coraz bardziej widocznym obciążeniem dla powstającego rządu: partnerzy starej-nowej koalicji wchodzą do niej słabi, skoncentrowani na sobie, jakby bez energii.

Dodatkowo, SPD tonie w personalnym chaosie. Gdy Haszczyński i Wieliński pisali swe analizy, szefem berlińskiego MSZ miał zostać planowo Martin Schulz: krytyk PiS, ale jeszcze bardziej krytyczny wobec Rosji. Jednak już dzień-dwa później Schulz miał dość presji oponentów we własnej partii i zrezygnował na koniec ze wszelkich funkcji. Teraz wiadomo, że MSZ pokieruje socjaldemokrata. Ale kto? Czy znów Sigmar Gabriel (uczeń Gerharda Schrödera, dziś rosyjskiego lobbysty)? Czy może – co jest bardziej realne po tym, jak Gabriel dał upust ego i w wywiadzie prasowym wulgarnie wyszydził Schulza – jakiś nowicjusz, skierowany na odcinek zagraniczny z partyjnego rozdania?

Obie opcje są kiepskie. Pozostaje nadzieja, że nowa-stara kanclerz nie będzie na tyle osłabiona i znużona, by zrezygnować z decydującego głosu przynajmniej w tych kluczowych sprawach polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, w których – mimo wszelkich różnic – interes Berlina i Warszawy może być wspólny. ©℗

Przestańmy stawiać chore budynki

25 MILIONÓW DNI ROBOCZYCH – takie straty ponosi rocznie brytyjska gospodarka z powodu tzw. zespołu chorego budynku. W 1987 r. WHO określiła listę wiążących się z nim dolegliwości: to podrażnienie spojówek i błon śluzowych nosa, bóle głowy, przemęczenie i duszności. Specjaliści medycyny pracy mówią też o obniżeniu koncentracji i większej drażliwości. Już w latach 80. XX w. zaobserwowano, że objawy te występują nieproporcjonalnie często u ludzi pracujących w nowoczesnych biurowcach. W rzadko czyszczonych systemach wentylacyjnych rozwijają się bakterie i pleśnie, rozprowadzane przez nawiew. Do tego dochodzi nadmierna szczelność budynków, co sprzyja gromadzeniu się dużych ilości dwutlenku węgla. Wyliczenie cech „chorego" budynku jest dziś proste, mimo to niełatwo zaprojektować „zdrowy". Brytyjscy architekci zwracają uwagę, że wprawdzie wentylacja i ogrzewanie muszą spełniać standardy, ale nie podlegają im inne elementy projektu, jak ekspozycja na światło słoneczne. A dobre na papierze założenia mogą nie działać w przypadku budynku stawianego np. w środku zatłoczonego miasta. Projektanci i pracownicy ochrony zdrowia zwracają uwagę na konieczność spójnych przepisów, które zapobiegną budowaniu kolejnych „chorych budynków". ©℗

MAM

PEXELS.COM

Korea: odwilż w cieniu igrzysk

ZDJĘCIE zrobione w Pjongczangu podczas otwarcia zimowej olimpiady obiegło świat: na pierwszym planie wiceprezydent USA Mike Pence, a za nim – lekko uśmiechnięta pani Kim Yo-jong. Siostra dyktatora Korei Północnej Kim Dzong Una przybyła na igrzyska, podczas których drużyny obu Korei występują pod wspólną flagą [patrz tekst w poprzednim „TP" – red.], aby przekazać prezydentowi Korei Południowej zaproszenie od brata do odwiedzenia Północy (jeśli do niego dojdzie, byłoby to dopiero trzecie spotkanie liderów obu państw od ich powstania ponad 70 lat temu; poprzednie odbyły się w 2000 i 2007 r. z udziałem ojca obecnego przywódcy). Jakby tej sensacji było mało, Pence powiedział towarzyszącym mu dziennikarzom „Washington Post", że USA są gotowe do bezpośrednich rozmów z Północą bez warunków wstępnych (wcześniej odmowa takich rozmów była zasadą polityki USA). Pence zaznaczył, że USA nadal chcą wywierać przez sankcje nacisk na Pjongjang, ale „jeśli jest chęć rozmowy, będziemy rozmawiać". ©℗ WP / FAZ, DPA

Japonia: sumo na ostrym zakręcie

KAZUHIRO NOGI / AFP / EAST NEWS

„NASZYM CELEM jest utrzymanie sumo przy życiu" – mówi Keiichi Tadaki, szef komisji wyjaśniającej nieprawidłowości, którymi dotknięty jest narodowy sport Japończyków. Impulsem do jej powołania były zdarzenia pogrążające i tak nadszarpnięty obraz sumo w Japonii. Zaczęło się jesienią 2017 r., gdy Wielki Mistrz Harumafudżi podczas libacji pobił swego niższego rangą mongolskiego krajana. Potem główny sędzia sumo został oskarżony o molestowanie seksualne. Z kolei na policję wpłynęło zawiadomienie od zawodnika, nad którym mieli się znęcać starsi koledzy. Nie było więc zaskoczenia, gdy para cesarska, wyłamując się z tradycji, zrezygnowała z obecności na turnieju noworocznym w Tokio. Wreszcie, kilka dni temu, zawodnik z Egiptu spowodował wypadek samochodowy, nie mając prawa jazdy...

Jeszcze niedawno zdawało się, że tracący popularność sport odzyska dawny blask. Wielu Japończyków ma ambiwalentny stosunek do mongolskich zawodników, którzy ostatnio zdominowali sumo. Po 20 latach pojawił się wreszcie japoński mistrz Kisenosato. Mniej mówiło się też o patologiach nagłośnionych 10 lat wcześniej, gdy młody zawodnik został zakatowany na śmierć przez kolegów. Dochodzenie wykazało, że przemoc wobec młodszych rangą jest tu powszechna. Inne zarzuty dotyczyły ustawiania pojedynków czy kontaktów z mafią.
Nie będzie łatwo o zmiany w świecie, żyjącym według swych reguł. Szansą może być też postawa Takanohany: ostatni z wielkich japońskich mistrzów (na zdjęciu) wystąpił przeciw własnemu środowisku i domaga się reform. ©
PIOTR BERNARDYN z Tokio

Syria: armia USA zabiła kilkuset Rosjan?

JUŻ PIERWSZE WIEŚCI o tym wydarzeniu, którego przebieg wciąż jest zagadką (i może taką zostanie, jeśli Kreml i Biały Dom zgodnie uznają, że lepiej milczeć), były sensacyjne. Choć wpisywały się w syryjską codzienność i trend, jakim jest dominacja zewnętrznych sił w tej wojnie. Oto w minionym tygodniu agencje podały, że we wschodniej Syrii armia USA – samoloty, helikoptery, artyleria – zniszczyły duże zgrupowanie „proasadowskiej milicji" (tak to formułowano). „Milicja" – twierdzili Amerykanie – atakowała bazy Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF), była to więc samoobrona. SDF to milicje kurdyjskie i arabskie, walczące z tzw. Państwem Islamskim, a wspierane przez kilka tysięcy Amerykanów stacjonujących w Syrii. Mowa była o stu zabitych „milicjantach". Agencje odnotowały, że to pierwszy przypadek, gdy żołnierze USA starli się z „siłami proasadowskimi" na taką skalę.
Tymczasem kilka dni później w rosyjskim i ukraińskim internecie pojawiły się twierdzenia – wsparte relacjami osób przedstawianych jako ocaleni z bitwy – że zniszczone zgrupowanie tworzyli tzw. kontraktorzy, Rosjanie z Grupy Wagnera: niby-prywatnej armii, związanej z Kremlem i realizującej jego cele (wcześniej np. w Donbasie), choć nie pod flagą państwową. Pułkownik Girkin, który dowodził w Doniecku i zna „wagnerowców", twierdzi, że zginąć mogło nawet 600 Rosjan. Cokolwiek tam się wydarzyło – po siedmiu latach wojny Syria nie jest już w pierwszym rzędzie areną konfliktu Asad–opozycja, lecz terenem, gdzie ścierają się (jawnie lub przez sojuszników bądź klientów) Rosja i USA, Izrael i libański Hezbollah, Izrael i Iran, Iran i Arabia Saudyjska, Turcy i Kurdowie itd. Rozbicie tzw. Państwa Islamskiego skutkuje zaś i tym, że owe „fronty" stają się coraz widoczniejsze, a konflikty – coraz ostrzejsze. Zniszczenie kolumny „wagnerowców" (być może liczba ofiar mieści się gdzieś między 100 a 600?) to jeden z tego przejawów. Nie musi mieć skutków, nazwijmy to, ostatecznych: skoro Putin i Trump

RAMI SLUSH / AP / EAST NEWS

milczą, może zgodzili się na wersję, że była to pomyłka, bo Rosjanie i Syryjczycy używają podobnych czołgów, a incydent lepiej zamieść pod dywan. Wszak przyznawszy się do tych zabitych jako „swoich", Putin musiałby coś z tym zrobić...
Za to inne incydenty – jak niedawna wymiana ciosów między Izraelem a Irańczykami i Hezbollahem, w której Izrael stracił myśliwiec, zestrzelony rakietą dostarczoną przez Rosję (na zdjęciu: szczątki F-16) – czynią coraz realniejszą nową eskalację: między Izraelem a Iranem i jego klientami. W doktrynie Izraela nie do przyjęcia jest sytuacja, gdy w Syrii, tuż za granicą, konsoliduje się nowe zagrożenie – irański przyczółek militarny. ©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

W SKRÓCIE

BISKUP-MISJONARZ. „To kraj, w którym cyklicznie powtarzają się starcia zantagonizowanych grup rebeliantów" – pisał w marcu 2017 r. na tych łamach ks. Mirosław Gucwa z Bouar w Republice Środkowoafrykańskiej. 11 lutego polski misjonarz otrzymał święcenia biskupie. Ma 55 lat, pochodzi z diecezji tarnowskiej. W RŚA jest od 1992 r. Działa na rzecz pojednania zwaśnionych grup – jest koordynatorem Platformy Międzyreligijnej, zgromadzenia przedstawicieli religii katolickiej, protestanckiej i islamu, którego celem jest wspólna modlitwa i działanie na rzecz pokojowego współżycia mieszkańców. Diecezja Bouar, której został biskupem, należy do najniebezpieczniejszych w kraju.

MĘCZENNICY EKOLOGII. 197 osób zginęło w ubiegłym roku stając w obronie środowiska naturalnego – podał watykański dziennik „L'Osservatore Romano", który powołuje się na raport organizacji Global Witness, badającej tego typu przypadki. „Ekologicznymi męczennikami" są zazwyczaj rolnicy i badacze środowiska, którzy narażają się lokalnym biznesmenom dewastującym zasoby Ziemi – głównie w Ameryce Łacińskiej, a także na Filipinach w Azji i w Demokratycznej Republice Konga w Afryce. Raport odnotowuje, że średnio w tygodniu dochodzi na świecie do czterech zabójstw obrońców środowiska.

TELEFON OD PAPIEŻA. Franciszek niespodziewanie zadzwonił do adopcyjnej matki niepełnosprawnego mężczyzny, który od urodzenia jest przykuty do łóżka z powodu porażenia czterokończynowego. „Papież powiedział mi, że modli się za mnie, i podziękował za przyjęcie tego dziecka, tego »syna umiłowanego«" – relacjonowała Luciana Gallus z Teulady na Sardynii. Kobieta opiekująca się 28-latkiem, którego naturalna matka porzuciła, gdy miał siedem miesięcy, niedawno zaapelowała na łamach lokalnej prasy o pomoc finansową w zakupie łóżka ortopedycznego z materacem przeciwodleżynowym. Jej apel spotkał się z szybką, pozytywną odpowiedzią.

„Wspomaganie" biskupów

ARTUR SPORNIAK

Zaskoczenie, jakie wywołało otwarcie przez Franciszka w adhortacji *„Amoris laetitia"* możliwości komunii dla osób rozwiedzionych żyjących w nowych związkach, i zwlekanie z ogłoszeniem przez polski Episkopat wytycznych, mających adaptować dokument do polskich warunków, wykorzystały środowiska konserwatywne: blisko 120 tys. osób podpisało petycję do przewodniczącego Episkopatu, wzywającą do obrony doktryny, którą zdaniem inicjatorów – Instytutu Ks. Piotra Skargi – reprezentuje nauczanie Jana Pawła II.

Twórcy petycji wykorzystują pewien fortel – literalnie nie krytykują papieża, bronią zaś doktryny przed zbyt liberalną interpretacją adhortacji zaproponowaną przez Episkopat Niemiec. Problem w tym, że Franciszek potwierdził zamiar otwarcia doktryny, publikując w oficjalnym watykańskim roczniku list do biskupów argentyńskich, w którym uznaje ich interpretację (możliwość komunii osób rozwiedzionych w wyjątkowych okolicznościach) za miarodajną. Akcja „Polska zawsze wierna" obliczona jest więc na to, że polscy biskupi publicznie wystąpią przeciwko papieżowi.

Nie sądzę, by było to możliwe. Faktem jest jednak, że Episkopat jest w trudnej sytuacji, bo szybkie otwarcie doktryny w polskich warunkach wywołuje, jak widać, kontrowersje. ©℗

ARTUR SPORNIAK

Ostatnia pielgrzymka Benedykta

LENA KLIMKEIT / DPA / PAP

„SIŁ MAM CORAZ MNIEJ, duchem pielgrzymuję już do Domu" – napisał Benedykt XVI w krótkim liście do czytelników „Corriere della Sera" z okazji piątej rocznicy abdykacji (11 lutego). Wypowiedź ta skłoniła Watykan do wyjaśnień, że papież emeryt, mimo skończonych 91 lat, czuje się dobrze, zachował świetną pamięć i sprawność umysłową, a nawet zażywa spacerów, przy pomocy chodzika, po ogrodach watykańskich. Przypomniano też, że po ustąpieniu z urzędu co najmniej trzykrotnie zapewniał swego następcę o „całkowitym posłuszeństwie i wsparciu modlitewnym". Papież Benedykt mieszka na terenie Watykanu, w klasztorze Mater Ecclesiae. Bardzo rzadko pojawia się publicznie, nigdy nie komentuje bieżących wydarzeń w Kościele, czasem tylko – z okazji jubileuszu bliskich osób – przesyła okolicznościowe listy. Wciąż sporo pisze, ale, jak można się domyślać, efekt tej pracy poznamy dopiero po śmierci autora. ©℗

EA

Biblia, którą czytali pierwsi chrześcijanie

NAKŁADEM VOCATIO ukazała się „Biblia pierwszego Kościoła" (przeł. ks. Remigiusz Popowski), która zawiera pierwsze polskie tłumaczenie Septuaginty (LXX). Pierwotni chrześcijanie istotnie nie sięgali do Biblii hebrajskiej, ale do jej greckiego przekładu powstałego w III-II wieku p.n.e. w środowisku Żydów z Aleksandrii. Według legendy król Ptolemeusz II zaprosił 72 tłumaczy, by opracowali – każdy osobno – przekład Tory. Po 72 dniach okazało się, że efekt pracy każdego z tłumaczy jest identyczny.

Kard. Joseph Ratzinger powiedział o LXX, że jest „czymś więcej niż prostym tłumaczeniem tekstu hebrajskiego", i „ważnym krokiem w historii objawienia" – ze względu na otwarcie Biblii na kulturę hellenistyczną (i m.in. właściwą jej alegoryczną metodę czytania tekstu). Grecki przekład był bezcenny dla Żydów żyjących w diasporze, tracących kontakt z językiem hebrajskim, a Biblią zainteresowali się także nie-Żydzi. Biblię hebrajską od LXX różni nie tylko kanon (ta pierwsza nie zawiera np. Księgi Syracha), lecz także układ. Żydzi aleksandryjscy, wśród których silne były oczekiwania mesjańskie, przestawili pisma prorockie ze środka na koniec, odczytując Proroków jako patrzących w przyszłość, a nie tylko komentujących Torę.

Dla chrześcijan znaczenie LXX jest o tyle kluczowe, że przeważająca większość cytatów ze Starego Testamentu zawartych w pismach nowotestamentowych pochodzi z niej, a nie z Biblii hebrajskiej. Jest więc to ta wersja, którą – przynajmniej w świetle Ewangelii – cytował Jezus. ©℗

MAM

„Tutu”, czyli historia o pojednaniu

SĄ DWA OPISY ICH SPOTKANIA. Wedle pierwszego malarz, jeżdżąc po kraju, znalazł modelkę nie znając uprzednio jej statusu. Wedle drugiego Ben Enwonwu poszedł prosto do królewskiej siedziby ludu Jorubów w mieście Ife, prosząc władcę, aby księżniczka Adetutu Ademiluyi zapozowała do jego portretu. Działo się to w Nigerii w 1973 r. Dobrze jeszcze pamiętano wojnę domową, która kosztowała życie kilkuset tysięcy ludzi. Jorubowie i Ibowie – grupa etniczna, do której należał sam Enwonwu – walczyli w niej ze sobą. Sztuka miała ich pojednać.

Malarz i księżniczka umawiali się przy sztalugach kilka miesięcy. Powstały trzy portrety o tym samym tytule: „Tutu”. Były ważne dla Enwonwu – jeden z nich trzymał w pracowni aż do swojej śmierci w 1994 r. Potem obraz ów zaginął, nie znano też losów pozostałych oryginałów. Właśnie ogłoszono, że drugi portret księżniczki odnalazł się w prywatnej kolekcji w Londynie. Adetutu jest na nim wyraźnie spokojniejsza niż na pierwszym przedstawieniu; niektórzy przypisują to uczuciu, którym miał ją darzyć malarz.

Uznawany za ojca nigeryjskiego modernizmu Ben Enwonwu był zawieszony między światami: zawędrował wysoko w brytyjskim establishmencie (zamówiono u niego m.in. popiersie Elżbiety II), łączył zachodnie techniki malarskie z tradycjami afrykańskimi. Ale po spotkaniu z Adetutu wrócił do *négritude* – wyrosłego w ostatnich dekadach kolonializmu nurtu afirmującego historię i cywilizację Afryki. „Gdzie jest »Tutu«?” – pytano przez lata w Nigerii, gdzie zaginione obrazy pięknej księżniczki zyskały niemal kultowy status.

Zaplanowana na 28 lutego aukcja obrazu będzie transmitowana do Lagos. Przypomni o tamtym geście pojednania w ważnym momencie – od kilku miesięcy w regionach, gdzie kiedyś toczyła się straszna wojna, znów wrze. ©℗ ŻYM

BEN ENWONWU / BONHAMS PRESS OFFICE

ADAM OPIOŁA / WIKIPEDIA.ORG

RAK MARMURKOWY – do niedawna znany jedynie specjalistom skorupiak – stał się bohaterem gazet. W ostatnim wydaniu „Nature Ecology & Evolution” niemieccy naukowcy opublikowali jego genom. Jak się okazuje, raki marmurkowe powstały 25 lat temu dzięki genetycznej mutacji swojego amerykańskiego przodka, która pozbawiła go zdolności do rozrodu płciowego. Postawione w sytuacji bez wyjścia, raki wykształciły znaną u innych zwierząt (np. rozwielitek) zdolność do partenogenezy, czyli rozrodu z udziałem wyłącznie samic. Dzięki niej nie tylko przetrwały jako nowy gatunek, ale też stały się jednym z najgroźniejszych gatunków inwazyjnych, szybko zasiedlającym wody słodkie Europy, Azji czy Madagaskaru. Trafiły tam z wielu prywatnych akwariów, w których rozmnażały się w niekontrolowany sposób. © SZYMON DROBNIAK

Kabriolet w kosmosie

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

70-metrowej wysokości rakieta Falcon Heavy prywatnej firmy SpaceX, która 6 lutego wystartowała z przylądka Canaveral (a dwa z trzech jego modułów bezpiecznie wylądowały na Ziemi), jest w stanie wynieść na orbitę prawie 64 tony ładunku – ponad dwa razy więcej niż promy kosmiczne. Po raz pierwszy od 40 lat ludzkość dysponuje nośnikiem, który mógłby wysłać także załogowy pojazd na Księżyc, i dalej. I to tanio: jeden start Falcona Heavy to koszt 90 milionów dolarów; nieco większa rakieta SLS (z NASA) będzie kosztować ponad dziesięć razy więcej.

W przyszłości Falcona Heavy zastąpi jeszcze większa rakieta, znana pod roboczym skrótem BFR, nieoficjalnie tłumaczonym jako „Big Fu***ng Rocket”. Ma ona zabrać na orbitę 150 ton ładunku, a w drogę na Marsa – zatankowana z orbitalnej cysterny – nawet stu astronautów jednocześnie. Od początku podboju kosmosu na ziemskiej orbicie znalazły się 533 osoby. Pierwszy lot orbitalny BFR może się odbyć już za trzy lata.

W tym czasie wystrzelona 6 lutego rakieta, z wiśniowym elektrycznym kabrioletem Tesla Roadster (produkowanym przez właściciela SpaceX Elona Muska) na pokładzie, jej pasażer – ubrany w skafander manekin – i kopia „Autostopem przez Galaktykę” Douglasa Adamsa zamknięta w samochodowym schowku na rękawiczki, będzie dalej przemierzać przestrzeń kosmiczną. Pozornie bezużyteczny ładunek Falcona Heavy może się okazać ważniejszy niż rakieta: jednym, surrealistycznym obrazkiem Musk przypomniał o czymś, o czym ludzkość chyba zapomniała przez ostatnich 40 lat: tam, na górze, czeka na nas największa przygoda w historii. ©

STRAŻ LEŚNA
STRAŻ LEŚNA

TEMAT TYGODNIKA

SZYSZKO ODSZEDŁ, ONI ZOSTALI

Ostatnie miesiące przyniosły wielkie szkody nie tylko polskim lasom, ale też polskiemu leśnictwu. Po co nam takie?

MICHAŁ KSIĄŻEK

Leśnictwo nie należy do kanonu nauk podstawowych. Względem biologii jest dziedziną podrzędną – czerpie z jej różnych działów tyle, ile potrzeba, by prowadzić produkcję surowca drzewnego, czasem dopuszczając się herezji. Kiedy? Choćby wówczas, gdy słyszymy, że bez leśnika las nie urośnie. Jak gdyby obecność leśniczego była warunkiem koniecznym procesu fotosyntezy.

Zamiast brnąć w herezje, leśnictwo powinno więc uznać wyższość biologii i nie zaprzeczać rozumowi. Wycinanie Puszczy Białowieskiej, a do tego w okresie lęgowym ptaków, było gestem pogardy dla wiedzy i lekceważeniem jej osiągnięć. A także lekceważeniem tej części społeczeństwa, która wycince się sprzeciwia. ↦

KRYSTIAN MAJ / FORUM

W Puszczy Białowieskiej k. Teremisek, 29 sierpnia 2017 r.

↦ I choć jesienią wycinka Puszczy Białowieskiej została wstrzymana, a nowy minister środowiska Henryk Kowalczyk zapowiada dziś, że Polska będzie „realnie respektować" postanowienia Trybunału Sprawiedliwości UE w tej sprawie – szkody, oprócz lasu, wyrządzono też polskiemu leśnictwu. Czym bowiem okazało się ono być pod rządami ministra Jana Szyszki? Mieszanką botaniki, gleboznawstwa i arogancji. Rzemiosłem agresywnym.

Więcej niż drewno

Główne działy leśnictwa: hodowla lasu czy urządzanie lasu (te nazwy!) odbierają człowiekowi radość obcowania z dziką przyrodą. Chcemy widzieć, co przyniesie nieograniczony wiekiem rębności wzrost drzew. Jak rozwinie się kształt korony starej sosny i dębu. Chcemy widzieć w naszych lasach drzewa w swobodnym rozwoju, w ekspresji ich cech genetycznych. Jednak nie mamy tej możliwości. Nie tylko dlatego, że są ścinane, selekcjonowane już na poziomie siewek, a nawet nasiennictwa. Te krzywe, zwichrowane, bez wyraźnego pędu głównego – czyli cenne dla ptaków, owadów i poetów – nie mają szans na życie i powielanie swoich cech. Jeśli jakieś się prześlizgnie, zostanie ścięte w tzw. czyszczeniach na poziomie „uprawy" albo w „trzebieżach" na poziomie „tyczkowiny".

Właściwie w Polsce skrajnie rzadko jesteśmy w puszczy, czyli prawdziwym lesie, który nigdy nie był wycięty i sam się odnawiał. Zawsze jesteśmy w jakimś „drzewostanie", „młodniku", „tyczkowinie" albo „drągowinie". W „drzewostanie" III klasy wieku (40-60 lat) bądź IV klasy wieku (60-80 lat), który niebawem będzie wycięty. Dlaczego więc nie odebrać leśnikom chociaż Puszczy Białowieskiej, ostatniego lasu o cechach naturalnych, by nie zamienili jej w drzewostan IV klasy wieku? Puszcza stanowi zaledwie pół procent lasów Polski.

Mamy prawo podziwiać czysty czas w pniu powstańczego świerka w lasach pod Białowieżą. Nawet kiedy drzewo umrze z braku wody, z powodu sędziwego wieku czy obecności owadów. Jego surowcowa funkcja skończyła się – nie będzie z niego desek. Ale pełni wciąż funkcje pomnikową, krajobrazową i przyrodniczą. Nie można pozbawiać go ochrony i ścinać tylko dlatego, że usycha. Jeśli pozostawić je tam, gdzie stoi od 180 lat, zamieni się w kolumnę pełną dziupli, dziupelek, kieszeni i nisz, zamieszkanych przez różne gatunki ptaków, motyli, trzmieli i nietoperzy. Pozwoli też pojąć turystom, że częścią prawdziwego lasu (puszczy) od zawsze była śmierć, także drzew. Świadczą o tym opisy polowań i podróży, od pierwszych kronikarzy, przez Sienkiewicza po Wajraka. Polski las historyczny zawsze był pełen powalonych drzew, kłód, pni, dlatego właśnie nieprzebyty. Słowo „knieja", czyli nieprzebyty las, pochodzi od starosłowiańskiego słowa „pień".

Listki figowe

Właśnie takich widoków, a zatem i dziejowej refleksji, pozbawiają nas leśnicy na białowieskich szlakach, goląc ścieżki po sto metrów z każdej strony. Wywożą całe tiry staropolskich matuzalemów. Niby dbają o bezpieczeństwo publiczne, ale ścinają także wtedy, kiedy świerki stoją daleko od drogi. Głusi na argument, że żadnego turysty nigdy nie przywaliło tu drzewo, pytają cynicznie: „Ale kto zagwarantuje, że tak się nie stanie?". I tną dalej.

Owszem, w lesie pełnym powalonych drzew trzeba być ostrożnym. Ale gajowi nie nauczą nas, jak unikać zagrożenia. Raczej straszą przyrodą: zakaz wstępu. Las może cię zabić. Trzeba go wyciąć. Choćby miał służyć ginącym gatunkom. Choćby był ostoją procesów, za które zyskał rangę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Sposobem na zapewnienie bezpieczeństwa w lesie jest jego usunięcie.

Czyżby? Przecież nie pompujemy wody z Bałtyku, by zapobiec utonięciu wczasowicza. Przecież nie niwelujemy Tatr, by uniknąć upadku w przepaść. Leśnik jednak woli straszyć. Dlatego chętnie też sięga po kleszcze. Oto w wielu „wydzieleniach pokornikowych" (ach ten język!) pojawią się trawy, a wraz z nimi kleszcze, tysiące kleszczy z boreliozą. Otóż kleszczy można z powodzeniem unikać, wystarczy poznać ich zwyczaje. Ale nie nauczą nas tego leśnicy z Nadleśnictwa Hajnówka – kilka tygodni temu znów zamknęli hajnowską część Puszczy. Oficjalny powód? Bezpieczeństwo publiczne.

Wiele faktów zataili przed nami leśnicy o naszej ostatniej Puszczy. Jeden z ważniejszych to pewnik, że według entomologii leśnej kornik drukarz jest szkodnikiem wtórnym, czyli tym, który przychodzi po przyczynie pierwotnej. Ba, nie może wręcz bez niej zaistnieć. W przypadku świerków przyczyną pierwotną był wzrost średniej temperatury rocznej i spadek wód gruntowych. Osłabione w ten sposób świerki uległy – choć nie wszędzie – drukarzowi. Zdrowe zalewają chrząszcza żywicą, powstrzymują go. Walka z przyczyną wtórną nie ma sensu, jeśli mamy do czynienia z globalną przyczyną pierwotną. Czy leśnicy wycinając Puszczę zatrzymają zmianę klimatu i naprawią stosunki wodne? Wrócą lasom długie śnieżne zimy i mrozy, których potrzebuje świerk? Nie. Jego obszar występowania kurczy się w całym zasięgu, świerk po prostu wycofuje się z naszego krajobrazu.

Cała Polska i Europa widziały, jak harwestery cięły świerki suche, z których kornik już dawno wyleciał. Albo też zielone drzewa liściaste, w których nigdy kornika nie było. Na głos iluż to uczonych leśnicy zamknęli uszy, choć przekaz był jasny: walka przez wycinkę jest nieskuteczna. Iluż ludziom zniszczyli życiorysy, zasypując fałszywymi oskarżeniami o naruszenie nietykalności i stawiając przed sądem za protesty przeciw niszczeniu starodrzewów. A kiedy Trybunał Sprawiedliwości UE wydał postanowienie o wstrzymaniu prac, leśnicy znaleźli drugi, po kornikach, listek figowy: bezpieczeństwo publiczne. Ponieważ nigdy nie określono jasnych zasad owego terminu, harwestery cięły daleko od dróg, zostawiając za sobą gołe zręby. Drogami publicznymi okazały się także leśne ścieżki, wzdłuż których pojawiły się pasy wycinek. Szerokość wyrębu rosła przed ambonami myśliwskimi – las białowieski wycinano, by zapewnić myśliwym pole strzału.

Lasy również dla poetów

Dlaczego leśnicy tak bardzo nie rozumieją potrzeb estetycznych swoich gości? Ludzi, którzy jadą z odległych stron świata, by oglądać ostatni nizinny las Europy, nie zrąb z amboną myśliwską? Może dlatego, że nie uczy się ich wpływu lasu na kulturę i niematerialną działalność człowieka. Na jego psychikę. Jakiej niewiedzy trzeba, by wyciąć starodrzew tuż przy szlaku turystycznym, jak to się stało w Nadleśnictwie Browsk czy w Białowieży? Użytkowanie lasu mówi głównie o pozyskaniu drewna i użytkach ubocznych, o tzw. funkcjach rekreacyjnych zaledwie wspomina. Może leśnicy w czasie studiów potrzebują wykładów, na których dowiedzą się, że pod wpływem przyrody powstaje literatura, muzyka i fotografia? Że istnieje taka dziedzina wiedzy jak geopoetyka, zajmująca się związkami kultury i środowiska, że w literaturze istnieje osobny nurt poświęcony przyrodzie? Leśniczy musi zrozumieć, że stare drzewo daje ludziom radość, a kiedy je wyciąć, sprawia to ból. Tak mocny, że człowiek stanie przed harwesterem, by drzewa bronić.

Cała ta jeremiada nie oznacza, że leśnictwo nie ma wybitnych naukowców – ależ ma. Wielu z nich było przeciwnych cięciu Puszczy. Ale leśnictwo nie uchroniło

jej przed wycinką. I właściwie nie mówi o lesie niczego, czego nie mogłyby powiedzieć biologia czy zoologia. Nie wniosło nic poza coraz częstszymi konfliktami: leśników nie chcemy już w Bieszczadach, w Puszczy Bukowej i wielu innych miejscach. Jeśli obrać leśnictwo z nauk podstawowych, jest nagie. Okazuje się czystym pozyskaniem, rodzajem produkcji, do której wystarczy kilka prostych podręczników. A, zapomniałbym: jeszcze uczonym, który zaświadczy, że gospodarka leśna służy ochronie jednego-dwóch gatunków, więc trzeba ją prowadzić kosztem dziesiątków innych.

Takiemu leśnictwu sprzeciwia się wielu leśników. Chcą oni leśnictwa kulturalnego, humanistycznego i humanitarnego. Wyrazicielem tej idei był śp. profesor entomologii leśnej Andrzej Szujecki, naukowiec-wizjoner, który stworzył leśne kompleksy promocyjne i mówił dużo o pozaprodukcyjnych funkcjach lasów. Zmarł rok temu. Lasy Państwowe pod kierownictwem Konrada Tomaszewskiego, zaufanego ministra Szyszki, właściwie przemilczały śmierć jednego z wybitniejszych teoretyków leśnictwa.

Drzewostan, czyli co?

Nic bardziej nie świadczy o błędzie leśników niż ukute przez nich określenie „chora puszcza". Oto puszcza choruje, musimy ją ratować, jesteśmy lekarzami. „Chora puszcza" to oksymoron równie śmieszny jak „sucha woda" bądź „czarny śnieg". Przecież w lasach naturalnych część drzew od zawsze była martwa, jakaś część zamierała. Gnicie i rozkład były i są tutaj procesami podstawowymi, dzięki nim powstaje gleba. W Puszczy Białowieskiej występuje blisko 6 tys. gatunków grzybów, co jest powodem do dumy, ale nagle słyszymy, że świadczą o chorobie. Słyszymy, że puszcza śmierdzi. Jakby zapomnieli, że dzięki pleśni mamy penicylinę i nie wiemy, jakie jeszcze lekarstwa dają nam grzyby. Inżynierowie twierdzą, że trzeba „zrobić z tym porządek". I uparcie wartościom uniwersalnym przeciwstawiają materialne. Dziedzictwu ludzkości – plan urządzania lasu. Wieczności – wiek rębności. Estetycznemu prawzorowi drzewa – instrukcję BHP.

Przychodzi im to z łatwością, bo narzucili nam język, którym mówimy o przyrodzie: „uprawa", „drągowina", „drzewostan", „szkodnik". Szkodnik to owad, który niszczy drewno. Z ptaków wybrali sobie kilka pożytecznych. A co z resztą? Nie wiadomo. Dzięcioł awansował do roli lekarza – choć nigdy nie powiedzieli który. Pstry duży? Dzięciołek? Średni? Zielonosiwy? Trójpalczasty chyba nie, skoro wycinają mu dziuple i terytoria lęgowe, mimo że jest w Czerwonej Księdze. O lesie mówią „drzewostan". Las w gruncie rzeczy jest dla leśnika „drzewo-stanem", czyli magazynem drzew. Na mapie zaś tylko wydzieleniem, czyli powierzchnią w pododdziale, z określonym numerem i literką: 338Ab. Dla przyrodnika to często starodrzew o polodowcowej proweniencji z wieloma ginącymi gatunkami, jakiego nie ma już w Europie.

> Las jest dla leśnika tylko „drzewo-stanem": **magazynem drzew.** A na mapie – wydzieleniem, powierzchnią w pododdziale, z określonym numerem i literką: 338Ab.

„Drzewostany giną" – płaczą drwale, mając na myśli, że w danym lesie zamarło wiele drzew. Te posadzone ludzką ręką rzeczywiście mogą przygnębić. Te odnawiające się same od tysięcy lat zniosły obecność kornika dużo lepiej. Ale leśniczy nie przyjmują tego do wiadomości. Jak i faktu, że dla rzadkich owadów, ptaków i grzybów to dobra sytuacja. Ponieważ słowo „drzewostan" jej nie opisuje, nie oddaje tego, czym jest złożony ekosystem lasu. Drzewostan to słowo wiodące dyskusję na niewłaściwe tory, wygodne tylko dla leśników.

Odznaka dla Rambo

Po czasach Konrada Tomaszewskiego, odwołanego niedawno b. dyrektora Lasów Państwowych, leśnik nie odzyska prestiżu społecznego, jakim cieszył się przed wycinką Puszczy. Tomaszewski zostanie zapamiętany jako ten, który na stulecie niepodległości Polski wycinał ostatnie stuletnie lasy naturalne, w jakich Polska się zaczynała. I który społeczny zryw w obronie tych lasów porównał do seksu z kozą. Ten język świadczy o głębokim kryzysie wizerunkowym, w który wprowadził leśników. Był jednym z oficjeli, którzy poprzez wulgaryzację języka dali straży leśnej i zwolennikom wycinki zielone światło do poniżania obrońców Puszczy. Strażnicy nazywali ich „śmierdzielami" i „śmieciami". Nie wahali się szturchać, rzucać na ziemię. We wrześniu dwóch mężczyzn napadło na dom, w którym nocował jeden z ekologów. Kosą wybili szyby, nasikali do studni, grozili śmiercią. Upojeni władzą gajowi przeciągnęli wahadło na swoją stronę, zapominając, że kiedyś wróci i ze zdwojoną siłą uderzy w ich środowisko.

Oglądam relację z krajowej narady Służby Leśnej. Odbyła się kilka tygodni temu. Honorową Odznaką minister Szyszko wyróżnił strażnika-osiłka. Osiłek wyrwał kiedyś dłoń dziewczynie z łańcuszka, którym przypięta do barykady blokowała wycinkę starodrzewu z gatunkami Czerwonej Księgi. Poszkodowana krzyczała z bólu, płakała, ze zmiażdżonego paznokcia ciekła krew. Minister nie zapomniał też o nerwusie, który samochodem wjechał w manifestujących na leśnej drodze. Ukraińska dziennikarka musiała uciekać przed jego terenówką, potem nieco zwolnił i taranował człowieka z transparentem. Honorową Odznaką nagrodzono też „Rambo". Ten uderzył jednego z obrońców wytrącając mu kamerę, co w telewizji mogła później zobaczyć cała Polska. Minister nie zapomniał o dzielnym „Scyzoryku" – to po interwencji oddziału, którym dowodził, obdukcja jednego z aktywistów wykazała 25 siniaków i zadrapań (największy krwiak miał 14 cm średnicy). Niedawno o przyrodniku, który nie ma jednej dłoni, strażnik ów powiedział: „O, jest i ten, co sobie d... łokciem podciera". Oto elita polskich leśników, utrzymująca się z naszych drzew, z naszych lasów. Szyszko odszedł, oni zostali.

Strażnik-scyzoryk nie przyjechał do Warszawy na uroczystość wręczenia Odznaki Honorowej. Może dlatego, że czeka na wynik śledztwa prokuratorskiego w sprawie przekroczenia uprawnień, które dotyczy też jego. A szkoda, odebrałby Złoty Kordelas, wspaniały symbol harakiri, którego dokonali polscy leśnicy na swoim wizerunku. Jeszcze nie zdają sobie sprawy, jak brzemienną w skutkach dyskusję wywołali. Po co nam takie leśnictwo? ©

MICHAŁ KSIĄŻEK

Autor (ur. 1978) jest pisarzem i przyrodnikiem. Za debiutancki „Jakuck" był nominowany do Literackiej Nagrody Gdynia, za wiersze „Nauka o ptakach" nagrodzony Silesiusem oraz nominacją do Nike. Za „Drogę 816" otrzymał białostocką Nagrodę Literacką im. Kazaneckiego, nominacje do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrody Literackiej m.st. Warszawy oraz Travelera „National Geographic Polska".

W lasach rządzi korporacja

PROF. JERZY SZWAGRZYK, LEŚNIK

Sytuacja finansowa Lasów Państwowych jest zbyt dobra w stosunku do reszty kraju. Ich przywileje są nieuzasadnione.

ADAM ROBIŃSKI: Z kręgów leśnych dochodzą takie głosy: polskie leśnictwo jest stawiane w Europie za wzór, wszyscy chcieliby je naśladować.

JERZY SZWAGRZYK: To tajemnicza sprawa – dlaczego leśnictwo wyszło w Polsce tak dobrze na tle innych krajów.

A rzeczywiście wyszło?

W sensie organizacyjno-finansowym – tak. Nie chodzi o to, że mamy lepszą naukę, a nasi absolwenci większe kompetencje. Raczej o to, że otoczenie prawne i finansowe Lasów Państwowych jest takie, że leśnicy z innych krajów mają czego zazdrościć. Nikt tego nie zaplanował. Co więcej, uważam, że pod względem ekonomicznym nie kształciliśmy naszych studentów intensywnie, więc zdumienie jest spore. Lasy Państwowe w sposób optymalny weszły w transformację ustrojową – leśnictwo jest jej największym wygranym. To zresztą ciekawe, że choć plan Balcerowicza nie ma dziś dobrej prasy w ekipie rządzącej, to jednak nikt nie czepia się ustawy o lasach, która była przecież jego elementem.

Jeśli nie leśnictwo, to może lasy mamy wyjątkowe?

Podobne do sąsiadów. Nie ma radykalnych różnic. Jak pan spojrzy na statystyki...

30 proc. lesistości kraju. To dużo?

To jest mniej więcej średnia światowa. W Europie jesteśmy trochę poniżej średniej. Na pewno nie mamy więcej lasów niż inni. Nie jest też tak, że przybywa ich więcej niż gdzie indziej. Tradycje leśne w tej części Europy są wszędzie podobne. Może Ukraina i Białoruś wywodzą się z innych kręgów. Ale Niemcy, Czechy czy Słowacja mają je podobne do naszych.

Gdziekolwiek się dziś pojedzie w Polskę, słyszy się: lasy są wycinane intensywnie jak nigdy dotąd. Czy to widać w danych?

Rzeczywiście, jeśli chodzi o liczbę wycinanych metrów sześciennych drewna, krzywa wznosi się ostro. Ale nie chodzi o to, że jesteśmy zachłanni czy że dewastujemy lasy, tylko o to, że jest ich coraz więcej i coraz szybciej rosną. Tniemy coraz więcej, bo coraz więcej jest do wycięcia. Jest taki wskaźnik opisujący, jaki procent drewna, które przyrasta w ciągu roku, jest wycinany. Jedynym krajem w Europie, gdzie wynosi on sto procent, jest Szwecja. Tną wszystko, co przyrasta. I to też jest zrównoważona gospodarka. Ale pozostałe kraje tną mniej. Akumulują drewno.

Ile wynosi ten wskaźnik w Polsce?

Oficjalnie około 75 proc. Ale ludzie, którzy pracują naukowo nad przyrostem drzewostanów, twierdzą, że w rzeczywistości jest znacznie niższy. To wynika z faktu, że dokładnie wiemy, ile wycinamy i sprzedajemy, ale nie jest łatwo oszacować dokładnie to, co przyrasta. Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że lasy ewidentnie rosną coraz szybciej. Potwierdza to wiele nowszych publikacji.

Z czego to wynika?

Przede wszystkim z ocieplenia klimatu i wzrostu zawartości dwutlenku węgla w atmosferze. To, co jest postrzegane jako zagrożenie dla ludzkości, dla leśnictwa jest żyłą złota. Lasy rosną dużo szybciej niż dawniej, można więcej wycinać bez prowadzenia rabunkowej gospodarki.

Ale jest też druga strona medalu. Jeśli drzewa rosną szybciej i szybciej się je wycina, to w lesie robi się coraz większy ruch. To już nie jest człowiek z koniem, tylko ciężki sprzęt do prac leśnych. Więcej maszyn to większy hałas. W lesie coraz trudniej o ciszę i spokój.

Fundamentem działania Lasów Państwowych jest samofinansowanie. Co to w praktyce oznacza?

Lasy są państwowe, lecz działają jak korporacja. Wypożyczyły teren od państwa

i na nim gospodarują. Pokrywają wszystkie koszty tego gospodarowania, nie biorą nic z budżetu, ale też niewiele do niego wkładają. Podatek leśny jest niski. Lasy zarabiają na różnicy między tym, co uzyskują ze sprzedaży drewna, a tym, co płacą podwykonawcom za wycięcie i zwiezienie surowca. Cena drewna w Polsce jest zbliżona do tej w Niemczech czy Szwecji, ale cena ludzkiej pracy jest o wiele niższa. To właśnie ta różnica powoduje, że Lasy Państwowe są tak bogate. W Niemczech i Szwecji praca jest droga, więc tamtejsze lasy robią bokami. Pod tym względem nasze Lasy są unikalne. Pewnie dlatego tak wielu młodych chce zostać leśnikami.

Ale jeśli w sprawozdaniu finansowym za 2016 r. czytam, że Lasy Państwowe wypracowały swój zysk „bez pieniędzy podatników, na własny rachunek i ryzyko gospodarcze", brzmi to jak mydlenie oczu.

Ludzie łatwo przyzwyczajają się do dobrego. Jeśli ktoś zarządza czymś tak długo, łatwo mu uwierzyć, że jest to jego własnością. Ta postawa ujawnia się na każdym kroku. Parki narodowe dostają czasem pieniądze od Lasów, ale za każdym razem odbywa się to z gestem „dajemy tym, którzy nas proszą". A przecież jeśli lasy są państwowe, to ich pieniądze też są państwowe.

Ważnym mechanizmem działania Lasów Państwowych jest Fundusz Leśny. Co to jest?

KRYSTIAN MAJ / FORUM

Wielka inwentaryzacja Puszczy Białowieskiej, maj 2016 r.

W skład Lasów wchodzi 430 nadleśnictw, każde z nich ma sporo samodzielności. Niektóre są permanentnie deficytowe, inne cały czas produkują nadwyżki. Fundusz ma to wyrównywać. Wiadomo, że każdy nadleśniczy chciałby być nad kreską, ale są takie nadleśnictwa, gdzie nigdy się to nie udaje. Prawie całe Podkarpacie jest zawsze na minusie, bo produkcja drewna w górach wymaga o wiele większych nakładów sił i środków.

To po co prowadzić gospodarkę leśną tam, gdzie nie jest dochodowa?

Lasy na stałe zatrudniają 25 tys. osób. Na przykładzie Puszczy Białowieskiej widać, że jednym z celów tej firmy, niekoniecznie deklarowanych, ale na pewno realnych, jest dawanie tego zatrudnienia, a tym samym i utrzymania swoim pracownikom. Przypadek białowieski jest uderzający, bo dotacja dla trzech tamtejszych nadleśnictw w 2016 r. sięgnęła bodaj 23 mln zł. Jeśli inne nadleśnictwa są niedochodowe, to dotacją trzeba uzupełnić kilka czy kilkanaście procent ich budżetu. A te trzy żyły niemal w całości na koszt reszty kraju.

To najmniej opłacalne nadleśnictwa w Polsce?

Tak mi się wydaje. *De facto* od dawna funkcjonowały ze związanymi rękami. Pozyskanie drewna było tam symboliczne. A struktura zatrudnienia podobna jak gdzie indziej. Kiedyś pojawił się nawet pomysł, by te trzy nadleśnictwa – Białowieżę, Browsk i Hajnówkę – połączyć w jedno. No ale nikt nie chciałby przecież stracić dobrze płatnej pracy, więc pomysł zarzucono. Lasy to nie jest maszyna do zarabiania pieniędzy. Oni je zarabiają, bardzo się do tego przykładają, ale jest to też firma zapewniająca bezpieczeństwo socjalne dużej grupie ludzi.

Przed rozmową z Panem zapytałem rzeczniczkę Lasów Państwowych o ocenę ustawy o lasach z punktu widzenia tej instytucji. Usłyszałem, że jest dobra i nie należy jej poprawiać. Ale Lasy mają też krytyków. W 2015 r. Najwyższa Izba Kontroli zarzuciła im, że rosnąca produkcja drewna przekłada się wyłącznie na wzrost pensji i inwestycji w nieruchomości, a niemal wcale na ochronę przyrody.

To skomplikowane zagadnienie, bo czy ochrona przyrody wymaga pieniędzy? Ochrona przyrody wymaga zostawienia jej w spokoju. Inwestycje? Rzeczywiście, w ostatnim dziesięcioleciu dużo wydaje się na drogi leśne. Ale można to nazwać nadrabianiem wieloletnich zaniedbań. Kiedy 15 lat temu jeździliśmy na Słowację, tamtejsza infrastruktura leśna różniła się od naszej dwoma aspektami. Budynki nadleśnictw w porównaniu z naszymi były bardzo skromne, za to drogi mieli świetne, a my fatalne. Teraz Polacy podgonili. Często jest tak, że jedzie się drogą gminną, dziurawą i nierówną, a potem skręca w las na szeroki, gładki asfalt.

Dobra sieć dróg oznacza, że można wjechać sprzętem głęboko w las, a potem dociągać drewno na krótszym odcinku, niszcząc mniej gleby i roślinności. Z drugiej strony gęsta sieć dróg w górach przyczynia się do szybszego spływu wody po ulewnych deszczach, co skutkuje wezbraniami i powodziami.

Kolejny zarzut: z opublikowanego w piśmie „Las Polski" porównania samofinansujących się gospodarstw leśnych jednoznacznie wynika, że w Lasach Państwowych są najwyższe wynagrodzenia i jednocześnie największa liczba pracowników przypadających na hektar lasu.

Leśnicy na taki zarzut odpowiedzą, że przybywa im zadań, choćby dlatego, że muszą prowadzić gigantyczną akcję inwentaryzacji leśnej bioróżnorodności. To fakt, choć można się spierać, na ile jest ona potrzebna. Brałem kiedyś udział w tzw. osłonie naukowej podobnej akcji, widziałem, z jakim rozmachem takie inicjatywy są realizowane. Dyrektor rzuca pomysł, a setki ludzi idą w las prowadzić inwentaryzację.

Przemysł drzewny zarzuca Lasom Państwowym praktyki monopolistyczne, niejasne zasady ustalania cen, preferencyjne ceny dla kontrahentów zagranicznych, co prowadzi do upadku polskie firmy.

Miałem kiedyś magistranta, który już w czasie studiów podjął pracę w przemyśle drzewnym w Niemczech. Do Krakowa dojeżdżał z Berlina i relacjonował, że momentami drewno płynie z zachodu na wschód, bo czasem w Niemczech było tańsze niż w Polsce. Dziś te ceny są porównywalne. Wielkość pozyskania drewna jest przez Lasy świetnie rozgrywana, bo o ile w wielu sprawach podpadają opinii publicznej, o tyle w tej mają jej pełne poparcie.

Przemysł drzewny mówi: możecie ciąć więcej, polskim firmom będzie wtedy lepiej, ceny skupu spadną, wzrośnie eksport. Lasy na to: nie możemy wyciąć więcej, niż jest zapisane w planach, bo to byłaby gospodarka rabunkowa. Ludzie im przyklaskują, bo przecież trudno przekonać społeczeństwo, że można by zwiększyć pozyskanie o 20 proc. i to wciąż byłaby zrównoważona gospodarka. Ale Lasom się to nie opłaca, wszystko mają skalkulowane. Jeśli zarabiają na różnicy między ceną sprzedaży a tym, co płacą wykonawcom, to znaczne zwiększenie podaży drewna mogłoby wpłynąć na obniżenie jego ceny. Wytną więcej, a zarobią mniej. Dlatego prosty ↦

rachunek ekonomiczny ubierają w opowieść o ochronie przyrody i oszczędzaniu jej zasobów.

Organizacje pozarządowe wytykają przede wszystkim brak kontroli społecznej i naukowej nad działalnością Lasów.

Są tzw. plany urządzenia lasu, społecznie uzgadniane. Ale, rzeczywiście, po pierwsze mało kto ma pojęcie, że może mieć na nie jakikolwiek wpływ, i mało kto bierze udział, bo to wszystko bardzo hermetyczny proces, z którego przeciętny obywatel pewnie niewiele rozumie.

A kontrola naukowa?

Jest długa lista profesorów, którzy robią dla Lasów ekspertyzy. Oczywiście można się zastanawiać, czy jak ktoś płaci za badania, to czy nie oczekuje konkretnych wyników. Można zlecać badania po to, aby znaleźć nowy, wydajniejszy sposób gospodarowania w lesie, a można też płacić za to, żeby z badań wyszło, iż wszystko, co robimy, jest najlepsze w świecie. To wszystko jest bardzo trudne do wykazania, ale faktem jest, że Instytut Badawczy Leśnictwa żyje z badań dla Lasów Państwowych, wydziały leśne szkół wyższych też sporo czerpią z tych funduszy. My jesteśmy w jakiś sposób od Lasów uzależnieni, bo to, że mamy tylu kandydatów na studia, jest pochodną dobrej sytuacji materialnej tej instytucji.

W sposób naturalny nam nie zależy na tym, żeby tam zarabiało się gorzej, bo wtedy odpłyną nam studenci. Są też badania robione dla Lasów przez naszą kadrę, za większe pieniądze niż to, co można zyskać w Narodowym Centrum Nauki, a bez tak silnej konkurencji, bo środowisko jest małe.

Kolejny zarzut: blokowanie powoływania nowych i powiększania istniejących parków narodowych. Jako przykład nie tylko Białowieski, ale i Bieszczadzki czy wciąż tylko projektowany – Turnicki.

Myślę, że w latach 90. Lasy popadły w pewną traumę, bo odebrano im gospodarowanie tysiącami hektarów, na których powstały nowe parki albo na których dokonywano powiększenia parków już istniejących. Później zmieniło się prawo, teraz Lasy mogą powiedzieć, że to gmina nie chce parku. W przypadku Turnickiego Parku Narodowego wszystkie okoliczne gminy są przeciw.

Można zlecać badania po to, aby znaleźć nowy, wydajniejszy sposób gospodarowania w lesie, a można też płacić za to, żeby z badań wyszło, iż wszystko, co robimy, jest najlepsze w świecie.

Chodzi o zarobki? O to, że w parkach zarabia się mniej?

Z perspektywy Warszawy można sobie wyobrazić, że Lasy biorą pod opiekę finansową parki narodowe, ale lokalnie nie jest tak różowo. Jeśli leśnik zostanie przesunięty do parku, natychmiast straci 60 proc. pensji. To bariera psychologiczna nie do przeskoczenia.

Czyli problemem jest finansowanie parków narodowych?

Ogromnym. Zaskoczę pana, ale za poprzednich rządów PiS-u pojawił się projekt, by włączyć je w jedną strukturę z Lasami.

Wtedy fundusze leśne mogłyby trafiać bezpośrednio do parków. Może nie zarabialiby tyle samo, ale na pewno różnica byłaby mniejsza.

Sam widziałem, jak na różnych gremiach projekt ten był odrzucany przez przyrodników, którzy uważali, że Lasom chodzi wyłącznie o pozyskanie drewna w parkach. A ja uważam, że im wcale nie zależy na zwiększeniu wycinki, bo to się nie kalkuluje. Pomysł przepadł, Lasy dają, na co chcą i ile chcą. A parkom wiecznie brakuje pieniędzy. Problem jest zresztą szerszy, bo skąd wziąć pieniądze na poszerzenie choćby Białowieskiego? Jest obawa, że wszystkie pozostałe parki narodowe musiałyby się na niego zrzucić.

W wywiadzie dla serwisu Jagiellński24.pl powiedział Pan, że Lasy przez ostatnie dwa lata zrujnowały swój wizerunek.

Tak, to jest katastrofa i część leśników zdaje sobie chyba z tego sprawę. Przez długie lata inwestowano w PR i poprawę wizerunku. Jeśli chodzi o ochronę przyrody, co mnie głównie interesuje, też obserwowaliśmy systematyczną poprawę. W ostatnim czasie to wszystko zostało zmarnowane z zupełnie niezrozumiałych powodów. Cały czas się zastanawiam, kto na tym zyskał. Zdaje się, że nikt.

Mateusz Morawiecki już wcześniej jako minister mówił o reformie systemu i włączeniu Lasów do budżetu państwa. Na razie mu się nie udało. Teraz, gdy ma decydujące zdanie, skończy się czas samofinansowania?

Rzeczywiście powstał jedyny realny układ, w którym takie rozwiązanie ma szansę wejść w życie. Ale czy premier Morawiecki się na to zdecyduje? To kwestia otwarta. To nie jest tak, że ja jako pracownik wydziału leśnego jestem wyłącznie kibicem jednej strony. Uważam, że sytuacja finansowa Lasów Państwowych jest zbyt dobra w stosunku do reszty kraju. Ich przywileje są nieuzasadnione. Wiem też, że moi byli studenci, którzy tam pracują, są przerażeni taką wizją, bo przywykli do stabilnego, korzystnego dla nich układu.

A jak Pan widzi potencjalną zmianę z punktu widzenia przemysłu i przyrody?

Przemysł na pewno by zyskał, ale moją domeną jest ochrona przyrody i tu już tej pewności nie mam. Bo jeśli wzrosłoby pozyskanie drewna, to ruch w lesie byłby niewątpliwie większy. Dla krajowej ekonomii byłoby to dobre, przyroda mogłaby stracić.

Nie jestem hurraoptymistą takiego rozwiązania, ale za decydujący uważam argument sprawiedliwego rozdziału dóbr. Obecny układ jest pod tym względem niedobry. Ci, którzy tyrają fizycznie, często ryzykując zdrowiem, a więc drwale, dostają małe pieniądze. Ci, którzy zlecają tę pracę zza biurka – znacznie większe. ©

Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

RDC POLSKIE RADIO

ADAM ROBIŃSKI będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 14 lutego o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. DR HAB. JERZY SZWAGRZYK *jest dyrektorem Instytutu Ekologii i Hodowli Lasu na Wydziale Leśnym Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie.*

Suwerenni dzięki Wam, nadal rośniemy!

Wzrost rozpowszechniania płatnego w roku 2017 w porównaniu do roku 2016.

DANE DYSTRYBUTORA RAS

Mija kolejny rok, w którym coraz więcej Czytelniczek i Czytelników sięga po „Tygodnik Powszechny". Ufamy, że ten wynik to nie tylko efekt docenienia przez Państwa niezależności oraz dbałości o obiektywizm i wiarygodność informacji w naszym piśmie, ale także tego, że zabiegamy o jakość debaty publicznej, nie angażując się bezpośrednio w spory partyjne.

ODPOWIEDZIALNE DZIENNIKARSTWO to także niedopuszczenie do degradacji więzi i relacji tworzących wspólnotę. Dlatego na naszych łamach nie stajemy po żadnej ze stron, lecz relacjonujemy fakty, opisujemy postawy i komentujemy poglądy. W działalności pozawydawniczej (festiwale Conrad i Copernicus, akcja społeczna Lekcje Czytania, debaty) staramy się łączyć, nie dzielić, poznawać różne punkty widzenia, dyskutować i poszerzać horyzonty, widząc w tym drogę do pełniejszego poznania świata i wyzbycia się lęku.

JESTEŚMY PRZEKONANI, że los odpowiedzialnego dziennikarstwa leży Państwu na sercu. Dlatego prosimy o przekazanie 1% podatku **FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO**. Jej najważniejszym zadaniem jest zachowanie dziedzictwa „Tygodnika". Fundacja ponosi też właścicielską odpowiedzialność za suwerenny rozwój pisma. Festiwale kulturalne i akcje społeczne, które organizujemy, pozwalają wyjść z misją „TP" poza gazetowe łamy i przyciągnąć nowych czytelników.

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

SKALA I SKUTECZNOŚĆ działań Fundacji Tygodnika Powszechnego zależą od naszych Czytelników i Przyjaciół. Za wszelkie wsparcie: 1% podatku, darowizny pieniężne czy sponsoring naszych przedsięwzięć – jesteśmy Państwu ogromnie wdzięczni.

1%

Fundacja Tygodnika Powszechnego posiada status OPP, co oznacza, że można, i że warto przeznaczyć na jej działalność 1 procent podatku, wpisując w rozliczeniu rocznym PIT w odpowiedniej rubryce nr KRS:

0000125605

Darowizny na rzecz Fundacji prosimy wpłacać na konto:
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Ks. Adam Boniecki
redaktor senior, przewodniczący Rady Fundacji TP

Aleksander Kardyś
prezes zarządu Fundacji TP

Edyta Płachta
członkini zarządu Fundacji TP

Jacek Ślusarczyk
prezes zarządu „TP"

Maja Kuczmińska
członkini zarządu „TP"

Piotr Mucharski
redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE OPP / FOT. GRAŻYNA MAKARA

PAWEŁ

Śpiewak:
Budowa Świątyni

W czwartym roku swoich rządów Salomon zaczął budować pierwszą Świątynię. Dom Boga stanął na górze Moria. Wiemy też, że Dawid chciał już wcześniej zbudować Bet Hamikdasz – Świątynię. Zebrał dużo materiałów, ale zakazał mu Bóg: „Nie będziesz budował domu imieniowi memu, przeto żeś mąż waleczny i rozlewałeś krew" (1 Księga Kronik 28, 3). Dalej Pan zapowiada królowi, że jego syn „zbuduje dom mój, i przysionki moje". Plan, wedle którego budował Salomon, był przygotowany przez Dawida. Miał on przed sobą wizerunek gmachów, komór, sieni, skarbców, stołów pokładnych, świeczników. Wiadomo było, ile potrzeba złota i srebra. Bóg – zapowiadał król – będzie z budowniczymi, „a poczty kapłanów i Lewitów do każdej posługi w domu Bożym będą z tobą w każdej pracy" (1 Krn 28, 21). Wedle źródeł biblijnych budowa trwała siedem lat: 966–959. Świątynia została zburzona i złupiona w 586 r. przez Babilon. A więc przetrwała 400 lat.

Izrael był ludem rolniczym. Do postawienia konstrukcji potrzebna była fachowa, ale i kosztowna pomoc z zewnątrz. Dał ją król Tyru w zamian za dwadzieścia miasteczek, obfitość oliwy oraz pszenicy. Fenicjanie wedle swojej tradycji zbudowali całość. Dostarczyli przy tym wielką ilość drewna i szlachetnych kamieni. Salomon dodał jeszcze 3 tys. ton złota oraz 30 tys. ton srebra.

Opis pierwszej Świątyni znajduje się w 2 Księdze Kronik. Posłużył się przy tym król znaczną liczbą robotników. 30 tysięcy pracowało zmianowo w Libanie, 70 tysięcy nosiło ciężary, 80 tysięcy rąbało na górze. W Egipcie przy budowie miasta Ramzes wcale nie musiało być gorzej. Z opisów biblijnych wynika, że dzięki budowom w Izraelu dość sprawnie stworzył Salomon społeczeństwo złożone z dwóch stanów: do stanu niewolniczego i hołdowniczego zostali przeznaczeni dawni mieszkańcy Kanaanu (1 Księga Królewska 9, 15-18), a Hebrajczycy podniesieni zostali do stanu rycerskiego. Od nich wywodzili się przełożeni nad domem Salomona. Czyli spełniła się przepowiednia proroka Samuela: stworzenie królestwa oznacza, że wszyscy stają się gorszymi czy lepszymi sługami na dworach panujących.

Planom Dawida i Salomona nie był życzliwy prorok Natan. Otóż otrzymał on od Boga przesłanie, że JHWH nigdy nie potrzebował i nie będzie chciał stałej siedziby. JHWH ukazywał tym samym swoją odrębność wobec bogów pochodzących z tego regionu. A Natan przedstawiał w ten sposób czasy sędziów, wspólnoty podzielonej na dwanaście plemion, jako czas najlepszy. Odpowiadało to sytuacji po grecku zwanej *amfiktionia*, co odnosi się do ligi niezależnych państewek czy plemion, które łączą się dla wzajemnej ochrony i czczenia wspólnego Boga. Zbudowanie głównego sanktuarium oznaczało zaś, że jedno plemię zyskiwało przewagę nad pozostałymi. Pierwsza mowa Natana nie była życzliwa budowie jednego miejsca kultu. W drugiej sam Pan obiecuje, że zbuduje dom Izraelowi. Tak oto w tym mesjańskim przesłaniu zawierała się obietnica dla ludu wybranego, iż sam stać się ma domem Pana i czcić Go żyjąc wedle nakazów Boskiego prawa. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Nic za darmo

W wielki Post, wzorem Chrystusa, trzeba wyjść na pustynię, tzn. zająć się modlitwą, słuchaniem kazań, robieniem szczegółowego rachunku sumienia. Oraz przystąpić do spowiedzi wielkanocnej, choć takowa nie istnieje. Jeśli już, to można mówić o komunii wielkanocnej, choć i ta nazwa jest na wyrost. Przykazanie mówi: „Przynajmniej raz w roku przystąpić do sakramentu pokuty. Przynajmniej raz w roku, w okresie wielkanocnym, przyjąć Komunię Świętą". To znaczy, że np. spowiadam się w styczniu, a do komunii przystępuję na Wielkanoc, np. w kwietniu.

Władza kościelna chciała przemóc pewien typ pobożności, polegający na powstrzymywaniu się od przystępowania do tych sakramentów. W rezultacie utarła się taka oto praktyka: rekolekcje kończyły się spowiedzią, po której od razu przystępowano do komunii. Najczęściej raz. A ponieważ spowiedź oderwała się od rekolekcji i przeniosła na ostatnie dni Wielkiego Tygodnia, stąd mamy przed konfesjonałami kolejki. Dlatego warto już na początku Wielkiego Postu zastanowić się nad swoim podejściem do tej tradycji. Może nam w tym pomóc wspomniane wyjście na pustynię, pod warunkiem, że zabierzemy ze sobą wszystko to, z czego już się składa, i będzie składać w przyszłości, nasze życie. Tak do swoich czterdziestodniowych „rekolekcji" podchodził Jezus.

Czytając opisy pobytu Jezusa na pustyni, łatwo zauważyć, że ewangelistom chodzi o przedstawienie przepisu, scenariusza chrześcijańskiego życia. Pokazują też, w jaki sposób szatan i my sami z siebie próbujemy ten scenariusz przerobić. W opisie kuszenia chodzi o nakłonienie Jezusa, a więc i nas, do wyzbycia się wolności. Zaczyna się od podważania konieczności uczciwego podejścia do relacji międzyludzkich, z Bogiem i ze światem. Następnie próbuje się osłabić zaufanie do Boga i Jego wierność przymierzu, i ostatni cios – szantaż, próba zawładnięcia Bogiem pod groźbą porzucenia Go. Bóg, jeśli chce coś znaczyć, musi udowodnić, że potrafi na to zasłużyć. Miłość, jako więź z Bogiem, ludźmi i światem, to mrzonka. Wolność – złudzeniem. Sumienie – marzycielskie rozmamłanie, które należy wziąć w karby prawa. Nic za darmo, na błogosławieństwo też trzeba zasłużyć.

Karl Rahner mówi: „W odniesieniu do przykazań kościelnych, niemających bezpośrednio statusu przykazań Bożych, istnieje znacznie szerszy margines interpretacji ze strony jednostki, która niewątpliwie może uznać, że w pewnych okolicznościach nie jest w swoim sumieniu zobowiązana do przestrzegania określonego przykazania kościelnego, określonego kościelnego rozporządzenia. W takich przypadkach na przykład miłość, a nie tylko sytuacja przymusowa, może nas zwolnić od przykazania kościelnego, całkiem niezależnie od tego, że istnieje oczywiście możliwość wyraźnej kościelnej dyspensy udzielonej przez władzę kościelną". Nie spieszmy się więc z tworzeniem nowego *liber poenitentiales*. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Ofiarowanie

Abba Alonios powiedział: „Jeśli człowiek nie powie sobie w sercu, że na świecie istnieje tylko Bóg i on, nie zazna spokoju”.

Z APOFTEGMATÓW OJCÓW PUSTYNI

Nie same rzeczy bynajmniej, ale mniemania o rzeczach budzą w ludziach niepokój.

EPIKTET

Wybrał PIOTR SIKORA

Wydarzenie opisał św. Łukasz: „Gdy upłynęły dni ich oczyszczenia według Prawa Mojżeszowego, [Józef i Maryja] przynieśli Je [Dziecię Jezus] do Jerozolimy, aby Je przedstawić Panu (...) Mieli również złożyć w ofierze parę synogarlic, albo dwa młode gołębie, zgodnie z przepisem Prawa Pańskiego” (zob. Łk 2, 22-24). Zawsze przy lekturze tego tekstu towarzyszyło mi pytanie: kogo składali w ofierze Maryja i Józef? Jezusa? Czy to w ogóle możliwe? Czy rodzice mogą złożyć Bogu w ofierze swoje dziecko?

Czy nie jest tak, że człowiek może należeć do Boga wyłącznie na mocy swojej własnej, wolnej i dojrzałej decyzji? To prawda, rodzice mogą go do takiej decyzji podprowadzić – w szczególności świadectwem własnego życia oddanego Bogu; mogą się modlić dla swojego dziecka o takie życiowe rozeznanie i wybór. Ale ściśle rzecz biorąc, nie mogą go złożyć w ofierze Bogu – również dlatego, że ono nie jest ich własnością, nie „należy” do nich. Jest osobą! Która została im powierzona na wychowanie. Powierzona ich mądrości i odpowiedzialności, miłości i... bezinteresowności.

Kogo więc składali w ofierze Maryja i Józef?

Zawsze przychodziła mi do głowy jedna odpowiedź: siebie samych. Swoje macierzyństwo i ojcostwo. Swoje marzenia i wyobrażenia życia osobistego i rodzinnego, dość gwałtownie – przyznacie – przez Pana pozmieniane i przeformatowane. Całą przyszłość, której oczekiwany i przygotowany spokój został naraz rozsadzony tysiącem pytań i nadchodzących gwałtownych doświadczeń. Swoją zaciszną, nazaretańską prywatność, która naraz stała się wydarzeniem przełomowym w dziejach Izraela i całej ludzkości – i to „aż do skończenia świata”. A na koniec – *last but not least* – rezygnację z jakichkolwiek własnych projekcji co do tego Dziecka, które stanie się im Mistrzem i Przewodnikiem po drogach paschalnych.

Właśnie to zawsze do mnie wyglądało z tego tekstu i wydarzenia. Tym razem wszakże dotarło do mnie z łaski Bożej jeszcze coś więcej.

Otóż wszystko to, całą tę ofiarę – ze swojego życia i działania oraz z samych siebie – wyrazili w ofierze z dwóch młodych gołębi.

Tak właśnie. To precyzyjnie mówi Łukaszowy tekst: nie Jezusa złożyli w ofierze, ale dwa młode gołębie – czyli ofiarę ludzi najuboższych z najuboższych. Prawo (zob. Kpł 12, 6-8) przewidywało jako ofiarę na oczyszczenie jednorocznego baranka i jednego gołębia. Ci jednak, których nie stać było na zakup baranka, mieli prawo go zastąpić drugim gołębiem. Ofiara najuboższych.

Składali w ofierze samych siebie – wszystko, kim byli, i każdy ze swoich czynów. Wyrazili to najskromniejszym z możliwych znaków. Czy nie chcieli w ten sposób powiedzieć Panu, w jaki sposób postrzegają samych siebie i swoją ofiarę?

W postawie maleńkości i prawdziwej pokory: „Oto, ile jest warta nasza ofiara – dwa gołąbki. Wiemy, ale to wszystko, co możemy Ci dać. Przyjmij to tak niewiele na swoją chwałę!”.

Jakaż odwrotność w stosunku do towarzyszących nam zazwyczaj emocji. Ile razy dając Bogu najmniejszy z możliwych darów, mamy ochotę z nim się obnosić, wynosić i pysznić – gdyby można, to przed całym światem.

Podejmujemy w życiu decyzje, które pociągają za sobą ofiarę: przyrzeczenie celibatu, śluby zakonne, nierozerwalne małżeństwo – jakżeż wysoko je jednak cenimy. Zresztą, nierzadko tak są naszym oczom owe decyzje prezentowane. Co za ofiarność! Jaki wysiłek! Do jak wielkiej wdzięczności daje tytuł i prawo!

A tymczasem – dwa gołębie. Tylko tyle. I aż tyle. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (18-25 II)

1. Niedziela Wielkiego Postu: Rdz 9, 8-15; Ps 25; 1 P 3, 18-22; Mk 1, 12-15;
Poniedziałek: Kpł 19, 1-2. 11-18; Ps 19; Mt 25, 31-46;
Wtorek: Iz 55, 10-11; Ps 34; Mt 6, 7-15;
Środa: Jon 3, 1-10; Ps 51; Łk 11, 29-32;
Czwartek: 1 P 5, 1-4; Ps 23; Mt 16, 13-19;
Piątek: Ez 18, 21-28; Ps 130; Mt 5, 20-26;
Sobota: Pwt 26, 16-19; Ps 119; Mt 5, 43-48;
2. Niedziela Wielkiego Postu: Rdz 22, 1-2. 9-13. 15-18; Ps 116; Rz 8, 31b-34; Mk 9, 2-10.

WOJNA DZIESIĘCIODNIOWA

Miesiąc miodowy premiera Morawieckiego skończył się, zanim na dobre się zaczął. Rząd, który miał być miły, nowoczesny i dobrze postrzegany za granicą, wkracza na ścieżkę wojenną z Izraelem i USA.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

STANISŁAW KOWALCZUK / EAST NEWS

Anna Azari, ambasador Izraela w Polsce, wychodzi ze spotkania z marszałkiem Senatu Stanisławem Karczewskim, Warszawa, 31 stycznia 2018 r.

To zdjęcie zrobiło w internecie furorę. Warszawa, koniec listopada 2017 r. Uroczysta szabasowa kolacja z udziałem izraelskiego ministra telekomunikacji Ajjuba Kary. Na spotkaniu ówcześni wicepremierzy Mateusz Morawiecki i Piotr Gliński, wicemarszałek Senatu Adam Bielan i wiceszef MSZ Jan Dziedziczak. Większość – w tym Morawiecki – zgodnie z obyczajem przywdziała kipy. Święto obchodzą w domu Żyda Jonny'ego Danielsa, kontrowersyjnego PR-owca, który kilka lat temu osiadł w Polsce. Przyszły premier siedzi po jego prawicy.

Daniels ma bardzo dobre kontakty w PiS. Na organizowane przez swoją fundację wręczenie odznaczeń dla Polaków ratujących Żydów podczas II wojny światowej ściągnął samego Jarosława Kaczyńskiego. Ba, utrzymuje zażyłe kontakty nawet z o. Tadeuszem Rydzykiem.

Wtedy, jesienią minionego roku, wszystko wskazuje na to, że obóz władzy próbuje za jego pośrednictwem zacieśnić nieformalne relacje z rządzącymi Izraelem. Dziś, raptem dwa miesiące po słynnym szabasie, Daniels mówi: – Zaczął się największy kryzys w naszych relacjach. To nie tylko moja opinia.

Wybuch bomby

Bomba wybuchła pod koniec stycznia, podczas obchodów 73. rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu zagłady Auschwitz-Birkenau. Izraelska ambasador Anna Azari w obecności świeżo upieczonego premiera Morawieckiego skrytykowała przyjętą chwilę wcześniej nowelizację ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej: „W Izraelu ta nowelizacja została potraktowana jako możliwość kary dla świadectw ocalałych z Zagłady. Wywołała dużo emocji. Rząd Izraela ją odrzuca".

O tym, że zostanie poruszony wątek ustawy, izraelscy dyplomaci ostrzegli polskie władze ledwie kilkanaście minut przed tym wystąpieniem. Otoczenie Morawieckiego zaczęło pospiesznie wydzwaniać do wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego. Ten na szybko opowiedział im o swoich spotkaniach ze środowiskami żydowskimi i dyplomatami amerykańskimi, tworząc zestaw argumentów dla premiera. Szkopuł w tym, że współpracownicy Morawieckiego i Jaki byli przekonani, że chodzi o ustawę reprywatyzacyjną, i to z niej odrobili lekcje.

Nikomu nie przyszło do głowy, że może chodzić o nowelizację ustawy o IPN – a Jaki pilotuje oba projekty. Dlatego, gdy ambasador wygłosiła swą mowę, nikt tak naprawdę nie wiedział, o co chodzi.

Zgrzyt był tym wyraźniejszy, że Morawiecki w swym wystąpieniu mówił: „Jest około 22 tys. Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Blisko 7 tys. z nich to Polacy. Ale to nie oddaje prawdy, bo w okupowanej Polsce za pomoc Żydom groziła natychmiastowa kara śmierci. W Yad Vashem brakuje jednego drzewa. Drzewa dla Polski".

Fiasko nowego otwarcia

Liczna reprezentacja rządowa na rocznicy, która wszak nie była okrągła, miała być elementem kontrofensywy PiS po głośnym reportażu telewizji TVN24 pokazującym polskich neonazistów, którym pobłaża prokuratura. Echa tego materiału słychać było w mediach na całym świecie. Znów, jak po Marszu Niepodległości, Polska została przedstawiona jako kraj rosnącej ksenofobii i antysemityzmu – a wszystko pod okiem niezbyt rychliwej polskiej nacjonalistycznej władzy. Oczywiście było w tym wiele przesady – wszak prokuratorska impotencja w sprawie swastyk to przypadłość wieloletnia, poprzedzająca rządy PiS. Nie zmienia to faktu, że Jarosław Kaczyński nie mógł takiego rozwoju sytuacji lekceważyć. Sama wymiana premiera z Beaty Szydło na Mateusza Morawieckiego miała na celu – co półgębkiem przyznał wicepremier Jarosław Gowin – służyć nowemu otwarciu po zagranicznej kanonadzie wywołanej Marszem Niepodległości.

To otwarcie okazało się jednak klapą. Morawiecki wpadł w pułapkę, którą wykreował sam PiS.

Przestrogi wewnątrz rządu

Źródeł obecnych kłopotów należy szukać dwa lata temu. Ministerstwo Sprawiedliwości przedstawiło wówczas, bez szczególnej fety, nowelizację ustawy o IPN, zawierającą następującą frazę: „Kto publicznie i wbrew faktom przypisuje Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za popełnione przez III Rzeszę Niemiecką zbrodnie nazistowskie (...) podlega grzywnie lub karze pozbawienia wolności".

Początkowo miało to być do pięciu lat odsiadki – więcej niż za negowanie Holokaustu – ostatecznie stanęło na trzech latach. Ścigani mieli być także cudzoziemcy, choćby używali takich sformułowań nieumyślnie.

Nawet w samym rządzie rozlegały się głosy, że dobrymi chęciami piekło jest ↦

↦ wybrukowane. Przestrzegało Ministerstwo Kultury, krytycznie wypowiedziało się MSZ. Ta wewnętrzna krytyka na niewiele się zdała. Jedyne ustępstwo, na jakie poszedł resort sprawiedliwości, to wyłączenie spod odpowiedzialności karnej naukowców i artystów.

Ambasada Izraela również przyjęła projekt z dużymi obawami. Poznała go 30 sierpnia 2016 r. na spotkaniu w resorcie sprawiedliwości – w tym samym dniu, kiedy dokument trafił do Sejmu. „Strona izraelska poinformowała, że w jej opinii ten projekt będzie odczytywany jako próba ograniczenia dyskusji o Holokauście i ograniczenia badań naukowych" – wynika z ujawnionych dziś dokumentów z tamtego czasu.

W sejmowej zamrażarce

W Sejmie prace nad projektem toczyły się niespiesznie.

7 listopada wypowiada się Biuro Analiz Sejmowych. Ma wątpliwości. Podstawową: czy państwo i naród można zniesławić. Bo poza karaniem więzieniem z kodeksu karnego rząd proponuje także drugą możliwość. Przyznaje Rzeczypospolitej Polskiej i narodowi polskiemu prawo do ochrony dóbr osobistych przed sądem wedle kodeksu cywilnego. „Model odpowiedzialności wynikającej z naruszenia dóbr osobistych został zaprojektowany w Kodeksie cywilnym dla osób, które mogą być podmiotami stosunków cywilnoprawnych. Według aktualnego stanu prawnego nie należą do nich ani »Rzeczpospolita Polska«, ani też »Naród Polski«" – pisze ekspert biura Jarosław Wyrembak.

Posłowie z Komisji Sprawiedliwości się tym nie przejmują. A powinni, bo Wyrembaka trudno uznać za prawnika nieżyczliwego władzy. Gdy pisał opinię w sprawie ustawy o IPN, był członkiem PiS. Wiele miesięcy później, w styczniu 2018 r., został przez tę partię wybrany do Trybunału Konstytucyjnego.

8 listopada 2016 r. posłowie przegłosowują projekt i rekomendują jego zatwierdzenie całemu Sejmowi. Tyle że na prawie 15 miesięcy trafia on do sejmowej „zamrażarki" – czyli nic się z nim nie dzieje.

Kluczowe spotkanie

Jest koniec stycznia 2018 r. Kilka dni po tym, gdy telewizja TVN24 emituje reportaż pokazujący polskich neonazistów, projekt zostaje w ekspresowym tempie przegłosowany. Plotki dobiegające z obozu władzy wskazują, że to minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro podsunął prezesowi Kaczyńskiemu leżakującą ustawę jako remedium na kłopoty wizerunkowe.

Przez tę wojnę może upaść „dobra zmiana" – mówi twardy pisowiec, przedstawiciel obozu władzy. – Naiwna jest wiara w to, że można walczyć z Izraelem, utrzymując sojusz z USA.

To tłumaczyłoby nieprawdopodobne tempo prac. Posłowie przyjmują ustawę 26 stycznia, dzień przed Międzynarodowym Dniem Pamięci o Ofiarach Holokaustu, co stanowi dodatkowy zgrzyt. W Izraelu oburzenie, ambasada twierdzi, że nie miała pojęcia, co przyjmie Sejm. Ministerstwo Sprawiedliwości odpowiada, że wszak przez kilkanaście miesięcy władze Izraela nie zgłaszały żadnych uwag.

Analiza wzajemnych pretensji prowadzi do wniosku, że kluczowe wydarzenia rozegrały się 19 stycznia 2018 r. Wiceminister Patryk Jaki spotkał się wówczas ze specjalnym wysłannikiem Departamentu Stanu USA ds. Holokaustu, Thomasem Yazdgerdim, w rozmowie uczestniczył także szef sekcji politycznej ambasady USA Aaron Fishman. Wedle Ministerstwa spotkanie było poświęcone projektowi ustawy reprywatyzacyjnej.

Ale strona żydowska twierdzi, że po spotkaniu dostała od Amerykanów sygnały uspokajające. „Kiedy amerykańska delegacja spotkała się z przedstawicielami Ministerstwa Sprawiedliwości, zapewniano ich, że pewne kwestie na pewno nie będą umieszczone w projekcie ustawy. Później okazało się, że te zapisy tam są" – stwierdził Jonny Daniels w rozmowie z Onetem.

Straceńcza misja

Po słowach Azari przyszły ataki jeszcze potężniejszego kalibru. Wypowiedzi najważniejszych izraelskich polityków – na czele z prezydentem, premierem i liderami opozycji – pokazały, co boli Żydów. Obwiniają część Polaków o współuczestnictwo w Holokauście i uważają ustawę za próbę fałszowania historii. Deputowany do Knesetu Ja'ir Lapid napisał wręcz o polskich obozach koncentracyjnych, obwiniając Polaków za śmierć swej babki – czego dowieść jednak nie potrafił.

W tej sytuacji wielu wpływowych przedstawicieli obozu władzy uważało, że należy ustawę przytrzymać w Senacie, dogadać się z Izraelem i odpowiednio zmienić zapisy, by nie budziły uprzedzeń ze strony środowisk żydowskich. – Ale Kaczyński zdecydował, że ustawa ma zostać przyjęta szybko i bez żadnych zmian – opowiada mi prominentny członek rządu, który był zwolennikiem kompromisu z Izraelem. – Uznał, że nie można pozwolić, by jakieś państwo tak wyraźnie wpływało na przyjmowane w Polsce prawo.

Tyle że pokazywanie Izraelowi twardości akurat w kwestiach dotyczących Holokaustu to misja straceńcza.

Ostatecznie obóz władzy wybrał rozwiązanie, które uważa za salomonowe. Prezydent ustawę szybko podpisał, bo weto rozwścieczyłoby twardy elektorat. Zaraz po podpisie skierował ją jednak do Trybunału Konstytucyjnego. Ponieważ PiS traktuje TK jak swego lokaja, to cel jest jasny: Trybunał ma wydać orzeczenie wedle ustalonego z Izraelem kompromisu, który będzie teraz negocjowany.

Państwo na swój sposób wielkie

Jaki jest bilans zysków i strat związany z polsko-izraelską wojną dziesięciodniową – liczoną od obchodów w Auschwitz po decyzję prezydenta?

Prezes PiS pokazał to, co i tak już wiadomo – że jego główną metodą polityczną w razie kłopotów jest jeszcze silniejszy atak. Problem w tym, że to, co może działać w kraju, w stosunkach międzynarodowych jest nieroztropne. Do grona krajów i organizacji międzynarodowych, z którymi PiS walczy – UE, Niemcy, Francja, Ukraina, Rosja – doszły Izrael i wspierające go USA. Nie ma innego kraju w Europie, który walczyłby na tylu frontach.

„Wiemy, że jesteśmy w pozycji słabszej, bo nasi przeciwnicy są bardzo mocni. Ci, którzy nas atakują, fałszują historię w sposób niebywale wręcz drastyczny" – stwierdził Kaczyński. I twardo bronił ustawy: „Nam odmówiono prawa do obrony własnej godności. Niestety prawda nie obroni się sama".

Gdy jesienią prezes PiS uczestniczył w uroczystościach fundacji Danielsa, nie mówił o Izraelu jako „przeciwniku". Mówił o „cudzie": „Izrael udowodnił, że nie terytorium, ale siła ducha i determinacja świadczą o wielkości państwa. Jest państwem na swój sposób wielkim. Tę wielkość musimy traktować jako dowód siły ducha, ale także jako dowód, że nad nami jest siła wyższa, która o wszystkim decy-

duje, bo bez niej Izrael nie mógłby istnieć. To cud naszych czasów".

Ekshumujmy Jedwabne

Wpływowy przedstawiciel obozu władzy, twardy pisowiec: – Przez tę wojnę może upaść „dobra zmiana". Naiwna jest wiara w to, że można walczyć z Izraelem, utrzymując sojusz z USA i gwarantując sobie dalszą obecność w Polsce amerykańskich żołnierzy, a jednocześnie obronić się przed sankcjami ze strony Unii Europejskiej. Robię, co mogę, aby przynajmniej zapobiec fali antysemityzmu. Ale jestem wstrząśnięty tym, co się dzieje.

Rzeczywiście, konflikt z Izraelem dał paliwo narodowym radykałom, których Kaczyński zawsze dotąd pacyfikował. Nie tylko po to, by nie powstała partia na prawo od PiS, co wiąże się z jego starą obawą o utratę twardego prawicowego elektoratu. Także po to, by nie budzić demonów. To ostatnie leżało na sercu zwłaszcza Lechowi Kaczyńskiemu. Nieżyjący prezydent mówił: „Ja mam głęboką niechęć do endecji. Postawienie na antysemityzm jako element konsolidacji narodowej było zasadniczym błędem. Antysemityzm, który zatruł umysły niemałej części ludzi, to nieszczęście dla Polaków".

Dziś narodowcy atakują Lecha Kaczyńskiego za to, że jako minister sprawiedliwości w 2001 r. wstrzymał ekshumację w Jedwabnem. Do tych ataków przyłącza się ojciec obecnego premiera.

– Powinny zostać przeprowadzone kolejne ekshumacje. Wiem, że to jest sprzeczne z żydowskim etosem, no ale jeśli nas się oskarża... – powiedział mi Kornel Morawiecki.

Rozkopanie zgliszcz po jedwabieńskiej stodole miałoby pomóc ustalić, ilu Żydów tam zginęło i w jaki sposób. To, zdaniem narodowców, miałoby oczyścić dawnych mieszkańców podlaskiego miasteczka, symbolizujących Polaków, którzy mordowali Żydów.

Poprzez swe błędy PiS nie tylko zgubiło antynacjonalistyczny etos Lecha Kaczyńskiego, ale naraziło pamięć o nim na ataki.

Premier przeszłości

Traci – i to bardzo – także Morawiecki junior. Premier na dobre czasy, który miał komunikować tylko rzeczy uchu miłe, chcąc nie chcąc obsadził się w roli kustosza sielankowej wersji narodowej pamięci. Miał być premierem przyszłości, został premierem przeszłości.

Bardzo szybko runął też mit o przemożnym wpływie Morawieckiego na Kaczyńskiego. O ile wciąż może żonglować teczkami personalnymi – kładąc na biurku prezesa jedne, by strącić inne – to w kwestii politycznego kierunku, w jakim podąża obóz władzy, nie ma nic do powiedzenia.

To Kaczyński zdecydował, że ustawa będzie przyjęta szybko – opowiada prominentny członek rządu. – Uznał, że nie można pozwolić, by jakieś państwo wpływało na przyjmowane w Polsce prawo.

Było to widać zwłaszcza w pierwszych kilkudziesięciu godzinach awantury. Morawiecki – co logiczne – chwycił za telefon i zadzwonił do premiera Izraela Beniamina Netanjahu. Strona izraelska uznała to za sygnał do zawieszenia broni, sądząc, że prace nad ustawą o IPN zostaną zatrzymane w Senacie. Jednak Kaczyński ani myślał to robić. W ten sposób, zostawiając Morawieckiego na spalonym, odebrał mu wiarygodność.

Zacierać ręce może tylko jeden człowiek. Choć to w jego resorcie skonstruowano bombę, która wybuchła rządowi w rękach, Zbigniew Ziobro nie tylko nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności, ale wręcz korzysta na uwikłaniu Kaczyńskiego i Morawieckiego w wojnę z możnymi tego świata, podlewaną antysemickim sosem w Polsce i antypolskimi przyprawami w Izraelu.

Twierdzenie, że Ziobro od początku do końca wyreżyserował ten spektakl i celowo wpakował Kaczyńskiego z Morawieckim na minę, jest jednak przesadą. Widać to wyraźnie po zachowaniu jego wiceministra i wiernego partyjnego towarzysza Patryka Jakiego, przerażonego, że za ustawę o IPN zapłaci głową. Ziobro po prostu dyskontuje sytuację, którą dał mu los.

Eskalację politycznego napięcia między Polską a Izraelem trudno było przewidzieć, bo jest wypadkową emocji, uprzedzeń i błędów po obu stronach. Nie bez znaczenia jest w nim również doraźna sytuacja polityczna w Izraelu, gdzie rząd Netanjahu się chwieje, a sam premier może trafić do więzienia za korupcję. Ja'ir Lapid – który rozpoczął publiczną wojnę izraelsko-polską – ma ambicje go zastąpić.

Powrót do przeszłości

Kiedy przed dekadą w Polsce obowiązywały już podobne przepisy, Izrael nie protestował. Wtedy także rządziło PiS, a senatorowie tej partii przy okazji rozszerzenia ustawy lustracyjnej dopisali do kodeksu karnego trzy lata więzienia za „pomówienie Narodu Polskiego o odpowiedzialność za zbrodnie nazistowskie". Taką poprawkę poparły zgodnie PiS i Platforma – w tym Donald Tusk i Grzegorz Schetyna – co było już wówczas rzadkością. Jesienią 2008 r. obowiązujące od półtora roku przepisy ze względów proceduralnych uchylił Trybunał Konstytucyjny. Zaskarżył je związany z PiS rzecznik praw obywatelskich Janusz Kochanowski.

W jednym z wywiadów Jarosław Kaczyński odrzucił sugestię, że jego brat nigdy nie dopuściłby do eskalacji napięcia w stosunkach z Izraelem: „Kompletnie się nie zgadzam, że mój brat zajmowałby inne stanowisko. Był za tym, aby unormować stosunki polsko-żydowskie, starał się o to, ale nie kosztem polskiej godności".

Z jednej strony tak – wszak pod koniec 2006 r. Lech Kaczyński podpisał wspomnianą ustawę lustracyjną z paragrafami dotyczącymi pomawiania narodu, mimo że Kochanowski namawiał go na weto. Z drugiej strony – nieżyjący prezydent nigdy by nie dopuścił do tego, czego świadkami jesteśmy dziś: demonstracji brunatnych młodzieńców i wzrostu nastrojów antysemickich.

W książce „Warto być Polakiem" – swoistym testamencie politycznym Lecha Kaczyńskiego – jest cały rozdział poświęcony współpracy Polski z Izraelem.

Można tam przeczytać fragmenty wywiadu udzielonego „Rzeczpospolitej" w maju 2008 r.: „W Izraelu istnieją pewne kłamliwe stereotypy dotyczące Polski, które są dla nas bardzo niekorzystne. Mam tu na myśli sprawę rzekomej współodpowiedzialności za Holokaust. Podobne stereotypy nie tylko są nieprawdziwe, ale po prostu zabójcze z punktu widzenia interesów naszego państwa. Musimy z nimi walczyć, między innymi poprzez edukację".

Ale jest tam także list, który Kaczyński w 2007 r. napisał do uczestników Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie: „Tragiczne wydarzenia ubiegłego stulecia sprawiły, że nie żyjemy już dzisiaj w jednym kraju, nie tworzymy jednego wspólnego państwa i społeczeństwa. Potrzebujemy jednak wszyscy – i Żydzi, i Polacy – kultywowania łączących nas więzi, które nie należą tylko do przestrzeni historii, ale są cząstką nas samych". ©

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Nie możemy zmieniać historii

NAFTALI BENNETT, MINISTER EDUKACJI IZRAELA:

Obozy były niemieckie, Polska była ofiarą Niemców i z nimi walczyła. Ale wielu Polaków pomagało w zabijaniu Żydów i zabijało ich na własną rękę. Żeby pójść razem naprzód, musimy móc o tym powiedzieć.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: Polska Pana zaprosiła, a potem spotkanie odwołała. Co Pan na to?

NAFTALI BENNETT: Myślę, że potrzeba będzie ciężkiej pracy, by dotrzeć do prawdy i odnowić dialog. Przyjąłem zaproszenie do dialogu opartego na prawdzie. W tej historii jest wiele różnych wątków, które musimy uznać. Na przykład to, że Polska została zaatakowana i podbita przez Niemcy, że była pod niemiecką okupacją w czasie wojny, że odważnie walczyła przeciw nazistom, że zorganizowała ruch oporu i antyniemieckie powstanie w Warszawie. Zdajemy sobie sprawę z tego, że tysiące Polaków ryzykowało życiem, żeby ocalić Żydów, i zdajemy sobie również sprawę – w pełni się zgadzamy i nie mamy żadnych wątpliwości – że obozy zagłady zostały wymyślone, zbudowane i zarządzane przez Niemców, mimo że zlokalizowano je na ziemiach polskich.

Respektujemy polską potrzebę nazywania obozów takimi, jakimi one były – niemieckimi. Ale jest coś jeszcze: to, że nagle ja – ktoś, kto reagował na polską ustawę w sposób chyba najbardziej umiarkowany z grona izraelskich polityków – zostałem zaproszony do Warszawy, a potem tę wizytę odwołano, oznacza brak akceptacji dla trudnej strony tej historii.

Trudno się dziwić, że wizytę odwołano. W Pana wypowiedziach na Twitterze, w oświadczeniach dla mediów nie mówi Pan nic np. o uznaniu dla powstania warszawskiego. Jak Pan sobie wyobraża dialog z Polską, pisząc, że „krew polskich Żydów krzyczy z ziemi" i że 200 tys. Żydów zostało zamordowanych przez Polaków?

Myślę, że właściwą drogą dla sojuszników jest wspólna praca oparta na prawdzie. Tym bardziej uważam, że odwołanie mojej wizyty było błędem, bo w przeciwieństwie do wielu innych polityków w Izraelu sprawdziłem bardzo dokładnie fakty, zanim o nich napisałem.

Wielu Polaków w czasie wojny pomagało w zabijaniu Żydów – zabijało ich na własną rękę albo wydawało ich Niemcom. Nie wyssałem tego z palca. Spotykam się ze świadkami historii, słyszę to od tylu różnych osób w tylu różnych miejscach. A więc te przypadki to nie są wyjątki, lecz zjawisko powszechne. Świadczą o tym liczby, jak na przykład ta, że aż 200 tysięcy Żydów mogło zginąć z rąk Polaków. To jest pełny obraz historii, taki, jak go rozumiemy. Oczywiście nie oskarżamy dzisiejszych generacji Polaków o to, co się stało 70 lat temu! Musimy wejść w dialog, ale nie możemy odrzucać faktów.

Opowiem pani historię osobistą, dziadka mojej żony, zresztą jedną z wielu, jakie usłyszałem. Nazywał się Eliasz Rodzynek, w okupowanej przez Niemców Polsce próbował uciec przed Zagładą. Mówił świetnie po polsku, wyglądał jak Polak. Jego matka i dwóch młodszych braci nie mieli tego szczęścia – mieli żydowski wygląd, mówili z silnym akcentem, dlatego ukrywał ich w lasach, przemieszczając się z miejsca na miejsce. W listopadzie 1944 r. szedł do kryjówki w Łukowie i po drodze zobaczył młodych chłopaków. „Zabiliśmy twoją matkę i braci", powiedzieli i poszli dalej. Pobiegł na miejsce i faktycznie znalazł matkę i braci nieżywych.

Takich historii słyszałem bardzo dużo, taka jest pamięć wielu osób, którym cudem udało się przeżyć Holokaust. Antysemityzm był w Polsce przed, w czasie i po wojnie, przecież nawet wtedy zdarzały się pogromy... A więc żeby pójść razem naprzód, musimy móc o tym powiedzieć. Proszę zauważyć, że zacząłem naszą rozmowę z wielkim szacunkiem do Polski, która była w tym samym czasie ofiarą Niemców i która w dodatku z nimi walczyła.

Więc skąd się Panu wzięło to 200 tysięcy?

Z liczbami jest problem, bo nigdy nie będziemy ich znali dokładnie. Ze Sprawiedliwymi jest łatwiej – znamy imiona i nazwiska wielu z nich, byli po Holokauście odnotowywani. Tych, którzy zabijali czy wydawali, nikt nie liczył, bo trudno, by ktoś się po wojnie zgłosił i dobrowolnie przyznał do zbrodni. Moją liczbę opieram na szacunkach Jana Grabowskiego, ale trzeba zaznaczyć, że jest wiele badań prowadzonych w tej dziedzinie.

Jest w tym wszystkim coś, co mnie szczególnie martwi: jesteśmy ostatnią genera-

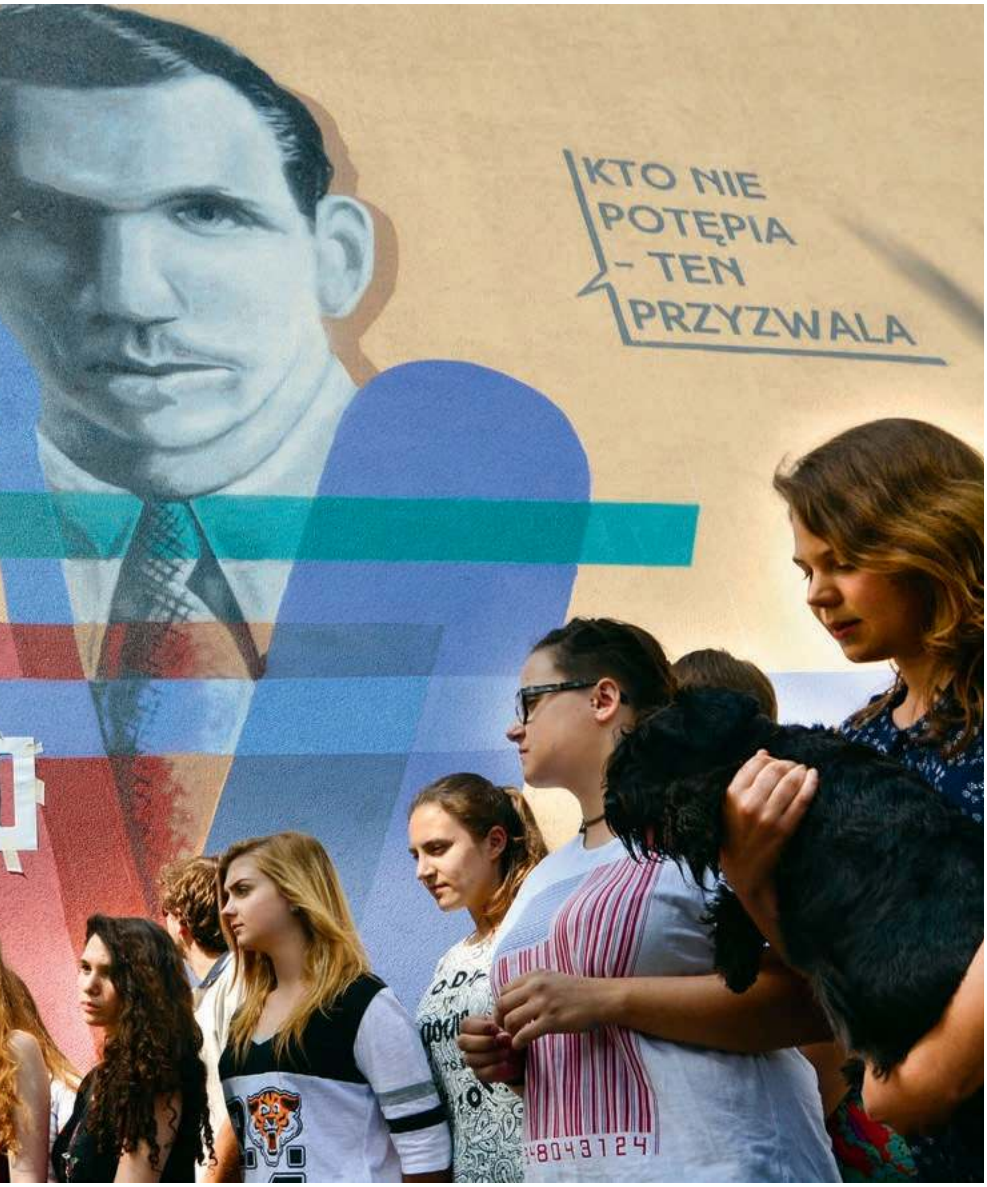

MARIUSZ GACZYŃSKI / EAST NEWS

Mural poświęcony Janowi Karskiemu stworzyła grupa młodzieży z Polski, Izraela i Niemiec. Warszawa, sierpień 2014 r.

cją, która poznała ocalonych osobiście. Moje wnuki już nie będą z nimi rozmawiać. Proszę mnie zrozumieć: to nie jest tak, że nagle tysiące Żydów z Polski, którzy przyjechali po wojnie do Izraela, postanowiło sobie wymyślić jakąś historię. Jeśli teraz nie staniemy w prawdzie, stracimy ją na zawsze.

Chcemy się przyjaźnić, mieć ogromny szacunek do siebie nawzajem, ale nie możemy zmieniać historii. A ona jest taka, że w Polsce był antysemityzm, i że zdarzało się, że Polacy zabijali Żydów.

Tu się z polskim rządem możecie porozumieć. A więc dlaczego – zamiast się spotykać – prowadzicie wymianę ostrych słów na Twitterze? A potem jeszcze z mediów dowiadujemy się, że zaproszenie dla Pana było nie ze strony rządu, lecz ze strony małej fundacji? Dlaczego działacie w ten sposób, gdy relacje są tak napięte i wiszą na włosku?

Ja zrozumiałem, że zostałem zaproszony przez polskiego wicepremiera. Tak, mój przyjazd był zorganizowany przez kilka organizacji, ale zaproszenie wyszło od wicepremiera.

Miałem nadzieję na dobrą i szczerą dyskusję z nim, bo myślę, że obu stronom zależy na dobrych stosunkach. Jak już powiedziałem: nie obwiniam współczesnych Polaków za przeszłość. Liczyłem i nadal na to liczę, że naprawimy nasze relacje w oparciu o prawdę. Ale jednego zrobić nie mogę: nie mogę zacząć mówić inaczej tylko po to, żeby kogoś udobruchać. Szczególnie jako minister edukacji żydowskiego narodu.

Co Pana naród wie o historii Polski?

Myślę, że z powodu tego kryzysu izraelska opinia publiczna paradoksalnie stała się bardziej świadoma polskiej historii w czasie Holokaustu. W szkołach uczymy przede wszystkim o tym, co Niemcy zrobili Żydom – nie uczymy dokładnie o tym, co się działo w Polsce, Rosji czy na Ukrainie. Teraz myślę, że ta polska historia jest bardzo ważna, że trzeba ją opowiedzieć. Ale nie za cenę zmiany faktów, o których mówiłem.

Co roku Polskę odwiedzają szkolne wycieczki z Izraela. Polska opinia publiczna jest oburzona faktem, że skupiają się na obozach i cmentarzach, sporadycznie spotykają z młodymi Polakami i właściwie nie widzą współczesnej Polski – za wyjątkiem centrów handlowych. Podobno polska dyplomacja od lat próbowała zmienić tę sytuację, sugerować zmiany. Dlaczego Izrael to zignorował?

To ciekawe, bo ja się o tej perspektywie dowiedziałem dopiero teraz, na fali obecnego kryzysu. Nie słyszałem o tym wcześniej, a jestem ministrem od trzech lat. Chcę powiedzieć jasno: to, czego uczymy podczas tych wizyt – wizyt, które są dla nas bardzo ważne – dotyczy życia żydowskiego w Polsce na przestrzeni wieków i tego, że to życie w Polsce kwitło. Jest powód, dla którego Żydzi osiedlali się w Polsce, a nie w innych krajach: to Polska była najbardziej otwarta. W czasie tych wycieczek mówimy o tym życiu, ale także oczywiście o Holokauście. To nauka o Zagładzie jest centralnym punktem tych wyjazdów.

Podkreślam jednak: nie chodzi o pokazywanie Polski w negatywnym świetle. Mówimy podczas tych wyjazdów o tym, co Żydom zrobili Niemcy. Oraz o tym, że było wiele przypadków kolaboracji z nimi, celem zgładzenia Żydów w wielu różnych krajach Europy, także w Polsce. Ale mówimy też o tym, że była pewna liczba Sprawiedliwych nie-Żydów, a najwięcej wśród nich było Polaków. Nie uczymy o tym, że Polska budowała obozy.

Ale to Pan niewiele ponad tydzień temu zdecydował, że izraelscy uczniowie mają wziąć udział w specjalnych lekcjach, które będą informowały o udziale Polaków w Zagładzie. Czy dobrze zrozumiałam komunikat prasowy?

W ubiegłym tygodniu w wielu szkołach w Izraelu faktycznie odbyły się lekcje o tym, jak europejskie narody ↦

↦ zachowywały się podczas Holokaustu. Zawsze była to zresztą część szkolnego programu, ale nie główny wątek. Tym zawsze były Niemcy: dojście Hitlera do władzy, ustawy norymberskie, noc kryształowa, antysemityzm, ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej. W Izraelu wątek Sprawiedliwych jest bardzo istotną częścią rozumienia tej historii: szanujemy ich, Yad Vashem przyznaje im najwyższe odznaczenia, cały Izrael oddaje im hołd. A więc nie umniejszamy tego wątku. Ale prawda jest taka, że to była mniejszość wobec głównego nurtu zachowań względem Żydów pośród europejskich narodów.

Na fali ostatniego sporu w Izraelu padły propozycje, by zrezygnować całkowicie ze szkolnych wycieczek do Polski. Argumenty były dla mnie zaskakujące: nie ma sensu wspierać przemysłu turystycznego w Polsce i lepiej przeznaczyć środki na lepszą edukację w samym Izraelu.

Nie zgodziłem się na to. Faktycznie, napisało do mnie wiele osób z prośbą, by zrezygnować z wyjazdów. Uważam jednak, że to byłby ogromny błąd. Myślę, że te delegacje są dla nas bardzo ważne – nie zrezygnujemy z nich, bo są ważnym narzędziem edukacyjnym. Dla Żydów wyjazd do Polski to nie tylko niemieckie obozy zagłady, ale też doświadczenie życia, które tętniło przed wojną w Warszawie, w Krakowie czy w Łodzi. Ta wizyta ma opowiedzieć o życiu tych, którzy później zostali zamordowani.

Wie pani, w życiu nie odwiedziłem Niemiec. Miałem też wiele oporów przed wyjazdami do Polski. Ale gdy pojechałem tam po raz pierwszy, cztery lata temu, zmieniłem swój pogląd na ten temat, a nawet stałem się wielkim orędownikiem tych podróży. Nie zamierzam nas, Izraelczyków, karać w związku z ostatnim kryzysem – bo rezygnacja z wyjazdów byłaby taką karą. Myślę, że byłby to błąd.

AMIR COHEN / REUTERS / FORUM

NAFTALI BENNETT *(ur. 1972) jest ministrem edukacji Izraela i szefem partii Ha-Bajit Ha-Jehudi (Żydowski Dom), ugrupowania prawicowego, syjonistycznego i religijnego, lecz nie ultraortodoksyjnego – zyskującego spore poparcie pośród mieszkańców żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu Jordanu. Zanim stał się politykiem, robił karierę w branży start-upów i high-tech. Służbę wojskową odbywał w elitarnej jednostce rozpoznawczej sztabu generalnego izraelskiej armii. Ma polskie korzenie, choć do Izraela jego rodzina wyemigrowała już ze Stanów.*

■ W ubiegłym tygodniu, w związku z kryzysem na linii Polska–Izrael, minister Bennett miał przylecieć do Warszawy na zaproszenie fundacji From the Depths Jonny'ego Danielsa. Miał spotkać się z członkami polskiego rządu i wygłosić przemówienie, które miało załagodzić sytuację i przedstawić izraelski punkt widzenia. Do wizyty nie doszło: strona polska odwołała ją po tym, jak w wysłanej do mediów informacji prasowej Bennett oświadczył, że „polski naród miał swój udowodniony wkład w mordowanie Żydów podczas Holokaustu. Przeszłość nie może być przepisana, ale przyszłość napiszemy razem".

Może należałoby te wycieczki wykorzystać jako pozytywne narzędzie w przezwyciężeniu kryzysu, np. włączyć do programu obowiązkowe spotkania młodzieży polskiej i izraelskiej, które na razie są opcjonalne? Może trzeba pojechać wspólnie do Auschwitz, a potem do Markowej? Sam Pan przecież mówi w wywiadach, że jest przeciwny kształtowaniu pamięci za pomocą kary więzienia, i że wierzy Pan w siłę edukacji.

Nigdy się nad taką koncepcją nie zastanawiałem. Dopiero o niej usłyszałem, więc trudno mi odpowiadać. Ale jestem zwolennikiem samych wycieczek. A także – wzmocnienia relacji izraelsko-polskich. Gdy byłem w Polsce, spotkałem się z waszymi ministrami i przekonałem się, jak głębokie są ich narodowe uczucia. Bardzo je szanuję. Pamiętam historie odważnych, a jednocześnie rozpaczliwych walk Polaków w obronie ojczyzny we wrześniu 1939 r. Wiem, że to jest wielkie źródło polskiej dumy. Świat i historia są złożone i musimy tę złożoność zaakceptować. Historia nie jest biało-czarna. Nikomu nie życzę, by musiał przejść przez to, czego Żydzi i Polacy doświadczyli w czasie tych sześciu ciemnych lat.

Przyjedzie Pan wkrótce do Polski?

Nie wiem. Nie będę się narzucał, skoro nie jestem mile widziany. Myślę, że musimy teraz wszyscy wziąć głęboki oddech, jeszcze raz o wszystkim pomyśleć i zastanowić się, jak możemy wspólnie kształtować przyszłość przez uznanie i zaakceptowanie naszej złożonej przeszłości. ©

Rozmawiała
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Czytajcie „Żydownik Powszechny"!

Antologia najważniejszych tekstów „Tygodnika" poświęconych tematyce Zagłady i polskiego stosunku do niej, antysemityzmu oraz relacji między katolicyzmem a judaizmem.

W tym zbiorze, wydanym pod prowokacyjnym tytułem „Żydownik Powszechny", znajdą Państwo esej Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto", a także inne pamiętne teksty – pióra Władysława Bartoszewskiego, Jerzego Turowicza, ks. Stanisława Musiała, kard. Stanisława Dziwisza, Marka Edelmana, Stefanii Skwarczyńskiej, Czesława Miłosza czy Jana Tomasza Grossa.
Teksty dyskutowane, tłumaczone na inne języki i wyróżniane najważniejszymi nagrodami dziennikarskimi z odwagą podejmują problemy trudne i dotykają ciemnych kart polskiej przeszłości.

Zbiór do kupienia w wydaniu elektronicznym pod adresem: **powszech.net/zydownik**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PATRYK STOLARZ / ESK WROCŁAW

Pikieta narodowców przed Pałacem Prezydenckim, 5 lutego 2018 r.

Jak dziarscy chłopcy Andrzeja Dudę zagrzewali

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Podczas pikiety przed Pałacem Prezydenckim najważniejsi liderzy narodowców wygłosili przemówienia przesycone jawnym antysemityzmem.

Wieczór przed trudną decyzją o podpisaniu nowelizacji ustawy o IPN prezydent Andrzej Duda nie był sam. Pod jego oknami stawili się młodzi ludzie pragnący dodać mu otuchy. Mieli ze sobą flagi z falangą i transparenty z hasłami: „Stop żydowskiej agresji na Polskę", „Żydowskie roszczenia są bezzasadne", „Zdejmij jarmułkę, podpisz ustawę". Skandowali: „Dosyć, dosyć żydowskich kłamstw!", „Nie przepraszam za Jedwabne!", „Koniec wesela, wracajcie do Izraela!", „Znajdzie się kij na lewacki ryj!". Krzyczeli o żydowskiej chciwości i spiskach.

Na dziennikarzach i politykach ta pikieta nie zrobiła większego wrażenia – może poza Pawłem Kukizem, który korzystając z okazji przeprosił za wprowadzenie narodowców do Sejmu. Manifestację zrelacjonowano tu i ówdzie, ale niezbyt szczegółowo. Dziwne, bo ledwie dwa tygodnie wcześniej szeroko omawiano tajne urodziny Adolfa Hitlera, a politycy wszystkich opcji deklarowali chęć delegalizacji skrajnych ugrupowań.

Żeby nie sprowadzić problemu faszyzmu w Polsce do śmiesznego tortu ze swastyką z wafelków, trzeba odnotowywać nie tylko to, co dzieje się w wodzisławskich lasach, ale przede wszystkim to, co dzieje się w centrum stolicy. Więc odnotujmy.

Winnicki: żydokomuna podnosi łeb

Gwiazdą był poseł na Sejm RP Robert Winnicki, prezes Ruchu Narodowego. Na początek odniósł się do kontrmanifestacji Obywateli RP: „Nie dziwimy się, że przyszli tu spadkobiercy żydokomuny, która mordowała Polaków". I wyjaśnił cel nowelizacji: „Ta ustawa jest po to, żeby zaprowadzić porządek w polskim domu".

Przekonywał, że Żydzi zakłamują historię II wojny: „ludobójstwo popełnione na Żydach ma być czymś szczególnym, a niestety nie jest czymś szczególnym, niestety w XX wieku ludobójstw mieliśmy wiele, i również w II wojnie ludobójstwo było popełnione na narodzie polskim". I dodawał: „W tym wywyższaniu się żydowskim jest po prostu zawarta nieprawda, jest zawarte kłamstwo". Tłumaczył, że ostra reakcja władz Izraela wiąże się z przyjętą przez amerykański Senat tzw. ustawą JUST (która zobowiązuje sekretarza stanu USA do monitorowania, czy prawo sygnatariuszy deklaracji terezińskiej z 2009 r. do zwrotu mienia skonfiskowanego w czasach Holokaustu jest przestrzegane). „Powodem są pieniądze, i to niemałe pieniądze. Dziesiątki miliardów dolarów, które w sposób nieuprawniony środowiska żydowskie chcą uzyskać od Polski, chcą doprowadzić do regularnego zagrabienia polskiego mienia, wypracowanego po roku 1945. (...) Taka jest prawda! Środowiska żydowskie chcą okraść Polskę i Polaków, i dlatego ta kampania zniesławiająca".

Winnicki zagrzewał zgromadzonych: „Musimy przejść do kontrataku! Musimy powiedzieć o tym również, że byli żydowscy współpracownicy Niemców w dziele ↦

↦ Holokaustu. (...) Skoro tak perfidnie atakują, przypomnijmy, co robili Żydzi z UB po II wojnie światowej, jak mordowali polskich patriotów". Wystąpienie zakończył groźbą: „Zorganizujemy wystawę na ten temat. Opowiemy Polsce i światu żydowskie zbrodnie na Polakach po II wojnie światowej. Przypomnimy o żydokomunie, która i dzisiaj podnosi łeb tutaj. Wystartujemy z taką kampanią. Dziękuję serdecznie, czołem Wielkiej Polsce!".

Niech prezydent nie pali świec

Mikrofon przejął Robert Bąkiewicz, prezes Stowarzyszenia Marsz Niepodległości. Mówił mniej składnie, ale za to z większą ekspresją: „Chcemy, żeby prezydent podpisał i nabrał w końcu odwagi! Żeby pokazał, że jest Polakiem, że stoi po stronie Polski i Polaków, a nie, że tak jak w grudniu pali świece chanukowe ze środowiskami żydowskimi, klepie się po plecach z nimi, przeprasza za niejaki wymyślony pogrom kielecki". Apelował do bliżej nieokreślonych żydowskich „piątych kolumn" i „jaczejek". Płynnie przeszedł do księgowości: „Przypomnijmy Muzeum POLIN, wydaliśmy tyle milionów złotych, a Muzeum Żołnierzy Wyklętych dalej nie ma, nie ma Muzeum Kresów Polskich, nie ma Muzeum Historii Polski. W grudniu – sto milionów złotych na żydowski cmentarz, a nie ma pieniędzy na cmentarze, które są na Kresach. Jak to jest, że tyle pieniędzy wkłada państwo polskie jednostronnie, broniąc interesów żydowskich, zabraniając Polakom, patriotom i narodowcom, demonstrować przed ambasadą Izraela?! Niektórzy mówią i się śmieją, że zbudowali nowe getto żydowskie".

Bąkiewicz zajął się też kwestią edukacji: „Musimy rozpocząć odkłamywanie historii, rozpocząć od Jedwabnego. Szesnaście lat temu minister sprawiedliwości [Lech] Kaczyński wstrzymał ekshumacje na terenie Jedwabnego i ta historia do dzisiaj służy do obwiniania narodu polskiego o Holokaust. Dzisiaj polskie dzieci – wiem to dobrze, moja córka musiała się uczyć tego również – uczą się, jak Polacy mordowali Żydów w Jedwabnem! Czyż to nie jest poniżające, czy my, polski naród, możemy sobie na to pozwolić? W imieniu Obozu Narodowo-Radykalnego chciałem wydać w tej chwili oświadczenie odnośnie Jedwabnego". Sięgnął po kartkę, żeby odczytać apel o przeprowadzenie ekshumacji i „dokładne wyjaśnienie zbrodni, o którą – według wielu dowodów – zupełnie niesprawiedliwie oskarżono naród polski".

ROBERT WINNICKI:

„Niech polska klasa polityczna tak samo chętnie jak pali chanukowe świece i zakłada jarmułki – tak samo chętnie stanie po stronie polskiego interesu narodowego".

Dzięki nam przepchnęli ustawę

Wreszcie nadeszła kolej wiceprezesa Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, członka zarządu Ruchu Narodowego Witolda Tumanowicza. Przekazał zgromadzonym motywującą wiadomość: „Dowiadujemy się z kręgów partii rządzącej, że to właśnie dzięki naszym protestom, dzięki temu, że jesteśmy tutaj, dzięki temu, że zapowiedzieliśmy manifestację pod ambasadą Izraela, oni tak szybko przepchnęli ustawę przez Senat". Robert Winnicki z uznaniem pokiwał głową i zachęcił do oklasków, a Tumanowicz przytoczył ludową mądrość: „Zawsze jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze". I przypomniał: „Pamiętajcie, że za tą całą aferą stoją ogromne, ogromne pieniądze, ogromne środowiska wpływu, które mają potężne zasoby do tego, aby zniesławiać ludzi, którzy bronią prawdy. Także na nasze środowisko, na środowisko narodowe, właśnie wylała się taka fala zniesławienia. Tak jakby wiedzieli wcześniej, przygotowywali grunt do tego, żeby Polskę zaatakować. A kolejnym krokiem będzie to, by wyciągnąć od nas pieniądze".

Ostatnie słowo należało do Winnickiego: „Dobrze, że ta afera się zdarzyła. Wiecie dlaczego? Dlatego, że maski opadły. Że nikt już nie będzie mógł mówić bezkarnie o tym, że Izrael to nasz przyjaciel, opowiadać tych bzdur". Zaapelował do władz państwowych: „Niech polska klasa polityczna tak samo chętnie jak pali chanukowe świece i zakłada jarmułki – tak samo chętnie stanie po stronie polskiego interesu narodowego". I do władz kościelnych: „Jako katolik, jako wierzący, jako czciciel prymasa Wyszyńskiego jest mi wstyd, że Episkopat – a zwłaszcza czołówka Episkopatu, która znajduje czas, żeby robić Dni Judaizmu, Dni Islamu, potępiać nacjonalizm – od dziewięciu dni milczy. To jest hańba, hańba i zdrada dziedzictwa prymasa Wyszyńskiego, zdrada jego narodowej linii".

Pikieta zakończyła się skandowaniem głównego hasła manifestacji: „Odwagi, Polsko! Prezydencie, podpisz!".

Nie ma możliwości

Prezydent podpisał. I to już następnego dnia. Zapowiedział, że najbardziej kontrowersyjny artykuł skieruje do Trybunału Konstytucyjnego. To pusty gest nie tylko dlatego, że skoro nie jest się pewnym konstytucyjności ustawy, nie powinno się jej podpisywać. Ale także dlatego, że nie ma w Polsce żadnego Trybunału. Jest atrapa, którą Andrzej Duda zbudował razem z Beatą Szydło na polecenie Jarosława Kaczyńskiego.

Ogłaszając swoją decyzję, prezydent zapewnił – po raz kolejny w swojej kadencji – „że dla żadnej, jakiejkolwiek iskry nienawiści, niechęci między narodami, niechęci na tle etnicznym w Polsce absolutnie nie może być miejsca". Nie może być miejsca? Przecież było poprzedniego wieczora, i to pod pałacem prezydenckim. Od dwóch lat takie miejsce jest też w parlamencie, na twitterach ministrów i w publicznej telewizji.

Następne zdanie z prezydenckiego oświadczenia brzmiało: „Nie ma możliwości, żeby w Polsce były tolerowane jakiekolwiek przejawy nienawiści na tle rasowym, a przede wszystkim antysemityzmu". Nie ma możliwości, żeby były tolerowane? Przecież były tolerowane dzień wcześniej: narodowcy dostali ochronę policji, która nie interweniowała. ©℗

KALINA BŁAŻEJOWSKA

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Grodzisku Mazowieckim, I Wydział Cywilny, zawiadamia o toczącym się postępowaniu w sprawie o sygn. akt I Ns 276/17 z wniosku Katarzyny Natkańskiej, z udziałem Jacka Tomaszewskiego i Pawła Tomaszewskiego, o stwierdzenie zasiedzenia zabudowanej nieruchomości położonej w miejscowości Błonie przy ul. Piłsudskiego 18, stanowiącej działkę o nr. ewid. 26 w obrębie nr 143201_4.0023,23 o powierzchni 0,0934 ha, dla której nieprowadzona jest księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym wypadku mogą zostać pominięci przy rozpoznawaniu sprawy.

ANNA

Dziewit-Meller: *Ugryźć się w język*

Od dawna już tak wielu nie zawdzięczało tak dużo tak nielicznych. Dzięki medialnej ofensywie rządu w najbliższym czasie nie spotka mnie nigdzie na świecie upokarzająca, a powtarzająca się w przeszłości sytuacja, w której niemający oczywiście złych intencji, ale po prostu niedouczony człowiek uśmiechał się porozumiewawczo mówiąc: „*Poland? Poland? Oh yeah – Amsterdam! Marihuana! Good stuff!*".

Cieszę się, że pierwsze jaskółki zmian już nadciągają i że poseł Andrzej Melak z PiS pochylił się nad „Medalionami" Zofii Nałkowskiej. „Wiem, że autorce nie chodziło o przypisywanie nam zbrodni niemieckich, ale należy to wyjaśnić. Książkę czytają uczniowie, czytają ludzie za granicą i mogą to źle zrozumieć – rzekł w rozmowie z Wirtualną Polską. – Koniecznie trzeba tam zawrzeć dopisek, że obozy były niemieckie, że to Niemcy je stworzyli na terenie Polski. Chodzi o prawdę".

Nie wiedziała ta biedna Nałkowska, co czyni. Ale można to zrozumieć, tak po ludzku, zwyczajnie – człowiek po wojnie to nieraz zakręcony był taki, że czasem jakąś głupotę palnął. Na szczęście Nałkowska ma nas! Poprawimy i już będzie dobrze.

Przy całym moim entuzjazmie dla promocji dobrego imienia Polski w świecie chciałabym jednak wyrazić swój niepokój. Uważam bowiem, po konsultacjach z ludnością pochodzenia zagranicznego, że są i inne frazy, które zasługują na wyrugowanie za pomocą ustawy.

Znajomy Walijczyk uważa np., że konieczna jest zmiana w nazwie Układu Warszawskiego. „Wielu z nas, urodzonych pod koniec lat 70. na Zachodzie, istnienie Warszawy zauważało właśnie poprzez tę nazwę". Przypomnę młodszym czytelnikom, iż był to sojusz polityczno-wojskowy państw bloku wschodniego. Sankcjonował podział Europy i tym samym miejsce Polski w radzieckiej strefie wpływów. Układ ten rzeczywiście podpisano w Warszawie. Czy jednak – jak przytomnie zauważa walijski kolega – chcemy, by nadal w świadomości ludzi Zachodu nasza stolica kojarzyła się z tym niechlubnym paktem, który przypieczętował powojenny ład? No chyba nie! W dodatku miał on swoją drugą nazwę – Układ o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej. Nie rozumiem, dlaczego z niej nie korzystać?

Nie muszę chyba nawet wspominać, że poważnym niedopatrzeniem jest brak refleksji nad wyrażeniami takimi jak „getto warszawskie", „getto łódzkie" i inne. Nie zgadzajmy się na utożsamianie mieszkańców Warszawy, Łodzi czy dalibóg Sosnowca z twórcami gett. „Niemieckie getto utworzone z myślą o ludności żydowskiej w Warszawie". Czy może lepiej „getto utworzone przez Niemców dla Żydów w Warszawie". Czyli od dziś żadnej rocznicy powstania „w getcie warszawskim".

Na kolejny problem wskazał pewien Australijczyk. Dla niego brzmienie słowa Warszawa w tłumaczeniu na angielski jest po prostu nie do przyjęcia. „Nie znam żadnej innej nazwy miasta, której brzmienie byłoby choć w połowie tak okropne. *War* – wojna i *saw* – piła, zbite w jedno słowo? Koszmar. Flaki, krew i odcinane kończyny, oto z czym mi się to kojarzy. Nie miałbym ochoty na wizytę w takim miejscu".

Jeśli poważnie myślimy o ochronie wizerunku Polski, powinniśmy wpisać do ustawy paragraf o zakazie używania anglojęzycznej nazwy naszej kochanej stolicy. Warszawa, a nie Warsaw! Jeśliś patriota.

Wiem, że następna sprawa, o której chcę wspomnieć, jest niestety niemożliwa do rozwiązania na niwie ustawowej, ale skoro naprawiamy już świat za pomocą zmian w języku, to namawiam gorąco Redutę Dobrego Imienia i Polską Fundację Narodową, by część swoich niewąskich środków przekierowały na odcinek walki z tymi, co to decydują o języku niemieckim. Otóż konieczna jest medialna i dyplomatyczna ofensywa w celu wyrugowania z niemczyzny słowa „*führer*". No przecież nie może być tak, że wchodzi Polak do księgarni w dajmy na to Hamburgu albo Darmstadt i widzi w dziale książek podróżniczych napis „*Reiseführer*". Nie może być tak, że pod pozorami niewinnych „przewodników" ukrywa się tak naprawdę słowo niosące zbrodniczą treść. Przypomnę tylko, że tytuł używany przez Adolfa Hitlera on sam określał mianem „najpiękniejszego, bo wyrastającego z ducha języka". Czy trzeba pisać cokolwiek więcej? Jak mamy Was, Niemcy, przekonać, żebyście się zajęli tym, co u was szwankuje?

O tym, że warto pewne sprawy doprowadzić do końca, niech zaświadczy przykład Włoch, gdzie za chodzenie w czarnej koszuli można najwyżej dostać w pysk od przygodnego przechodnia, zamiast jak u nas pójść na trzy lata do ciupy. Co napisawszy, stwierdzam, że obrony godności narodowej mogą się oni od nas uczyć, a zatem należy im jak najszybciej wysłać posła Melaka, żeby im pokazał, jak to się robi w Warszawie. ©

Kluby „TP" zapraszają:

BERLIN: „Oczami streetworkerki. BEZdomNOŚĆ". Gościem będzie Natalia Wojciechowicz, od 2 lat pracująca z bezdomnymi Polakami w Berlinie. 15 lutego, godz. 19.00, klasztor oo. Dominikanów (Oldenburger Str. 46, 10551 Berlin-Moabit).

WARSZAWA: „Sługa Temidy, świadek czasów". Gośćmi będą prof. Adam Strzembosz i Stanisław Zakroczymski. 15 lutego, godz. 19.00, KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro).

ZIELONA GÓRA: „Media i polityka". Gościem będzie Dominika Wielowieyska. 15 lutego, godz. 18.00, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

Kawiarenka klubowa: „Gdy pytanie jest wyzwaniem – wywiad bez tajemnic". Gościem będzie Katarzyna Kubisiowska, dziennikarka „TP". 17 lutego, godz. 16.00, Stacja Muranów (ul. Andersa 13).

PLESZEW: Powstaje nowy klub. 21 lutego, godz. 17.00, Centrum Wspierania Inicjatyw Obywatelskich (ul. Bolesława Krzywoustego 3).

SŁUPSK: Spotkanie integracyjne. 21 lutego, godz. 17.00, Herbaciarnia Spichlerz Richtera (Rynek Rybacki).

BYDGOSZCZ: „Alejchem szalom. Między asymilacją a wyobcowaniem". Prowadzenie Piotr Mazurkiewicz. 22 lutego, godz. 18.00, Sala Pamięci Bydgoszczan Biblioteki Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego (ul. Szymanowskiego 3).

KRAKÓW: Dyskusja nad książką „Tischner czyta katechizm". 23 lutego, godz. 18.00, Instytut Myśli Józefa Tischnera (ul. Sławkowska 14, I piętro).

KOŚCIÓŁ BEZ KROCHMALU

PAPIEŻ FRANCISZEK:

Nikt nie może mieć wiary sam z siebie.
Nawet gdybyś przeczytał całą bibliotekę.
To dar. I jeśli nie masz tego daru, Bóg zbawi cię w inny sposób.

DOMINIQUE WOLTON: Jak prowadzić dialog z ateistami i niewierzącymi, którzy nie uznają grzechu pierworodnego ani winy?

PAPIEŻ FRANCISZEK: Oni są częścią rzeczywistości. Podlegają różnym władzom i mocom. A mówiąc o rzeczywistości, od razu napotykamy różne punkty widzenia. Ale rzeczywistość buduje mosty pomiędzy tymi różnicami. I to jest druga strona medalu. Rzeczywistość to prawda. Mosty to nasza rozmowa. Ale musimy wychodzić od rzeczywistości, a nie od teorii. Można przecież do końca świata mówić o kwadraturze koła, ale to bezużyteczne.

Czym jest rzeczywistość? Każdy widzi ją na swój sposób. Ja widzę ją taką, jaką wierzę, że jest. Rozumiem ją taką, jaka jest. A zatem trzeba szukać razem. To droga poszukiwań. Szukać.

Ateiści od XVIII w. robią bardzo dużo na rzecz wyzwolenia społecznego i politycznego, na rzecz demokracji. Co robi Kościół? Kościół mówi często: „czekamy na nich". Ale oni są ateistami, nie potrzebują, by na nich czekać. Jak zatem prowadzić dialog? Tym bardziej że często są to ludzie pokoju! Co począć z ateistami? Przecież Kościół mimo wszystko wielu ich też zabił...

Kiedyś, dawniej, niektórzy mówili: „Dajcie im spokój, oni i tak pójdą do piekła!". Ale nigdy nie należy posługiwać się ogólnymi określeniami. Prawdziwa komunikacja dokonuje się przy pomocy rzeczowników odnoszących się do osoby. Ktoś może być agnostykiem, ateistą, katolikiem, żydem... ale to są określenia. Ja mówię o osobie. Należy rozmawiać z osobą. To jest mężczyzna, kobieta, tak jak ja. W Krakowie pewien nastolatek spytał mnie o to samo na śniadaniu z grupą młodych katolików w wieku od dwunastu do czternastu lat. Były tam dziewczęta i chłopcy, po dwoje z każdego kontynentu, i jeszcze dodatkowo dwoje Polaków. Ten chłopak spytał mnie: „Co powiedzieć ateiście?". Odpowiedziałem: „Ostatnią rzeczą, którą powinieneś zrobić, to zacząć głosić mu kazania. Ty powinieneś żyć swoim życiem, słuchać go, ale nie głosić apologii. Dosyć apologii. Jeśli cię o coś spyta, odpowiedz mu zgodnie ze swoim ludzkim doświadczeniem". Dialog należy prowadzić w oparciu o doświadczenie ludzkie. Ja jestem wierzący, ale wiara jest darem, darem Boga. Nikt nie może mieć wiary sam z siebie. Nikt. Nawet gdybyś przeczytał całą bibliotekę. To dar. I jeśli nie masz tego daru, Bóg zbawi cię w inny sposób. I można rozmawiać o wielu wspólnych tematach: o dylematach etycznych, o tym, co mityczne, o tym, co ludzkie... O wielu rzeczach. O tym, co myślimy, o ludzkich problemach, o tym, jak się zachować... Można dyskutować o rozwoju ludzkości... Rozmawiać o tym, co jest nam wspólne. Jego punkt widzenia będzie inny, ja również będę miał inny punkt widzenia. Ale rozmawiać możemy, a gdy dojdziemy do problemu Boga, każdy powie, co myśli. Słuchając drugiego z szacunkiem.

Kiedyś miałem następujące doświadczenie: pewna pani powiedziała mi, że usłyszała jakieś kazanie czy konferencję, nie pamiętam już. Powiedziała mi, że była ateistką, ale w tamtej chwili zaczęła wątpić w nieistnienie Boga. To, co usłyszała, poruszyło ją. Podobnie jest z agnostykami. Choć oni są inni.

W Kościele słyszy się nieraz zdanie, które według mnie jest straszne: „Zapominając o Bogu, zapominamy o człowieku".

Tak.

↦

Audiencja ogólna, pl. św. Piotra, Watykan, 31 stycznia 2018 r.

TONY GENTILE / REUTERS / FORUM

No tak, ale co z ateistami?
Tu chodzi o coś innego. Ma pan rację. Weźmy jakiegoś konkretnego ateistę, na przykład Hitlera, i rozważmy zdanie, które pan zacytował...

To nie był zwyczajny ateista.
Ale zapominając o Bogu, zapomniał o człowieku.

Gdy mówimy: „zapominając o Bogu, zapominamy o człowieku", sugerujemy, że nie ma innego rozwiązania, tylko Bóg. Ale ateista mówi: „Ja jestem ateistą i czasem czynię dobro, tak samo jak ludzie wierzący". Jest w tym zresztą coś dziwnego: prowadzi się dialog międzyreligijny, ekumeniczny, ale czy prowadzi się dialog z ateistami? Jak wytłumaczyć na przykład przesłanie Roku Miłosierdzia?
Zróbcie dla kogoś coś dobrego. Po prostu. A jeśli was to nie interesuje, pomyślcie o tych, którzy są w potrzebie. Pomyślcie o dzieciach w Syrii. Wzbudźcie w sobie jakąś miłosierną myśl. Jakieś miłosierne uczucie.

Pyta Ojciec Święty często: „Jak wyjaśnić ludziom, że ludzkość jest jednocześnie zraniona i zbawiona?".
To doświadczenie nas wszystkich. Każdy mężczyzna, każda kobieta upada i się podnosi. Jak to możliwe, że podnosimy się, choć tyle razy już upadliśmy, i odnajdujemy nową drogę? Można rozmawiać bez lęku – ty jesteś ateistą, ja nie, ale rozmawiajmy! Wszystkich nas przecież czeka ten sam los. Wszystkich nas zjedzą robaki!

Co sądzi Ojciec o zdaniu Piusa XII, który mówił: „Dramatem naszej epoki jest utrata poczucia grzechu"? Czy Ojciec by tak powiedział?
Tak, to prawda. Uważam, że to prawda, nasza epoka zatraciła poczucie grzechu. Kiedy widzimy dziś samobójców, którzy wysadzają się, zabijając pięćdziesiąt osób, przemytników, którzy topią ludzi w Cieśninie Sycylijskiej... Jeśli ktoś szczerze spyta, dlaczego to robią, odpowiedź brzmi: dlatego, że ci ludzie nie mają kompasu moralnego. Co najmniej dlatego. Kompas moralny to coś, co wszyscy akceptujemy. Mówienie o grzechu to następny krok, ponieważ to także mówienie o stosunku do Boga, gdyż grzech zakłada wiarę. Ale kiedy mówimy o braku kompasu moralnego, wszyscy rozumieją, o co chodzi. Nawet ateiści. Nawet przekonany, uczciwy ateista powie sobie: tak, na świecie brak kompasu moralnego. Jeśli ultraliberalny ekonomista przeczyta pewne fragmenty „*Laudato si'*", dojdzie do wniosku, że gospodarce brakuje kompasu moralnego. Moralność jest wymogiem naszego życia społecznego. Ale to nie jest rygoryzm ani sztywność przykazań. Moralność to uczciwe płacenie robotnikom, uczciwe wynagradzanie służącej... Czasem uwidaczniają się straszne sprzeczności.

Chrześcijaństwo to nie nauka.
To nie ideologia, to nie organizacja pozarządowa. Chrześcijaństwo jest spotkaniem z osobą Jezusa Chrystusa. I doświadczeniem zdumienia, zachwytu tym spotkaniem.

Pewna dama, zaangażowana w dobroczynność, praktykująca katoliczka, należąca do bardzo aktywnej grupy charytatywnej, miała troje dzieci, trzech dorastających chłopców w wieku szesnastu, siedemnastu i dwudziestu lat, i mówiła: „Ja bardzo starannie dobieram służące", gdyż, uwaga, „nie chcę, by moje dzieci musiały szukać nie wiadomo gdzie. Chcę, żeby w domu miały wszystko, czego im potrzeba". To jest niemoralność.

Istnieje dziś pewien problem społeczny, który staram się piętnować w mediach. Dziś cały świat, Bogu dzięki, oburza się z powodu molestowania nieletnich. Ale w tym świecie są też biznesmeni, którzy wytwarzają zamieszczane w internecie filmy pokazujące chłopcom, dziewczętom, mężczyznom i kobietom „świństwa" i stosunki seksualne z nieletnimi, seks homo- i heteroseksualny, wszystko, co tylko możliwe.

Pornografia to jedna z najpotężniejszych gałęzi przemysłu na świecie...
To są właśnie sprzeczności, na które zwracam uwagę. Kompas moralny wszyscy mamy w środku. Wszyscy czujemy, czy coś jest dobre, czy złe.

Od trzydziestu lat dominuje pieniądz! Wyłącznie pieniądz, w imię liberalizmu gospodarczego. Być może moralność powróci jako pytanie o sens, nie jako lista zakazów.
Oby Bóg pana wysłuchał! Ale jak my, katolicy, uczymy moralności? Nie można jej uczyć przy pomocy zasad w rodzaju: „Nie możesz robić tego, powinieneś robić to, powinieneś, nie powinieneś, możesz, nie możesz". Moralność jest konsekwencją spotkania z Jezusem Chrystusem. Dla nas, katolików, jest konsekwencją wiary. A dla innych jest konsekwencją spotkania z jakimś ideałem, z Bogiem lub z samym sobą, ale z najlepszą częścią siebie. Moralność zawsze jest konsekwencją.

Ale często mówi się, że w gospodarce nie obowiązuje moralność. Co jest nieprawdą – oczywiście, że obowiązuje. Od trzydziestu lat kapitalizm liberalny rozwija się bez niej. Zwłaszcza od czasów globalizacji i upadku komunizmu.
To upadnie.

Tak, oczywiście.
Sądzę, że już tego nie zobaczę...

Odnosi się wrażenie, że Kościół jest postępowy w kwestiach miłości bliźniego, imigrantów, ale w takich jak rodzina, pary, obyczaje, homoseksualizm jest o wiele „sztywniejszy". Ojciec Święty sam mówił o tym, że „rózgę" trzeba „zawiesić w zakrystii". W takich sprawach, jak rodzina i seksualność, ma się jednak wrażenie, że Kościół wciąż używa „rózgi".
Ależ od Piusa XI do dziś dokonał się wielki postęp w sposobie wyjaśniania stanowiska Kościoła. Bardzo ważna jest np. cała antropologia rodziny, rozwinięta przez Jana Pawła II. Poza tym jest „*Amoris laetitia*", którą sam stworzyłem po dwóch synodach... To coś jasnego i pozytywnego, co niektórzy o nazbyt tradycjonalistycznych tendencjach zwalczają, mówiąc, że nie jest to prawdziwa doktryna. W odniesieniu do zranionych rodzin mówię tam w ósmym rozdziale o czterech kryteriach: przyjąć, towarzyszyć, rozeznawać sytuację i integrować. To nie jest sztywna norma. Takie ujęcie otwiera drogę, ścieżkę komunikacji. Od razu spytano mnie: „Ale czy można udzielać komunii rozwiedzionym?". Odpowiadam: „Rozmawiajcie z rozwiedzionymi mężczyznami i kobietami, przyjmujcie, towarzyszcie, integrujcie, rozeznawajcie!". Niestety, my, księża, jesteśmy przyzwyczajeni do sztywnych norm. Do norm, które są niezmienne. I to „towarzyszenie w drodze, integrowanie,

rozeznawanie, mówienie dobrych rzeczy" jest dla nas trudne. Ale to jest moja propozycja. Także Jan Paweł II, ze swoją teologią ciała, jakże ważną, poszedł bardzo daleko w dziedzinie seksualności i rodziny. Cytuję go w adhortacji „*Amoris laetitia*", o której wspomniałem, gdyż tam wszystko zostało powiedziane. Wielu ludzi oburzało zdanie, że „seks to coś dobrego i pięknego".

Przyzna Ojciec, że świeckim trudno jest zrozumieć kapłanów, którzy, wyrzekłszy się miłości fizycznej, mówią, że jest ona piękna.

Rezygnacja z seksualności i wybór drogi czystości czy dziewictwa to droga życia konsekrowanego. A jaki jest niezbędny warunek, bez którego to życie obumiera? Taki, by droga ta wiodła do ojcostwa lub macierzyństwa duchowego. Jednym z nieszczęść Kościoła są księża, którzy są „starymi kawalerami", i siostry zakonne, które są „starymi pannami". Ponieważ ci ludzie są zgorzkniali. Natomiast ci, którzy doszli do tego ojcostwa duchowego, czy to poprzez parafię, czy to w szkole lub w szpitalu, mają się dobrze... Tak samo jest z siostrami, ponieważ są „matkami".

Powiedział Ojciec, że radość to jedno z jego ulubionych słów, ale dlaczego w Kościele nie mówi się więcej o radości?

Ależ w Kościele można znaleźć radość...

Tak, ale na ogół Kościół nie zawsze bywa radosny. Poza Światowymi Dniami Młodzieży, pełnymi radości młodych. Chrześcijan od fundamentalistów powinna odróżniać radość. A tej różnicy kulturowej, psychologicznej, na co dzień nie widać.

Rzeczywiście, kiedy przywódcy Kościoła, ci, których nazywamy pasterzami, biskupi, kapłani, odsuwają się od ludu – mówię tu o ludzie Bożym – i robią się zbyt poważni, wycofani i zapatrzeni w siebie, wyglądają jak „wykrochmaleni".

Tak, to jest właśnie to: Kościół wykrochmalony.

Tak bywa, gdy odsuwają się od ludu, a także, można by rzec, od Boga.

Ale Ojciec Święty wie, że z tego punktu widzenia komunizm też na początku żył utopią ludu. W drugiej połowie XIX w. były różne socjalizmy utopijne, które także mówiły o „ludzie". Komunizm zbankrutował, ale jego wartości są nadzwyczajne.

Moralność zawsze jest konsekwencją.
Dla nas, katolików, jest konsekwencją wiary. A dla innych jest konsekwencją spotkania z jakimś ideałem, z Bogiem lub z najlepszą częścią siebie.

Wolność, równość, miłość. To też jest chrześcijaństwo!

Kiedyś ktoś mi powiedział: „Ależ Ojciec jest komunistą!". Nie. Komunistami są chrześcijanie. To inni ukradli nam nasz sztandar!

Dlaczego, według kapłańskiego doświadczenia Ojca, jest tylu smutnych ludzi?

Ależ niech pan pójdzie do sióstr Matki Teresy, zobaczy pan, że nie są smutne. Radość! Jest tyle radości!

Tak, ale one niekoniecznie stanowią większość.

Mówi pan o tych ludziach „Kościół", ale to są chrześcijanie bez Jezusa.

To jest ładne.

To są chrześcijanie ideologiczni. Wyznają chrześcijańską ideologię. Albo, jeśli pan woli, doktrynę chrześcijańską. Znają na pamięć katechizm. Umieją nawet na pamięć całego Denzingera [XIX-wieczny zbiór tekstów doktrynalnych]. Jezus przeciwnie.

W Kościołach w Afryce, Wietnamie czy Ameryce Łacińskiej ludzie tańczą, śpiewają. Nawet w Europie Wschodniej jest radośnie. Dlaczego nie próbuje Ojciec Święty powiedzieć radośnie, po prostu: „Znamy nasze słabości, sprzeniewierzenia, wiemy wszystko o człowieku, ale zawsze jest coś jeszcze..."? Przecież Kościół jest „ekspertem" od ludzkiej duszy, jak żadna inna instytucja. Ponieważ doświadczył tylu zdrad. I tylu ocaleń. Ostatecznie to on ma największe doświadczenie w dziedzinie komunikacji międzyludzkiej!

Kościół to mówi. Ale tylko mówi, a samo mówienie nie wystarczy. Wprowadzę pewne rozróżnienie. To, czego pan szuka, to przede wszystkim Kościół świadczący, to jest kwestia świadectwa. Chrześcijaństwo to nie nauka. To nie ideologia, to nie organizacja pozarządowa; chrześcijaństwo jest spotkaniem z osobą. To doświadczenie zdumienia, zachwytu, że spotkaliśmy Boga, Jezusa Chrystusa, Słowo Boże – to mnie zdumiewa. A Kościół jest przewodnikiem i opiekunem, matką tego zachwytu, tego spotkania. Kiedy Kościół o tym zapomina i przechodzi nad tym do porządku dziennego, zmienia się w organizację pozarządową. I to nie jest już świadectwo. Świadectwo jest wtedy, kiedy jest zachwyt.

Czy Kościół nie może znaleźć innej metody, by być lepiej słyszanym? W tekście o miłosierdziu mówi Ojciec Święty o „apostolacie słuchania". Jak poszerzyć tę przestrzeń słuchania innych?

Kościół powinien dokonać przemiany. W „*Amoris laetitia*", gdy podaję te cztery kryteria – przyjąć, towarzyszyć, rozeznawać, integrować – chodzi właśnie o to, o czym pan mówi...

W istocie jest to ogromny program polityczny...

Kiedy Kościół staje się moralistyczny... Ani Kościół, ani chrześcijaństwo nie są wyznacznikami moralności. Moralność to konsekwencja spotkania z Jezusem Chrystusem. Ale jeśli nie ma spotkania z Jezusem Chrystusem, ta „chrześcijańska" moralność jest nic niewarta.

Gdy Ojciec był w Szwecji, by przyczynić się do zbliżenia katolików z protestantami, w katolickim dzienniku francuskim „La Croix" ukazał się artykuł pod znamiennym tytułem: „Tak bliscy, tak dalecy". Czy nie jest to obraz ekumenizmu?

Tak. Nie bać się napięć. Mówimy tu o jednym z nich. Jak rozwiązać napięcie? Przechodząc na wyższy poziom.

To niemiecki filozof Hegel...

Hegel dokonuje syntezy. Ja mówię co innego, mówię, że synteza dokonuje się na wyższym poziomie, na który przechodzą obie strony. I że w tym, co na tym poziomie odnajdujemy, zawierają się korzenie dwóch początkowych punktów widzenia. Ponieważ życie upływa w ciągłym napięciu, nie jest syntezą. Synteza nie jest czymś naprawdę żywym. ↦

↦ Napięcie tak – to część życia. W wymiarze fizycznym, gdy ciało traci napięcie, gdy ustaje równowaga płynów, impulsów elektrycznych w sercu, zmniejsza się objętość powietrza w płucach, wszystko ulega zachwianiu.

W ciągu wieku, a właściwie stu pięćdziesięciu lat, w dziedzinie komunikacji międzyludzkiej dokonał się znaczny postęp, i to niezależnie od techniki: wolność, równość, równość kobiet i mężczyzn, dzieci... Dlaczego Kościół, mając tak duże doświadczenie w komunikacji, nie bierze udziału w tych zmaganiach na rzecz jej większej swobody i autentyczności?

Być może to, co pan mówi, jest prawdą. Ale w Kościele jest jednak bardzo dużo komunikacji. Kościół porozumiewa się najlepiej wtedy, gdy czyni to z ubogimi, z chorymi... Podąża wówczas drogą błogosławieństw. To bardzo interesujące – komunikacja, która dokonuje się w ośmiu błogosławieństwach. Jeśli je uważnie przeczytać, są to także reguły, które mówią nam, jak lepiej się komunikować.

Miałem takie doświadczenie w Buenos Aires, gdzie mieliśmy szpital prowadzony przez siostry zakonne z Niemiec. Niestety, ich zgromadzenie bardzo się zmniejszyło i biedne siostry musiały opuścić placówkę. Pewien kapłan z Korei powiedział mi, że zna koreańskie zakonnice, które chcą ją objąć. I rzeczywiście, z Korei przyjechało kilka sióstr. Mówiły po hiszpańsku tak, jak ja po chińsku: ani słowa! Przyjechały w poniedziałek, we wtorek się rozpakowywały, a w środę poszły do pracy, nie mówiąc ani słowa po hiszpańsku. Ale chorzy byli bardzo zadowoleni. A dlaczego? Ponieważ umiały się porozumiewać oczami, uśmiechem. W tej kwestii Kościół jest mistrzem komunikacji. Nim się nauczyły języka, już się porozumiewały. To jest konkretne doświadczenie. Tam, gdzie są dzieła miłosierdzia, gdzie kryterium stanowią błogosławieństwa, sądzę, że Kościół zawsze osiągał wyjątkowo wysoki poziom komunikacji. To naprawdę, naprawdę niezwykłe.

Nie należy zapominać o dwóch filarach chrześcijaństwa: o błogosławieństwach i o rozdziale 25. Ewangelii Mateusza, „protokole", na podstawie którego będziemy sądzeni. Te dwa filary czynią z Kościoła mistrza komunikacji. Gdy mi pan mówi, że on się nie komunikuje, ma pan na myśli Kościół elit, zamknięty, intelektualistyczny. Nie mówię: „intelektualny", tylko „intelektualistyczny".

Nasze społeczeństwa są coraz bardziej wielokulturowe, Kościół zaś, od bardzo dawna, posługuje się pojęciem braterstwa. Jak możemy zrobić użytek z tego dziedzictwa, przyczyniając się do kształtowania nowego rozumienia pokoju w społeczeństwach wielokulturowych?

Odwołujemy się do tego dziedzictwa często i z dobrym wynikiem. Weźmy np. coś, co funkcjonuje już od dwudziestu lat – orkiestrę izraelsko-palestyńską Barenboima... nawiasem mówiąc, argentyńską! (*śmiech*) Warto też wspomnieć o Światowych Dniach Młodzieży, zapoczątkowanych w roku 1986 przez Jana Pawła II, których zamysłem było spotykanie się. Młodzi spotykają się, widzą inne kultury, inny sposób myślenia. Budują mosty. Doświadczenie mostu, nawet jeśli jest chwilowe, pozostaje. Dziś jest czas na to, by się spotykać, by mówić o prawach socjalnych, o prawie pracy, o stosunku do medycyny... Istnieje potrzeba spotkań, wymiany doświadczeń, nie tylko organizowania kongresów naukowych. „Jak ty to robisz? – Ja to robię tak". Dawanie. To bardzo, bardzo ważne. Dzięki tym spotkaniom możemy pójść o wiele dalej drogą komunikacji, ponieważ jest w nich bardzo dużo bezinteresowności. Panuje tam inna atmosfera. Proszę zauważyć, jak rozwija się takie spotkanie. Pierwszego dnia wszystko jest bardzo poważne. Panuje uroczysty nastrój. Potem jest rozmowa, a na koniec ludzie mówią sobie: „Cześć, do widzenia, do zobaczenia następnym razem". Może już nigdy się nie spotkają, ale w ich świadomości pozostanie niezatarte doświadczenie.

Klasyczne pytanie o stosunek do świata. Katolicyzm jest religią miłości i dzielenia się z innymi, a jednak kapłani muszą rezygnować z przyjemności fizycznej, życia płciowego czy miłości cielesnej.

To dobrowolne wyrzeczenie. Dziewictwo mężczyzn lub kobiet to tradycja monastyczna, wcześniejsza niż katolicyzm. To poszukiwanie człowieczeństwa: wyrzeczenie służy szukaniu Boga u początków, kontemplacji. Ale wyrzeczenie powinno być płodne, powinno zachowywać inny rodzaj płodności niż płodność cielesna, płciowa. Nawet w Kościele są żonaci kapłani. Wszyscy księża obrządków orientalnych mają żony, ta praktyka istnieje. Ale wyrzeczenie się małżeństwa dla królestwa Bożego jest wartością samą w sobie. Oznacza zaparcie się siebie, służbę, po to, by lepiej kontemplować.

Jest paradoksem, że Kościół katolicki potępia kapitalizm, pieniądz, nierówności, ale ta krytyka jest słabo słyszalna. Natomiast krytykę i potępienie ze strony Kościoła w dziedzinie obyczajów słychać bardzo wyraźnie...

Najlżejsze grzechy to grzechy ciała.

Zgoda, ale trzeba by to wyartykułować głośniej; to przesłanie nie jest słyszane...

Grzechy ciała niekoniecznie (nie zawsze) muszą być najcięższe. Ponieważ ciało jest słabe. Najniebezpieczniejsze grzechy to grzechy ducha. Mówiłem o angelizmie: pycha, próżność to jego grzechy. Zrozumiałem pana pytanie. Kościół to Kościół. Kapłani odczuli pokusę – nie wszyscy, ale wielu – skupiania się na grzechach związanych z seksualnością. To jest to, o czym już mówiłem: to, co nazywam moralnością „poniżej pasa". Najcięższych grzechów należy szukać gdzie indziej.

To, co Ojciec Święty mówi, nie jest słyszane.

Nie, ale są i dobrzy kapłani... Znam tu pewnego kardynała, który jest tego przykładem. Zwierzył mi się, mówiąc o tych rzeczach, że gdy ktoś przychodzi opowiedzieć mu o tych grzechach „poniżej pasa", od razu mówi: „Zrozumiałem, przejdźmy do innego tematu". Powstrzymuje rozmówcę, mówiąc mniej więcej: „Zrozumiałem, a teraz zobaczmy, czy masz coś ważniejszego". „Nie wiem". „Ale czy się modlisz? Czy szukasz Pana? Czy czytasz Ewangelię?". Daje w ten sposób ludziom do zrozumienia, że istnieją błędy o wiele ważniejsze. Tak, to też jest grzech, ale... zaznacza, że zrozumiał, a potem zmienia temat.

Są też i tacy, którzy spowiadając z grzechów tego rodzaju pytają: „Jak to zrobiłeś, kiedy, ile razy?"... Układają sobie w głowie film. Ale ci potrzebują pomocy psychiatry. ©

Rozmawiał DOMINIQUE WOLTON

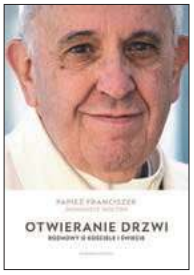

Jest to fragment książki rozmów Dominique'a Woltona z papieżem Franciszkiem „Otwieranie drzwi. Rozmowy o Kościele i świecie" (tłum. Marek Chojnacki), która ukaże się nakładem Wydawnictwa WAM. Tytuł pochodzi od redakcji.

Na miejscu Boga

SZYMON HIŻYCKI OSB

Czy mnisi i święci z początków Kościoła czegoś mogą nas nauczyć? Przyjrzyjmy się im w Wielkim Poście – dzisiaj posłuchajmy Doroteusza z Gazy.

Nic cięższego, nic gorszego, często powtarzam, jak osądzać bliźniego i gardzić nim.
(DOROTEUSZ Z GAZY, VI W.)

W VI w. w okolicach dzisiejszej Gazy był sobie klasztor kierowany przez abba Seridosa. Tym, co wyróżniało ową wspólnotę pośród innych, była specyficzna struktura: mnisi mieszkali wokół eremów dwóch pustelników, Barsanufiusza i Jana, którzy kontaktowali się z otoczeniem jedynie przez listy (ich obszerny zbiór dotrwał do naszych czasów i jeszcze do niego wrócimy w najbliższych tygodniach).

Ukochanym uczniem obydwu świętych mężów był Doroteusz, pełniący w klasztorze obowiązki opiekuna chorych (tj. infirmariusza) i gości. I jak po jego mistrzach pozostała korespondencja, tak po nim obszerny zbiór nauk ascetycznych, w których poczesną rolę zajmuje problem oskarżania bliźniego. No kto jak kto, ale nasz bohater miał sporo okazji, aby o swoich braciach nie myśleć ciepło. Oddajmy mu zresztą głos:

„Wierzcie mi, że pamiętam to, co zrobił mi pewien brat, który idąc z infirmerii do kościoła za mną, lżył mnie, a ja szedłem przed nim i nie odpowiedziałem ani słowa. Kiedy się opat o tym dowiedział (nie wiem, od kogo) i chciał go ukarać, objąłem opata za nogi i błagałem: »Nie rób tego, na Boga, to ja zawiniłem, cóż winien ten brat?«. Inny znowu, czy dla wypróbowania mnie, czy z głupoty, Bóg jeden wie, przez długi czas miał zwyczaj w nocy oddawać mocz blisko mojej głowy, tak że nawet posłanie moje bywało mokre.

To znów inni bracia przychodzili w dzień i trzepali materace koło mojej celi. Widziałem takie mnóstwo pcheł dostających się do mnie, że nie mogłem nadążyć ich zabijać; były zaś one szczególnie liczne z powodu upałów. Potem, kiedy przychodziłem spać, obsiadały mnie, i chociaż zasypiałem z powodu wielkiego zmęczenia, to jednak kiedy się budziłem, miałem całe ciało pogryzione.

A nigdy żadnemu z nich nie powiedziałem »Nie rób tak« ani »dlaczego tak robisz?«. Ani też nie pamiętam, jak już mówiłem, żebym kiedy zranił kogo słowem albo zasmucił”.

Być może mnisi zazdrościli zaufania okazywanego mu przez przełożonego i obydwu pustelników, może drażniło ich jego wykształcenie... Trudno powiedzieć, Doroteusz sam nie mówi o konkretnych motywach, dodając jedynie enigmatycznie, że współbracia robili to „dla wypróbowania mnie czy z głupoty”. Równolegle jednak wielu przychodziło do niego, aby otworzyć przed nim serce – jak to się wtedy mówiło – czyli aby nie tylko wyznać grzechy, ale również polecić się mu jak doświadczonemu ojcu. Opowieści o tych relacjach należą zresztą do najbarwniejszych stron napisanych przez Doroteusza.

Nasz abba znał się na ludziach, to nie ulega wątpliwości. Doznawał od nich upokorzeń, ale jednocześnie cieszył się ich zaufaniem. Skąd zatem taki nacisk na zakaz osądzania bliźnich? Czy to ucieczka od rzeczywistości?

Doroteusz uważał, że nie jesteśmy w stanie przeniknąć intencji, myśli i serc innych ludzi. Czy to dziwne? Nie znamy dobrze własnego wnętrza i potrafimy zaskakiwać nie tylko naszych domowników, ale także samych siebie. Stąd uwaga: nie sądź bliźniego. Musimy tę myśl odczytywać w kontekście poniższego doprecyzowania.

Wedle naszego mnicha sądzenie człowieka to stawianie się na miejscu samego Boga. Doroteusz opowiada historię, jak to jeden z wielkich pustelników orzekł, że jakiś mnich jest grzesznikiem; jeszcze tej samej nocy anioł przybył do niego wraz z duszą tego człowieka oświadczając, że ów osądzony przez starca brat umarł i skoro ten już raz wydał wyrok, to teraz Bóg go pyta: czy skaże go na piekło, czy zezwoli wejść do raju. Przerażony abba zrozumiał, że zaczął wyręczać Pana Boga, i padł na twarz błagając o przebaczenie.

Osądzanie zatem, tak jak rozumie to Doroteusz, to szufladkowanie ludzi, nieodwołalne stwierdzanie, że są tacy, a nie inni, i w sumie już niczego nie można się po nich spodziewać. To trochę tak, jak gdybyśmy już za ich życia wydawali wyrok Sądu Ostatecznego. Tymczasem Doroteusz mówi: nie wiesz, kim jest drugi człowiek, jakie motywy nim kierują, czego chce. To, o czym tu mowa, wymaga dojrzałości emocjonalnej, wewnętrznej wolności od nacisku posiadania uporządkowanych spraw ze wszystkimi naokoło. Bóg czeka. My chyba też możemy. ©

O. SZYMON HIŻYCKI *(ur. 1980) jest opatem klasztoru benedyktynów w Tyńcu, patrologiem i badaczem początków monastycyzmu.*

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Milada z Gawlików hr. Broel-Platerowa

uczestniczka Powstania Warszawskiego

magister inżynier budownictwa lądowego, projektantka w Krakowskim Biurze Projektów Budownictwa Przemysłowego, nauczycielka pasjonatka w Technikum Budowlanym w Nowej Hucie, otwarta na potrzeby bliźnich, inteligentna i dowcipna, ukochana żona, mama i babcia.

W wieku 90 lat po długiej chorobie w dniu 21 stycznia 2018 roku Pan zabrał Ją do siebie.

RODZINA

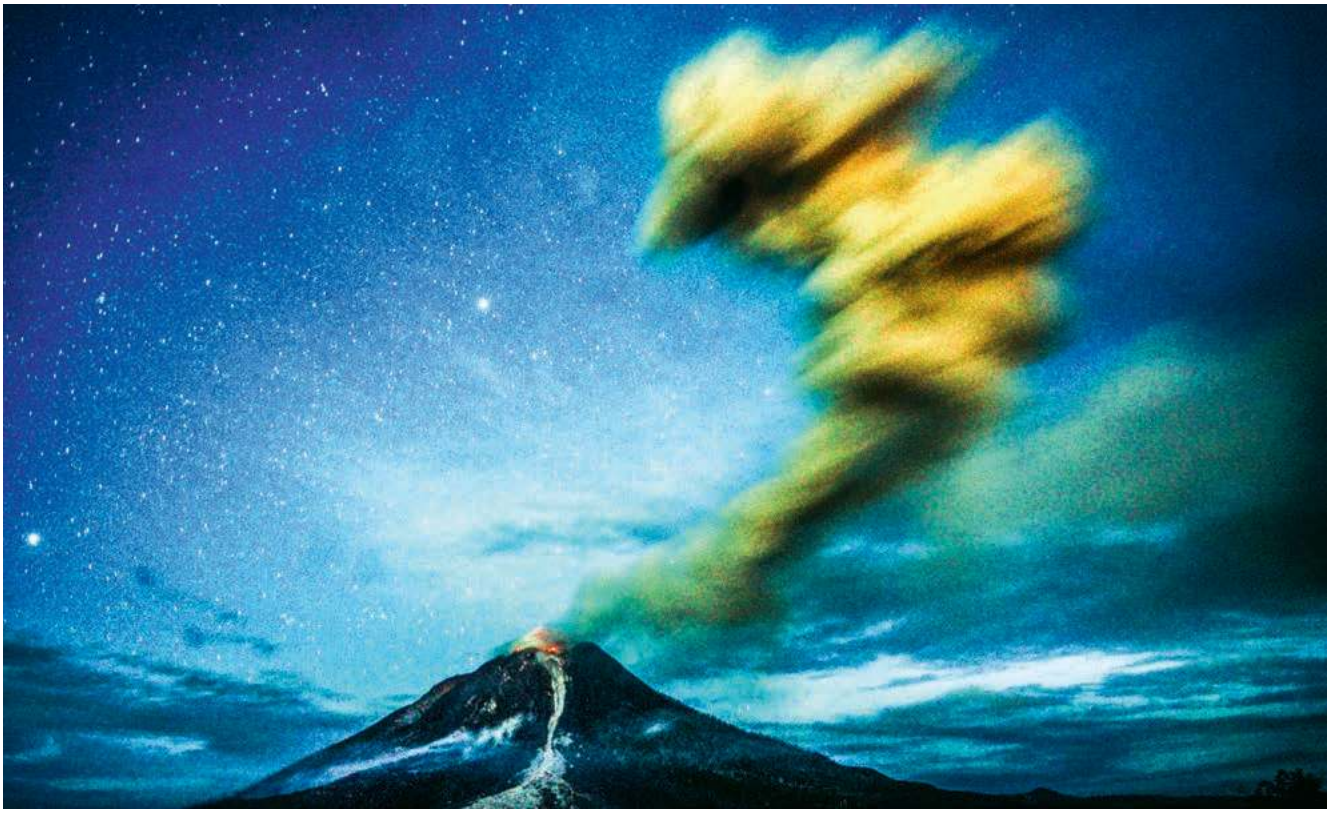

LANA PRIATNA / BARCROFT MEDIA / GETTY IMAGES

Popielcowa Środa kochanków

PIOTR SIKORA

Popiół, którym posypywane są nasze głowy, powinien pochodzić ze spalonych palm z Niedzieli Palmowej poprzedniego roku liturgicznego. Jest zatem pamięcią miłosnego uczucia.

Prochem jesteś i w proch się obrócisz – tradycyjna formuła wypowiadana przez księdza w trakcie obrzędu posypania głowy popiołem wydaje się nam dziś na tyle pesymistyczna, że często zastępowana jest inną, niosącą jakoby więcej nadziei: „Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię". A szkoda.

Lekcja Koheleta

Uciekamy od tej formuły, jakbyśmy się bali tego, że proch to znak nietrwałości, naszego niskiego – z ziemi – pochodzenia. Tego, że jesteśmy w istocie kurzem, który się zamiata i wyciera. Lepiej więc nie przypominać sobie, że „pokolenie przychodzi i pokolenie odchodzi", że „wszystko marność i pogoń za wiatrem", jak powtarza Kohelet. Wszak to właśnie jego słowa: „Wszystko idzie na jedno miejsce: powstało wszystko z prochu i wszystko do prochu znów wraca" (Koh 3, 20).

Ale przecież to prawda. Mimo że łatwo ulec złudzeniu trwałości: zbudowany dom, wyrobiona wreszcie pozycja społeczna, trwały związek: ktoś, jak zwykle, czeka z obiadem, ktoś nigdy zbyt późno nie wraca z pracy... Zwarcie instalacji elektrycznej, oblodzona jezdnia, złośliwa intryga... Podmuch wydarzeń. Mędrzec Kohelet powtarza w swej księdze wielokrotnie: poznałem wszystkie sprawy pod niebem, doświadczyłem wszystkiego, w czym człowiek szuka spełnienia – i wiem, że wszystko to pogoń za wiatrem.

Jeśli jednak rozumieć nasze pochodzenie z prochu jako pochodzenie z elementów ziemi, to okaże się, że nie jest to wcale poniżające. Proch tak postrzegany mówi bowiem o naszej jedności z resztą stworzenia – bo przecież nie tylko z ziemią. Jeśli wszystko powstało z prochu – znaczy to, że wszystko z tych samych elementów: i błoto, i drzewa, i ptaki, i gwiazdy. I my. Można się obruszać, szukając własnej wyjątkowości w oddzieleniu od tego, co nie-ludzkie. Można jednak z pokorną radością odkryć swoją jedność z całym światem – także z jego nietrwałością i kruchym pięknem. Czyż kwiat nie jest piękniejszy właśnie dlatego, że rozkwita jedynie na kilka dni – i trzeba dostrzec jego piękno właśnie tylko w tym konkretnym czasie? Czyż smak czereśni nie jest lepszy właśnie przez to, że na swym miejscu jest tylko na początku lata – i przez resztę roku każe nam na siebie czekać?

Jeśli więc jesteśmy kurzem, to każda chwila cenna, każda niepowtarzalna. Trzeba uważności, by nie przegapić żadnej, z tym, co dla niej właściwe: „wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem" (Koh 3, 1). Mądry człowiek nie tylko rozpoznaje, czego czas właśnie nadchodzi, ale potrafi cieszyć się nawet z małych rzeczy, wdzięczny, że są: „Dla człowieka nic lepszego niż radować się i o to dbać, by szczęścia zaznać w swym życiu. Bo też, że człowiek je i pije,

i cieszy się szczęściem przy całym swym trudzie – to wszystko dar Boży" (Koh 3, 12-13). Taka postawa niesie pokój, zaś „lepsza jest jedna garść pokoju niż dwie garści bogactw i pogoń za wiatrem" (Koh 4, 6).

Najważniejsze, doradza Kohelet, by dbać o relacje, gdyż „lepiej jest dwóm niż jednemu" (Koh 4, 9), spośród nich zaś najważniejsza jest wierna, stara, dobra miłość: „Używaj życia z niewiastą, którąś ukochał po wszystkie dni marnego twego życia, których ci [Bóg] użyczył pod słońcem. Po wszystkie dni twej marności! Bo taki jest udział twój w życiu i w twoim trudzie, jaki zadajesz sobie pod słońcem" (Koh 9, 9).

Popiół, nie kurz

Jeśli dla Koheleta, dla którego świat jest niczym kurz, najważniejsza jest miłość, tym bardziej powinniśmy o tym pamiętać my, którym w Środę Popielcową posypują głowy nie kurzem, lecz popiołem. W tradycji biblijnej bowiem popiół, choć na pierwszy rzut oka nietrudno pomylić go z prochem ziemi i łatwo się z nim miesza, jest jednak czymś innym, ma specjalne znaczenie.

Popiół ze spalonej ofiarnej krowy był przechowywany do sporządzenia „wody oczyszczenia" (por. Lb 19, 9). Do tego popiołu w Nowym Testamencie przyrównana jest ofiara Chrystusa: „Jeśli bowiem krew kozłów i cielców oraz popiół z krowy, którymi skrapia się zanieczyszczonych, sprawiają oczyszczenie ciała, to o ile bardziej krew Chrystusa, który przez Ducha wiecznego złożył Bogu samego siebie jako nieskalaną ofiarę, oczyści wasze sumienia z martwych uczynków, abyście służyć mogli Bogu żywemu" (Hbr 9, 13-14). Popiół jest oczyszczający, bo to nie jest zwykły kurz. Popiół – resztki tego, co spłonęło – związany jest z ogniem. Ogień zaś, w tym kontekście, to boski Duch i Miłość. Stąd moc oczyszczania.

Wedle tradycji popiół, którym posypywane są nasze głowy w Środę Popielcową, powinien pochodzić ze spalonych palm z Niedzieli Palmowej poprzedniego roku liturgicznego. Jest zatem pamięcią miłosnego uczucia – choć jednocześnie uczy pokory. Jest bowiem pozostałością słomianego zapału, krótkotrwałej euforii: „Hosanna synowi Dawida!". Był to szczery, lecz powierzchowny wybuch: oto król mesjański przybywa do Jeruzalem, my go witamy, my jego świtą – a już pięć dni później jesteśmy jak rozproszone owce bez pasterza, pochowani w zaułkach Miasta, z planami ucieczki, gdy tylko szabat minie, do Emaus.

Nie ma dojrzałej miłości bez – także gorzkiej – prawdy o sobie. Trzeba więc wraz z popiołem przyjąć na swą głowę – przypomnieć sobie i nieść w świadomości – prawdę o własnej niedoskonałości: o tym, że nasz zapał, uczucie, zaangażowanie przemijają, że nasza miłość wygasa.

Popiół uczy zatem pokory. Lecz skoro pokora jest poznaniem siebie w prawdzie, to pozwala też rozpoznać, co dobre – nawet w słomianym zapale Niedzieli Palmowej. Szczera to była radość, prawdziwy entuzjazm, autentyczna – choć krucha – miłość.

Żar pod powierzchnią

Popiół mówi o miłości coś jeszcze. Starogreckie słowo „*spodos*", używane – owszem – na oznaczenie kurzu, prochu czy piasku, oznacza przede wszystkim popiół, ale jeszcze gorący, taki, który wciąż się żarzy – który może być zarzewiem, od którego może zająć się drewno, z którego może powstać pożar. Więcej jeszcze – to samo słowo „*spodos*" może także oznaczać lawę.

A jeśli popiół pierwszej wielkopostnej środy to w istocie swojej nie proch, lecz żar, to Środa Popielcowa jest świętem nie tylko Koheleta, lecz także kochanków z Pieśni nad Pieśniami, w której oblubienica śpiewa (Pnp 8, 6-7):

Połóż mię jak pieczęć na twoim sercu,
jak pieczęć na twoim ramieniu,
bo jak śmierć potężna jest miłość,
a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol,
żar jej to żar ognia,
płomień Pański.
Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości,
nie zatopią jej rzeki.
Jeśliby kto oddał za miłość całe bogactwo swego domu,
pogardzą nim tylko.

Obraz miłości jako płomienia – ale też i żaru – wydaje się dla wielu piękny i pociągający. Ale w swej istocie jest to piękno niebezpieczne. Jeśli bowiem miłość jest płomieniem, to znaczy, że kto kocha – musi się spalić. Zniknąć tak, że nie zostanie z niej lub z niego nic prócz popiołu. Dlatego właśnie nie powinno dziwić, że Środa Popielcowa, święto płomiennej miłości, rozpoczyna Wielki Post – czas wyrzeczenia i ascezy.

Złudzenie co do wartości „rzeczy tego świata" nie ułatwia wyrzeczenia się wszystkiego. Może narazić na pokusę stawiania na szalkach wagi naprzeciw miłości „całego bogactwa domu" – zawodowego sukcesu, społecznego prestiżu, metafizycznych przeżyć otwierających się powyżej kilku tysięcy metrów: w Himalajach albo w czasie skoku na spadochronie. Dlatego właśnie pierwszym przewodnikiem Popielcowej Środy może być Kohelet – jeśli go nie posłuchamy, pogardzą nami tylko.

Miłość bywa płomieniem, który nas spala, ale – może nawet częściej – jest gorącym popiołem, żarem. Z wierzchu na tyle szara, że można pomylić ją z kurzem. Proch codzienności gorący pod spodem – oto ona.

Tu pojawia się drugi element Wielkiego Postu – asceza. Starożytne tradycje łączą lepiej wątki, które nam się dziś rozplątały i które widzimy oddzielnie. *Askesis* starożytnych Greków to wytężone ćwiczenie. Hindusi w sanskrycie złączyli pojęcia ascezy i żaru w tym samym słowie „*tapas*". Rzymianie mieli zaś jeden termin – „*pulvis*" – na gorący popiół i natężony wysiłek.

Żar miłości, który z wierzchu wygląda na szary popiół, to codzienność natężona ku drugiemu. Często połączona z wysiłkiem. Nigdy nie stygnąca, nawet jeśli przez dłuższy czas nie wybucha efektownym płomieniem.

Wieczny Ogień

Zajęcie miejsca w zwykle dość długiej kolejce czekających na posypanie głowy popiołem jest aktem pokory z innego jeszcze powodu. Wyraża świadomość, że wysiłek zamieniający kurz codzienności w gorący miłosny żar jest często ponad nasze siły. Że – bywa – całkiem już wygaśliśmy, że jesteśmy już tylko zwykłym prochem. Idąc w procesji po popiół na głowę mówimy swoim gestem: potrzebuję, by mnie Ktoś rozpalił. Idziemy więc do jedynego źródła wiecznego Żaru. Do boskiej Lawy, która choć ukryta – jak niewidoczna jest wulkaniczna magma, bulgocząca pod skorupą Ziemi – płynie zawsze i wszędzie pod powierzchnią zjawisk.

Abyśmy w ogóle mogli do niej się zbliżyć, stygnie do temperatury żaru. Lecz i tak jest niebezpieczna. Dopóki jesteśmy całkiem wystygli, jakoś zachowujemy siebie. Nie do końca, co prawda: trwałość tego, co zatrzymujemy „na własność", żyjąc bez miłości, też podlega erozji. Ale jeśli pozwolimy siebie rozpalić, znacznie szybciej znikniemy w płomieniu.

Pochylenie głowy pod sypiący się na nią popiół jest więc aktem nie tylko pokory, ale także odwagi, a może i szaleństwa. Bo trzeba odwagi i szaleństwa, by być gotowym przyjąć prawdę o swojej istocie, wobec której nikną wszelkie, ulepione przez nas samych z błota codzienne tożsamości. Bo tak naprawdę, na najgłębszym poziomie, obrzęd Środy Popielcowej znaczy: „Z Żaru powstałeś. Żarem jesteś i w Żar się zamienisz". ©℗

Słudzy diabła i fałszywi prorocy

SZYMON HOŁOWNIA

Są dobrzy ludzie, którym nie mieści się w głowie, że bycie krytycznym wobec rządu nie pozbawia katolika łaski uświęcającej, a „Jarosław" to nie synonim „Jezusa".

Wśród krewnych miałem kiedyś człowieka przekonanego, że spisek przeciw jego życiu zawiązał kanadyjski (Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego właśnie kanadyjski) wywiad. Z misternej plątaniny, którą stopniowo zniewalała go opiekująca się nim rodzina, miał go wybawić wyczekiwany każdego dnia śmigłowcowy (koniecznie) desant agentów ABW. W jego oczach najbardziej perfidnymi uczestnikami zmowy byli ludzie tacy jak ja – próbujący łagodnie dowodzić, że żadnego spisku nie ma. Bo skoro wiadomo, że spisek jest, każdy kto twierdzi inaczej, potwierdza, że zagrożenie jest realne. Nic nie jest przecież tak realne jak zagrożenie, o którym twierdzi się, że go nie ma.

Tanie opętanie

Klasyczny mechanizm paranoi, w której coś, co zaprzecza teorii, z automatu ją potwierdza, stanął mi przed oczami (w uszach), gdy wysłuchałem homilii wygłoszonej podczas transmitowanej przez Polskie Radio mszy, odprawionej 4 lutego w warszawskiej bazylice Świętego Krzyża. Głosił ją ks. Waldemar Rakocy ze zgromadzenia księży misjonarzy, profesor biblistyki z KUL. Mniej więcej w połowie homilii, poświęconej niebłahemu problemowi osobistego redagowania przez Lucyfera polskich mediów „liberalnych" (ze szczególnym uwzględnieniem wymienionego z nazwy – jako jedynego – „Tygodnika Powszechnego") i doprowadzaniu za ich pośrednictwem ludzi do demonicznego zniewolenia przez manipulację, pada diagnostyczne zdanie: „Jeśli ktoś mi powie, że to teorie spiskowe – to już został zmanipulowany".

System jest więc szczelny. Dyskusji z księdzem profesorem podjąć nie sposób, nie utwierdziwszy go jeszcze bardziej w przekonaniu, że świat z jego rojeń istnieje naprawdę. Szkoda, bo tematów do miłej pogawędki by nie zabrakło. Kto ma ochotę na kąpiel w homiletycznej perwersji, niech odsłucha rzecz na stronach Polskiego Radia. Dowie się m.in, że:

1. Każdy, kto popiera KOD i ruch Obywatele RP, uległ manipulacji szatana, wspiera jawnych wrogów Jezusa Chrystusa.

2. Sprzeczne z prawem Bożym (czyli, doprecyzowujmy: grzechem) jest też podważanie żądania domagania się od Niemiec reparacji wojennych.

3. Chrześcijanie w Polsce są prześladowani, poniżani; wyszydzany i rugowany jest krzyż („Liberalne elity Unii Europejskiej, również w Polsce, burzą fundamenty chrześcijańskiej tożsamości Europy"). Jesteśmy wobec ich knowań bezbronni niczym gimnazjum żeńskie, gwałceni w poznawczym śnie podstępną manipulacją. Z opisu księdza profesora (rozwijanego również w innych jego dostępnych w sieci homiliach) słuchacz może wywieść przekonanie, że w zasadzie to cud, że w Polsce ocaleli jeszcze jacyś katolicy, że ktoś jeszcze samotnie błąka się po tej arenie, nad którą góruje opuszczony w dół kciuk Nerona-Tuska i Dioklecjana-Junckera (już osesek wie, że u nas Biblię trzeba czytać w ukryciu, Radio Maryja nadaje w podziemiu, „Gość Niedzielny" wychodzi w samizdacie, policja nie eskortuje procesji na galowo, tylko je rozpędza, a Sejm z Senatem wcale nie kursują do sanktuariów częściej niż piesze pielgrzymki).

4. Specjalnie perfidna szatańska walka z chrześcijaństwem odbywa się *via* media („Pracownicy mediów są szkoleni w manipulowaniu odbiorcami oraz instruowani, w jakim kierunku ma iść owa manipulacja"). Ksiądz profesor autorytatywnie stwierdza, że bezpieczne duchowo są media „prawicowe", którym, owszem, „można zarzucić to i owo" (ciekawość, jakie to drobiażdżki ksiądz profesor był łaskaw mieć tu na myśli: otumanianie ludzi powielaniem jawnych kłamstw politycznych sponsorów? Okładki, na których politycznych przeciwników przebiera się za esesmanów?). One jednak nie posuwają się do diabolicznych metod mediów „liberalnych". Które – o zgrozo – podają czasem ludziom na lep prawdziwe i ciekawe materiały, np. o gospodarce, po to, by zwabić w pułapkę, serwując za chwilę całkowicie wypaczony obraz chrześcijańskiej wiary. Celuje w tym „Tygodnik Powszechny", w którym „zagościł niezdrowy i niebezpieczny duch", a więc lektura którego w bezpośredni sposób skutkować może zniewoleniem oraz opętaniem.

„Biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii" – zwieńczył orację cytatem ze św. Pawła kaznodzieja. „Ostrzeganie przed zagrożeniem ze strony ideologii liberalnej jest głoszeniem Ewangelii! Amen". Po aktorsko wyakcentowanej kropce w świątyni wybrzmiały gromkie, spontaniczne oklaski.

Test na sobie

Mój Boże – pomyślałem. Przecież ja nie tylko pasjami czytam „Tygodnik", ale też do niego piszę! Ba, widnieję w stopce redakcyjnej, w tym podpisanym drukarską farbą cyrografie, który – zdaniem lubelskiego luminarza – czyni ze mnie co najmniej półdiablę.

Natychmiast wykonałem najprostszy autotest na opętanie, tj. powtórzyłem głośno słowa: „Panem jest Jezus" (których – jak poucza Ewangelia – nie da się wypowiedzieć bez pomocy Ducha Świętego, a Ducha Świętego i szatana w człowieku – nie trzeba być uczonym w Piśmie profesorem KUL-u, by to wiedzieć – naraz być, dalibóg, nie może). W następnej kolejności zapytałem siebie, czy jestem w stanie łaski uświęcającej (owszem), kiedy ostatni raz komunikowałem (wczoraj) i czy towarzyszyły temu jakieś spektakularne objawy: toczenie piany, wykrzykiwanie przekleństw, manifestacje demona wegetarianizmu (którego pewien bohaterski polski sercanin wypędzał ostatnio plastrami salcesonu). Po wstępnej ocenie stanu chorego rzuciłem się do telefonu, by przekonać się, że przecież nie mam komórki do metropolity łódzkiego, który jako stały autor „Tygodnika" również jest płatnym współpracownikiem szatana. Zniewolony (a może już opętany) musi być też – bo jak to rozumieć inaczej – udzielający ostatnio tu wywiadu ksiądz prymas! Jak bardzo chciałbym wierzyć, że to nie korporacyjne, kościelne kunktatorstwo powstrzymało księdza profesora Rakocego przed powiedzeniem tego, co gdy się powiedziało „A", należało przecież stwierdzić wprost: „W pol-

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

skim Episkopacie zasiadają bezwolni słudzy diabła”.

Czy Jezus chce reparacji od Niemców

Dobra, dość heheszkowania. Po pierwsze to strasznie smutne intelektualnie widowisko, gdy ktoś (nie wiem, może nieświadomie) zmanipulowany jadem prorządowych publikatorów zarzuca odbiorcom innych mediów, że zostali zmanipulowani lub manipulują. Sam, pogubiony przez propagandę w świecie mediów, o którym – jak dowodnie wykazał – nie ma zielonego pojęcia, aspiruje do eksperctwa w prowadzeniu przezeń innych. Ileż ja już razy w słanych do mnie wiadomościach prorządowych trolli widziałem tę konstrukcję: „Partia i rząd starają się z całego serca! Jasne, zdarzają się błędy i wypaczenia, ale generalnie żyje się coraz uczciwiej i lepiej!”.

To religijny Gomułka w czystej postaci: skoro (nam) żyje się lepiej, to znaczy, że nasi przeciwnicy służą złu. Nie ma już opozycji, są słudzy szatana. To jest właśnie czysta manipulacja tłoczona dziś w lud. Perfidia tego mechanizmu blendowania płaszczyzny polityki z piętrem wiary: z normalnej (nawet ostrej) dyskusji robi się podważanie dogmatów i szatańskie knowanie. Z krytyki – bluźnierstwo. Z odmiennej społecznej wrażliwości – grzech.

Znam wielu duchownych, którzy zainfekowali się tą chorobą z jedynej (rządowej) prasy świeckiej dostępnej w wielu seminariach, salkach rekreacyjnych w klasztorach, na plebaniach. To dobrzy ludzie, ale autentycznie przekonani, że waląc z ambon w opozycjonistów robią coś, co bardzo podoba się Bogu. Nie może im się zmieścić w głowie, że bycie krytycznym wobec rządu nie pozbawia katolika (również dziennikarza-katolika) łaski uświęcającej, a „Jarosław” to nie synonim „Jezusa”, choć obaj są – tak się składa – na „J”.

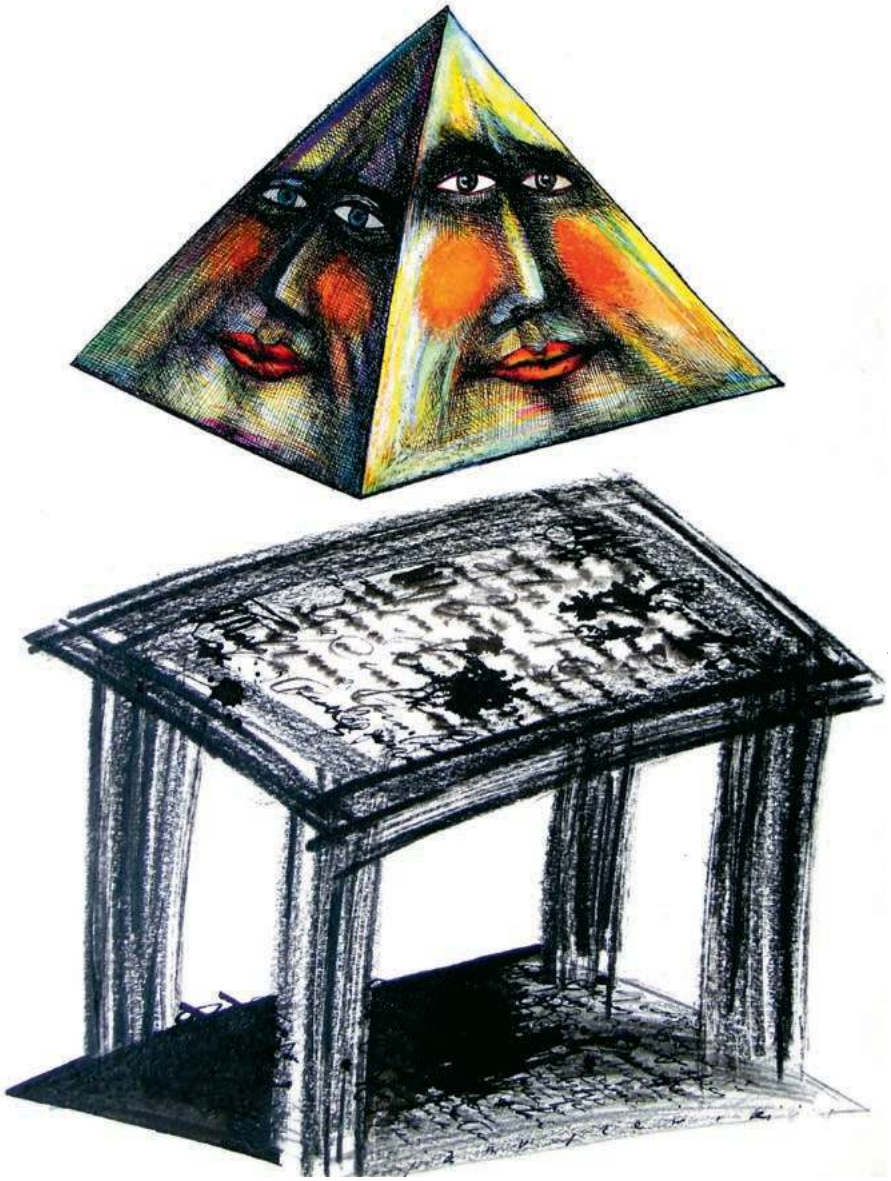

Ksiądz profesor też pewnie w ten właśnie sposób uformował sobie obraz świata (sam mówi zresztą o tym wprost: „Z jakich mediów korzystamy, takie będziemy mieli poglądy”). A tego że w tym akurat przypadku – rzecz jednak dość kompromitująca dla tej klasy naukowca – pracował na brykach, nie na źródłach, dowodzi zestaw argumentów, które jego zdaniem potwierdzać miały diabelskie mechanizmy wpisane w DNA „Tygodnika”.

Tych argumentów nie ma. Co jest? Kilka fiszek, starych jak świat, na okrągło mielonych przez antytygodnikowych obsesjonatów. Raz: pełna czczych kalumnii wypowiedź ks. Oko. Dwa: krytyczne zdanie wyrażone (po kampanii „Przekażmy sobie znak pokoju”) przez kard. Dziwisza. Trzy: polemiczny głos Józefy Hennelowej w jakiejś sprawie, której nie znam. Cztery: zdjęcie ks. Adama Bonieckiego z Nergalem.

Cytaty z podstępnie bluźnierczych tekstów? Ich konfrontacja z Magisterium (by owo bluźnierstwo wykazać)? A skąd. Gdy wytacza się na ambonę kaznodziejską broń jądrową i oskarża o podstępne wpędzanie ludzi w kult złego, winno się mieć chyba twarde dowody (na tej samej zasadzie od 20 lat moi przeciwnicy próbują wykazać, że napisałem coś przeciwnego Kościołowi, a ponieważ im to nie wychodzi, argument mają jeden: „bo on zapowiada klaunów w TVN”). Na miejscu profesora biblistyki uważałbym też przy okazji na miotanie cytatami z Pisma, bo jest to – o czym również uczy Pismo – miecz obosieczny.

Ksiądz profesor twierdzi, że „Tygodnik Powszechny” to bezbożnicy (satanizm jest jego kwintesencją). Otóż w Ewangelii Mateusza, rozdział 5, wiersz 22, Jezus tak kreśli przyszłość księdza profesora: „Kto by powiedział swojemu bratu: »Bezbożniku«, podlega karze piekła ognistego”. Ksiądz profesor lamentuje, że „biada mu, gdyby nie głosił Ewangelii”? Święty Paweł w innym miejscu komentuje: „Nadziwić się nie mogę, że od tego, który was łaską Chrystusa powołał, tak szybko chcecie przejść do innej Ewangelii”. ↦

↦ Bo Ewangelia, z której wynika, że Jezus był przeciwnikiem KOD-u i zwolennikiem reparacji od Niemców (którzy tysiąckrotnie za wojnę przepraszali, i tu ma zastosowanie kilka wyraźnych nakazów Pana, dotyczących przebaczania nawet i 77), jest inna od tej, którą zna mój Kościół. Uwaga: w tej mojej jest też 25. rozdział Mateusza, szargany przez prawicowe media, robiące z uchodźców podludzi, których nie musi obejmować nasze miłosierdzie.

Herbatka dla ortodoksów

Jezus wyraźnie przestrzega też w Ewangelii swoich uczniów, by strzegli się fałszywych proroków. Zamierzam zastosować się do mądrego zalecenia i wystrzegać się odtąd twórczości księdza Rakocego. W braterskiej trosce o niego samego – wiadomo przecież, jaki los zapowiada Dobra Nowina tym, którzy gorszą maluczkich. Co tam ja, mnie w polskiej homiletyce nic już nie zaskoczy i nie zdziwi. Jest jednak coś dużo bardziej pastoralnie wstrętnego nie tyle w tym, że kaznodzieja płótł te androny w imieniu Chrystusa, przy ołtarzu, a nie na publicystycznej dyskusji, ale i w tym, że karmił lękiem, a nie nadzieją, właśnie słuchaczy mszy radiowej: w większości ludzi już przeoranych cierpieniem, przykutych do łóżek, samotnych, niemających z kim albo jak wyjść na Eucharystię z domu.

Księże Profesorze, podsumujmy. Pisze to ochrzczony, bierzmowany katolik, od 26 lat mający kierownika duchowego, starający się codziennie uczestniczyć w Eucharystii i regularnie komunikujący, codziennie odmawiający (co najmniej) dwie części Różańca i Koronkę do Bożego Miłosierdzia (o Modlitwie Jezusowej nie wspomnę), regularnie czytający Pismo Święte, spełniający też trzy kryteria, na które ksiądz nieustannie się w homilii powoływał (również na tych łamach dawałem wyraz sądowi, że aborcja zawsze jest zabójstwem, małżeństwo to związek mężczyzny i kobiety, a spektakl „Klątwa" to rynsztok): nie wiem, co Księdza w tamtą niedzielę opętało. Moje zdanie nie będzie miało dla Księdza żadnego znaczenia, proszę jednak żyć od dziś ze świadomością, że zgorszył mnie, prostego polskiego katolika, Ksiądz w dużo większym stopniu niż choćby wzmiankowana „Klątwa". Tam profanowano symbole. Ksiądz rzucanymi w imieniu Jezusa absurdalnymi oskarżeniami, snuciem w Jego imieniu wyssanych z palca spiskowych teorii, zatruwaniem Ewangelii jadem bieżącej polityki (co jest jawnym złamaniem pkt. 78. instrukcji „*Redemptionis Sacramentum*"), w mojej ocenie ową homilią po prostu sprofanował Eucharystię.

To religijny Gomułka w czystej postaci: skoro (nam) żyje się lepiej, to znaczy, że nasi przeciwnicy służą złu. Nie ma już opozycji, są słudzy szatana. To jest właśnie czysta manipulacja tłoczona dziś w lud.

Nie wiem jak Pan Jezus, ale ja nie będę jednak żądał od Księdza reparacji. Widzę w nim też bowiem pokrewną duszę. Obaj jesteśmy słabi. Po wnikliwej lekturze strony Księdza Profesora wiem też, że łączy nas jeszcze jedno: otóż chyba nie jestem sam w moich zmaganiach z przerośniętym ego (to jednak częsta rzecz u facetów w tym wieku). Widzę, że identycznie jak ja Ksiądz Profesor nie dorósł do zrozumienia tajemnicy krzyża (do odkrycia, że tak jak nie służy on do artystycznych prowokacji, nie służy on też do walenia nim innych po głowie, ale do umierania na nim za nich).

Dlatego proponuję, byśmy rzecz oddali Stwórcy nas obu, dla którego tak zapiekle walczymy. Zjednoczmy się najpierw w modlitwie, otoczmy wspólnie troską cywilne ofiary naszych zbożnych dzieł. Ja zmówię dziesiątkę różańca w intencji wszystkich tych, którzy stracili wiarę czytając moje „Tygodnikowe" felietony, Ksiądz niech uczyni to samo za tych, którzy po jego homilii ani razu już nie przekroczą progu katolickiej świątyni. A gdy Ksiądz znów będzie w Warszawie – zapraszam na herbatę. Herbata (na Księdza prośbę – może być z uprzednio egzorcyzmowanej wody) to najlepsze ze znanych mi narzędzie do przekonania się, jak pojemnym pojęciem jest katolicka ortodoksja. ©

SZYMON HOŁOWNIA

REKLAMA

List z Lasek

S. MARIA KRYSTYNA ROTTENBERG

Podczas debaty nad ustawą o IPN przegraliśmy moralnie. Żadne zaklęcia i dekrety nie zmienią przeszłości.

Jest parę rzeczy, których nie rozumiem. Dlaczego zmiany wprowadza się właśnie w ustawie o IPN? Przecież Instytut Pamięci Narodowej ma o wiele szerszy zakres działalności, programów badawczych i celów niż tylko obrona dobrego imienia Polski w kraju i na świecie. Co jednak ważniejsze: nie rozumiem, dlaczego zostało zniszczonych tyle dobrych rzeczy osiągniętych w przeszłości. Ile jeszcze zniszczymy? My, to znaczy nie tylko rząd, Sejm, Senat, partia, prezydent RP, ale my wszyscy, niezależnie od opcji. Kościół, który jest w Polsce, nie tylko Episkopat, ale wszyscy, którzy do Niego należymy. Dobro jest kruche. Łatwiej je zniszczyć, niż naprawić. „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie" kard. prymasa Stefana Wyszyńskiego, pojednanie polsko-niemieckie, pojednanie polsko-żydowskie, pojednanie chrześcijańsko-żydowskie, pojednanie polsko-ukraińskie, z takim trudem osiągnięte, wejście Polski do Unii Europejskiej, którego tak gorąco pragnął dla nas św. Jan Paweł II...

W sporze, który się toczy, widzę dwie płaszczyzny.

Pierwsza jest czysto językowa i dziecinnie prosta: „polskie obozy zagłady". Przecież ten przymiotnik jest po prostu błędnym tłumaczeniem na język polski słowa *polish* (ang.), *polnisch* (niem.), *polonais* (franc.). Mały brat Moris z Izabelina, kiedy w prasie pisano o „polskim Kościele", natychmiast reagował: nie ma „polskiego Kościoła", jest Kościół w Polsce. Dokładnie to samo odnosi się do „polskich obozów". Nawet początkujący tłumacz doskonale o tym wie. Oczywiście chodzi o „niemieckie, nazistowskie obozy zagłady w Polsce" czy „na terenie okupowanej Polski". Przy odrobinie dobrej woli sprawa byłaby zamknięta. Tendencyjnego rozumienia tej kwestii nie powstrzyma żaden dekret. Czy polski wymiar sprawiedliwości dosięgnie kogoś w Izraelu, w USA czy gdziekolwiek indziej na świecie?

Można tępić paskudne, kłamliwe napisy na murach, można krytykować tytuły prasowe. Ale czy jesteśmy w stanie wyplenić coś z ludzkich myśli i serc, u nas i na całym świecie? Nie mówmy, że „prawda sama się nie obroni", że „my mamy o nią walczyć"! Jedyny oręż, jaki nam dał Jezus Chrystus w Kazaniu na Górze, znany jest jako Ewangelia Ośmiu Błogosławieństw.

Chyba że chcemy wywołać tu i teraz III wojnę światową. Putin bardzo się z tego ucieszy. Nie tylko on. Spójrzmy na mapę lub globus. Jak okiem sięgnąć: wokół nas sami wrogowie.

Pod zaborem rosyjskim w polskich szkołach nie wolno było mówić po polsku, nawet na przerwach, nawet na rekreacjach. Młody gimnazjalista Władek [Korniłowicz] zapytał nauczyciela: „A myśleć po polsku wolno"? I został ze szkoły natychmiast wyrzucony, z wilczym biletem!

Płaszczyzna druga sporu jest jak wciąż otwarta rana: Shoah – Zagłada.

Tu żadne zaklęcia ani dekrety nic nie pomogą. Polska jest w tej szczęśliwej sytuacji, że jako państwo nie przyłożyła ręki do eksterminacji zamierzonej i dokonanej przez nazistów niemieckich. Kolaboracji na szczeblu rządowym nikt Polsce nie może zarzucić i nikt nie zarzuca. Nie mieliśmy rządu Vichy ani faszyzmu *à la* Mussolini.

Co zaś do postaw Polaków w czasie okupacji, do pamięci ocalałych od Zagłady Żydów i nie-Żydów – to jest istna „puszka Pandory". Nie otwierajmy jej, bo przegramy. Moralnie już przegraliśmy. Byli Sprawiedliwi wśród Narodów, liczni Polacy i Polki, zwykli, a niezwykli ludzie. Bogu niech będą dzięki za to, czego dokonali w czasach terroru nazistowskiego – nie dla Medalu Sprawiedliwych przecież, ale z czystej miłości drugiego człowieka.

Byli też inni, o których chcielibyśmy raczej zapomnieć. Ciężko o nich mówić. Może ulegli pokusie ratowania swoich bliskich, może w nadziei przeżycia tego piekła na ziemi, może w nadziei, że wydając w ręce gestapo żydowskie dziecko ratowali własne? Któż to wie? „Są w ojczyźnie rachunki krzywd" – napisał Władysław Broniewski.

Przeraża mnie to wkraczanie władzy i zapowiedź sankcji wobec ludzkiej pamięci indywidualnej i zbiorowej. Niedawno ktoś z rodziny naszej siostry Teresy Landy napisał mi, że ich krewny Janek Landy (1928–1943) zginął prawdopodobnie z rąk Polaków, a dwaj wujkowie Adam (1896–1945) i Jan (1907–1941) zostali zamordowani przez Niemców. Czy za tę informację o 15-letnim Janku, nie do końca zresztą sprawdzoną, autor listu miałby być teraz ścigany?

Wrażliwość polska, niemiecka, ukraińska, także rosyjska to są cztery absolutnie nieprzetłumaczalne języki. A cóż dopiero żydowska! I tak już pozostanie. Nasz ból ojczysty, polski ból, ból zwykłych uczciwych Niemców (nie nazistów), ból zwykłych Francuzów ratujących od śmierci żydowskie dzieci, ból Ukraińców, ból Rosjan wplątanych wbrew ich woli w tryby nieludzkiego systemu... Od lat słucha ich i leczy – nie tłumaczy – tam właśnie, na terenie byłego nazistowskiego obozu zagłady Auschwitz-Birkenau niemiecki kapłan, nasz przyjaciel ks. Manfred Deselaers. W imieniu nas wszystkich daje świadectwo, że pojednanie jest możliwe.

Czy ofiara życia polskiego franciszkanina o. Maksymiliana Kolbego, niemieckiego pastora Dietricha Bonhoeffera, niemieckiego i katolickiego księdza Maksa Metzgera, rosyjskiego duchownego prawosławnego Aleksandra Mienia, bestialsko zamordowanego przez nieznanych sprawców, były daremne? Jedyna moja – nasza nadzieja w tym, że wszystko przemija, a „Łaska Pańska trwa na wieki". ©

S. MARIA KRYSTYNA ROTTENBERG *należy do Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, założonego w 1918 r. przez Różę Czacką i związanego z Zakładem dla Ociemniałych w Laskach. Laski to jeden z najważniejszych ośrodków w dziejach katolicyzmu otwartego w Polsce (pracowali tu m.in. ks. Władysław Korniłowicz, ks. Jan Zieja i ks. Stefan Wyszyński, a przyjeżdżali Tadeusz Mazowiecki, ks. Jan Twardowski, Stanisław Stomma, Zygmunt Kubiak, Jerzy Zawieyski oraz wielu przedstawicieli katolickiej i liberalnej inteligencji). Podczas II wojny światowej w prowadzonym przez siostry Zakładzie ukrywano żydowskie dzieci.*

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 w Radio Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

O CZYM ŚNI KOSOWO

Na dziesiątą rocznicę ogłoszenia niepodległości Kosowianie życzą sobie mniej podziałów, więcej Europy i wiary, że zajdą tak daleko jak Rita Ora.

AGNIESZKA ROSTKOWSKA Z PRISZTINY

Co roku, 17 lutego, mieszkańcy Kosowa sprawiają sobie prezent: prawie nowy pomnik. Długi na 24 metry i wysoki na 3 metry, trójwymiarowy napis „*Newborn*" (ang. nowo narodzony) w centrum stołecznej Prisztiny jest przemalowywany nie do poznania. W poprzednich latach pokrywały go białe obłoki na tle błękitnego nieba, zamknięte w gęstej sieci drutów kolczastych. Albo namalowane na nim szare cegły muru, a litery „n" i „w" w słowie „*Newborn*" położono, by stały się zarazem częścią wymalowanego na chodniku napisu „*No walls*" (ang. żadnych murów).

– Pomnik „*Newborn*" odsłonięto w dniu, w którym proklamowaliśmy niepodległość – wyjaśnia mi Ibrahim, 21-letni mieszkaniec Prisztiny. – Od razu stał się kultowy. Każdy chce go zobaczyć, zrobić sobie z nim zdjęcie. My za jego pomocą opowiadamy, o czym marzymy: o swobodzie podróżowania, o przezwyciężeniu izolacji i podziałów. Dziś, przed dziesiątą rocznicą ogłoszenia niepodległości, marzenia Kosowian wydają się równie trudne do zrealizowania jak dekadę temu. Serbia, od której odłączyła się ówczesna kosowska prowincja, wciąż nie uznała Kosowa (jak dotąd uczyniło to 114 państw, w tym Polska).

Belgrad nadal silnie wspiera też miejscowych Serbów. W społeczeństwie Kosowa, zdominowanym w ponad 90 proc. przez ludność albańską, Serbowie – w większości mieszkający na północy kraju – stanowią kilka procent. To ok. 140-150 tys. ludzi w niespełna dwumilionowym społeczeństwie (o dokładne dane trudno, bo spis powszechny w 2011 r. został przez Serbów zbojkotowany). Ale skutecznie manifestują swoją odrębność.

Niespokojnie na północy

To na północy w ostatnich latach dochodziło do najsilniejszych tarć między Serbami a Albańczykami, które od czasu do czasu przeradzały się w krwawe zamieszki. Od 2013 r., głównie dzięki mediacjom Unii Europejskiej, region ten cieszy się częściową autonomią. Nie oznacza to jednak, że napięcia zniknęły. Szczególnie mocno wybrzmiały w ostatnich miesiącach.

Pod koniec listopada 2017 r. domy dwóch serbskich funkcjonariuszy Sił Bezpieczeństwa Kosowa w miejscowości Zubin Potok obrzucono granatami. Natomiast w połowie stycznia 2018 r. w Mitrovicy zastrzelono Olivera Ivanovicia, lidera Partii Socjaldemokratycznej i jednego z najbardziej znanych serbskich polityków w Kosowie. Ivanović został postrzelony przed biurem swojej partii z przejeżdżającego samochodu; dostał pięć kul. Sprawca zbiegł, auto porzucił i spalił. Nikt nie przyznał się do zabójstwa.

Prezydent Serbii Aleksandar Vučić, który cztery dni później przyjechał na miejsce śmierci Ivanovicia, obiecał, że morderca zostanie ujęty bez względu na to, jakiej jest narodowości. Jednocześnie przypomniał, że „Serbowie żyją w Kosowie od zawsze" i obiecał im wsparcie oraz ochronę.

Gdzie Krym, gdzie my

Kosowscy Albańczycy porównują politykę Serbii wobec regionu Mitrovicy do rosyjskich działań wobec Krymu, które ostatecznie doprowadziło do jego aneksji. Po krymskie analogie sięgają zresztą także Serbowie. Na ścianach budynków w siedzibie administracyjnej regionu, 85-tysięcznym mieście o takiej samej nazwie Mitrovica, powtarza się graffiti powiązanych węzłem flag Serbii i Rosji. Z podpisem: „Kosowo to Serbia, tak jak Krym to Rosja".

Podobne murale występują jedynie w północnej części miasta. W południowej dominują hasła „Wszyscy Serbowie to dranie", wypisywane pod pomnikami albań-

FACEBOOK / NEWBORN MONUMENT

Pomnik Newborn w Prisztinie, luty 2017 r.

skich partyzantów z Armii Wyzwolenia Kosowa (UÇK). Bo Mitrovica podzielona jest na dwie części: północną, zamieszkaną przez Serbów, i południową, zamieszkaną przez Albańczyków.

Granicę między nimi wyznacza rzeka Ibar. Po jej przekroczeniu zanikają meczety, a pojawiają się cerkwie. Znika też w sklepach euro (oficjalna waluta Kosowa), płacić można tylko w serbskich dinarach. A dwugłowy orzeł na czerwonym tle – godło Albanii – ustępuje miejsca pasom czerwieni, niebieskiego i bieli, kolorom serbskiej flagi.

Jeszcze do niedawna na ustawionych przy moście prowizorycznych checkpointach Serbowie pilnowali, by Albańczycy nie zapuszczali się do północnej części miasta. W 2014 r. punkty kontrolne zniknęły, potem most został gruntownie wyremontowany przez Unię. Bruksela liczyła, że w ten sposób zbliży do siebie dwie społeczności. Serbowie nadzieje te rozwiali. W grudniu 2016 r. zaczęli budować przy moście dwumetrowy mur z betonu.

– Mitrovica podzielona jest między dwa państwa: na północ od Ibaru jest Serbia, na południe Albania. A państwa zazwyczaj oddziela granica, prawda? Toteż mieliśmy prawo granicę tę zaznaczyć – tłumaczy mi 20-letnia Aleksandra, Serbka. – Tyle tylko, że wtrąciła się Unia. Wszyscy mówią, że Merkel zagroziła Vučiciowi [wtedy był premierem Serbii – red.], że jeśli na to pozwoli, Serbia może zapomnieć o członkostwie.

Na murze się nie skończyło. W styczniu 2017 r. z Belgradu do Mitrovicy ruszył pociąg obklejony w barwy serbskiej flagi, z napisem „Kosowo należy do Serbii" w 20 językach. Ale do stacji końcowej nie dojechał, władze Kosowa zatrzymały go na granicy z Serbią.

Pod naciskami Brukseli mur w Mitrovicy został ostatecznie rozebrany w lutym 2017 r. Kilka dni później pomnik „*Newborn*" w Prisztinie pomalowano w szare cegły, z jasnym przesłaniem: nigdy więcej. Jednak w miejsce muru szybko wyrosły barykady z palet, ogrodzenia z siatek i prowizoryczne zapory. Oficjalnie z powodu przebudowy drogi. Ale miejscowi Serbowie szczerze przyznają: skoro nie pozwolili nam zbudować muru, przynajmniej w ten sposób odgrodzimy się od Albańczyków.

Unijne wysiłki, NATO-wskie pomniki

Unijne wysiłki na rzecz zasypania politycznej przepaści między Serbią a Kosowem, tak dobrze widoczne w Mitrovicy, to część strategii mającej na celu integrację państw Bałkanów Zachodnich. Zgryźliwi komentują, że Bruksela przypomniała sobie o Bałkanach, gdy te zaczęły coraz głębiej wpadać w objęcia Rosji i Turcji.

Faktem jest, że to właśnie w kuluarach odbywających się co kilka miesięcy szczytów Unia-Bałkany Zachodnie między bałkańskimi politykami powoli pękają lody. O ile prezydent Serbii Aleksandar Vučić i premier Albanii Edi Rama mają całkiem niezłe relacje, o tyle sytuacja na linii Belgrad-Prisztina nader często bywała podbramkowa. W marcu 2017 r. na szczycie w Sarajewie sukcesem okrzyknięto już sam fakt, że w czasie wielostronnych rozmów premierzy Serbii i Kosowa usiedli przy jednym stole. W czerwcu, w Trieście, złożyli swoje podpisy pod traktatem o współpracy w zakresie transportu. Było to pierwsze międzynarodowe porozumienie, podpisane jednocześnie przez Serbię i Kosowo.

Jakkolwiek podtrzymanie euroentuzjazmu na Bałkanach bywa dla unijnych polityków wyzwaniem, to w Kosowie nie stanowi ono problemu. Nie zmieniła tego nawet afera korupcyjna z unijną misją EULEX w roli głównej, gdy opinia publiczna dowiedziała się, że jej prokuratorzy i sędziowie brali łapówki. Z sondażu przeprowadzanego w lipcu 2017 r. przez Instytut Gallupa wynika, że 84 proc. Kosowian uważa, iż członkostwo w Unii przyniosłoby im korzyści, tylko 4 proc. sądzi, że byłoby ze szkodą dla Kosowa.

Wszyscy pamiętają tu militarne wsparcie, którego udzielił im Zachód wiosną 1999 r. – gdy lotnictwo NATO rozpoczęło naloty na Federalną Republikę Jugosławii, mające zmusić Belgrad do wycofania sił wojskowych, policyjnych i paramilitarnych z Kosowa oraz zaprzestania wojny i represji noszących znamiona czystek etnicznych w Kosowie. Dekadę później ↦

↦ w Prisztinie odsłonięto pomnik prezydenta USA Billa Clintona (obok zaś otwarto sklep odzieżowy o nazwie „Hillary"), a pół roku później w mieście Prizren stanął pomnik NATO.

Do dziś większość serwisów, warsztatów samochodowych i parkingów nosi nazwę „Toni" lub „Bler" (pisownia oryginalna), co jest uhonorowaniem Tony'ego Blaira, ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii i jednego z największych zwolenników interwencji w Kosowie.

Spragnieni świata, bez pracy

Od operacji „Allied Force" minęły blisko dwie dekady. Czas wystarczający, by na świat przyszło nowe pokolenie.

Kosowianie to dziś najmłodsze społeczeństwo w Europie: 70 proc. populacji to osoby poniżej 35. roku życia. Widać to zwłaszcza w Prisztinie, gdzie modne kawiarnie dzień i noc wypełnione są młodymi. Przychodzą nie tylko z powodu miłości do kawy, w której rywalizować mogą tylko z Włochami. Po prostu – nie mają co robić.

Według danych Programu Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju (UNDP) bezrobocie w Kosowie wynosi 33 proc., a wśród osób w przedziale wiekowym 15-24 lat aż 58 proc. Powszechna dostępność internetu (dostęp do sieci ma 81 proc. społeczeństwa) sprawia, że Kosowianie doskonale zdają sobie sprawę z tego, że pozostają w tyle za rówieśnikami z Europy Zachodniej.

– Ci, którzy pracę mają, zarabiają średnio 350-400 euro miesięcznie – marszczy brwi Ibrahim. Sam pracuje w hostelu (jest ich w stolicy coraz więcej). Kosowianie chcą, by świat przyjeżdżał do nich, skoro sami nie mogą swobodnie podróżować. Z kosowskim paszportem wszędzie potrzebują wiz. Skarżą się, że na ich przyznanie czekają nieraz miesiącami.

Komisja Europejska w 2016 r. zaproponowała zniesienie wiz dla obywateli Kosowa, o ile rząd spełni dwa warunki: wytoczy ciężkie działa w walce z korupcją i zorganizowaną przestępczością oraz rozwiąże spór graniczny z Czarnogórą. Jakkolwiek oba warunki są wyzwaniem, obecnie bardziej problematyczny wydaje się ten drugi.

W 2015 r. Kosowo i Czarnogóra podpisały porozumienie demarkacyjne, ale na jego ratyfikację w najbliższym czasie nie ma co liczyć. Jedną z pierwszych decyzji Ramusha Haradinaja, który we wrześniu 2017 r. znów objął urząd premiera Kosowa (był nim już wcześniej, przez trzy miesiące na przełomie 2004 i 2005 r.), było powołanie nowej komisji demarkacyjnej, zdominowanej przez ekspertów krytykujących zawarte porozumienie. Zresztą budzi ono sprzeciw większości społeczeństwa – w przypadku jego ratyfikacji Kosowo straciłoby 8 tys. hektarów terytorium.

Kosowo to najmłodsze państwo w Europie: 70 procent mieszkańców ma mniej niż 35 lat. Tymczasem bezrobocie wynosi tu 33 procent, a wśród osób w wieku 15-24 lat – aż 58 procent.

Być jak Rita Ora

Wypełnione rzędami cegieł betonowe konstrukcje rosną w mgnieniu oka, wznoszone co kilkadziesiąt metrów, na przestrzeni wielu kilometrów. Tereny wzdłuż drogi prowadzącej z Macedonii do Ferizaj, miasta na południowym wschodzie Kosowa, to jeden wielki plac budowy. Trudno stwierdzić, czy jakiś budynek wzniesiono miesiąc czy może rok temu – wszystkie są nieotynkowane. Większość to powstające bez żadnego planu zagospodarowania samowole. Niemal wszystkie budowane za pieniądze Kosowian, którzy zdecydowali się na emigrację.

Ibrahima to boli. Kiedy pytam go, czego życzy sobie na okrągłą rocznicę ogłoszenia niepodległości, odpowiada: – Żebyśmy wreszcie stanęli na własne nogi, rozwinęli skrzydła. Wiesz, jak Rita Ora.

Piosenkarka, której utwory nie schodzą z pierwszych miejsc brytyjskich list przebojów, pochodzi stąd – z Prisztiny. Gdy miała niespełna rok, jej rodzice opuścili Kosowo (z powodów politycznych) i osiedli w Wielkiej Brytanii. Tam Rita zrobiła karierę. W Kosowie uważana jest za swoją, jakby nigdy nie wyjechała. Ibrahim postrzega ją jako symbol sukcesu, który może osiągnąć każdy Kosowianin. – Grunt, żebyśmy wreszcie przestali myśleć o przeszłości, a zaczęli patrzeć w przyszłość – powiada.

Ale to postulat trudny do realizacji. Na wielu murach w stolicy wysprejowane jest pytanie: „Gdzie jest Ukshin Hoti?". Wykładowca uniwersytetu w Prisztinie i znany aktywista, swoje zaangażowanie w latach 80. XX w. przypłacił odsiadką w więzieniu. Skazany ponownie w 1994 r. za „stwarzanie zagrożenia dla porządku konstytucyjnego Serbii", przesiedział kolejne pięć lat. W dniu, w którym miał wyjść na wolność, został przewieziony do więzienia w serbskim Niszu. Odtąd słuch o nim zaginął. Jest jedną z 1700 zaginionych w czasie wojny osób, których los wciąż pozostaje nieznany.

Bardzo małe kroki

A to tylko przykład jednej z licznych niezamkniętych spraw, które utrudniają zasypywanie podziałów między Serbami i Albańczykami.

Ibrahim jest jednak optymistą. – Mój tata opowiadał mi jak kiedyś, w miejscu Bulwaru Matki Teresy w Prisztinie, płynęła rzeka. Jednym brzegiem chodzili Albańczycy, drugim Serbowie. Dziś zamiast rzeki jest szeroka aleja, którą chodzą wszyscy – podkreśla.

Rzeczywiście, w ciągu ostatniej dekady nawet w Kosowie czas nie stał w miejscu. Słynnego XIV-wiecznego prawosławnego monastyru w Gračanicy pod Prisztiną już nie pilnują żołnierze NATO. Choć przy innych wciąż stoją posterunki KFOR (międzynarodowych sił pokojowych), a zwiedzających obowiązuje kontrola. Ale do incydentów dochodzi rzadko.

Minister spraw zagranicznych Kosowa, Behgjet Isa Pacolli, w grudniu 2017 r. zapowiedział intensyfikację rozmów z Belgradem i wyraził nadzieję, że do końca 2018 r. uda się rozwiązać kwestie sporne. Kosowianie nie mieli jednak złudzeń, że na kolejne urodziny Prisztina mogłaby dostać prezent w postaci uznania jej państwowości przez Serbię. Podejrzewali raczej, że deklaracja ta może oznaczać m.in. powrót do rozmów na temat utworzenia wspólnoty serbskich gmin. Miałyby do niej należeć gminy na terenie Kosowa, w których większość stanowią Serbowie.

Śmierć kończy rozmowy

Jednak teraz, po śmierci Olivera Ivanovicia, o rozmowach nie ma już mowy.

W kilka godzin po tym zabójstwie ambasador USA w Kosowie Greg Delawie przestrzegł, że nikt nie powinien wykorzystywać go dla osiągnięcia korzyści politycznych. Na próżno. Serbia zerwała toczące się w Brukseli rozmowy na temat normalizacji stosunków z Kosowem, jak zapowiedziała – aż do czasu wyjaśnienia tej zbrodni. To zaś może potrwać długo.

Większość ekspertów nie podejmuje się prognozować, jaki wpływ śmierć Ivanovicia będzie mieć na stosunki między Serbią i Kosowem. Na Bałkanach bieg wydarzeń może zmienić się z godziny na godzinę. ©

AGNIESZKA ROSTKOWSKA

OLEKSANDR RUPETA / NUR PHOTO / AFP / EAST NEWS

Na piramidzie Envera Hodży w Tiranie, grudzień 2017 r.

Mikrokosmos w zawieszeniu

MACIEJ MACHCEWICZ Z TIRANY I DURRËS

Albania jest rozdarta między przeszłością i przyszłością. Kraj wciąż zmaga się ze skutkami komunizmu, a jednocześnie chciałby być członkiem zachodniego świata.

Blloku, w czasach komunizmu zamknięta dzielnica, zajmowana przez komunistycznych notabli partyjnych i niedostępna dla zwykłych obywateli, to dziś rozrywkowe centrum Tirany. Pełno tu ekskluzywnych restauracji, klubów, drogich sklepów i eleganckich hoteli.

Pośrodku Blloku, na skrzyżowaniu ulic imienia Ibrahima Rugovy (przywódcy Albańczyków z Kosowa) i Ismaila Qemalego (pierwszego premiera niepodległej Albanii) stoi willa Envera Hodży. Ten komunistyczny dyktator rządził Albanią twardą ręką przez ponad 40 lat, czego skutkiem była ruina kraju i cierpienie mieszkańców. Dziś rezydencja Hodży wygląda na opuszczoną. Popękane tynki, okna zasłonięte roletami, zapuszczony ogród i brama zamknięta łańcuchem. A naprzeciw – bar Kentucky Fried Chicken.

Jest w tym coś symbolicznego. Wypełniona ludźmi restauracja, jeden z najbardziej rozpoznawalnych symboli Ameryki, w sąsiedztwie siedziby czerwonego dyktatora. Ten kontrast dobrze obrazuje dzisiejszą Albanię: kraj rozdarty między przeszłością a przyszłością.

Bunkier dla każdej rodziny

Kilkaset metrów dalej stoi, a raczej straszy piramida Hodży. Betonowo-szklana konstrukcja miała być grobowcem dyktatora, zbudowanym na wzór mauzoleum Lenina w Moskwie. Tak się nie stało. Szczątki Hodży spoczywają na miejskim cmentarzu Sharii, a opuszczona piramida niszczeje w centrum stolicy. Od lat toczy się dyskusja o jej losach. Zostawić, rozebrać? A jeśli, to czym zastąpić? Brakuje pomysłu na jej zagospodarowanie. Lata lecą, rządy się zmieniają, a piramida stoi.

Zresztą jak wiele pozostałości po komunizmie na terenie całego kraju. Najbardziej widoczne są słynne i wszechobecne bunkry. W miastach, na wsiach, przy drogach, na plażach, nawet na trudno dostępnych górskich szczytach – tworzą opowieść o klęsce szaleństwa.

Niewielki betonowy schron w kształcie grzyba miał mieścić dwie, trzy osoby i karabin maszynowy. Każdy miał numer, do którego była przypisana dana rodzina. – Planowano zbudować 207 tys. bunkrów. Ostatecznie w latach 1975-83 powstało 168 tys. Razem z większymi centrami dowodzenia i stanowiskami artylerii jest ich ponad 173 tys. Mniej więcej jeden na jedenastu mieszkańców – wylicza Adela, przewodniczka w muzeum Bunk Art.

Nie opłaca się ich dziś burzyć. Koszt takiego przedsięwzięcia byłby ogromny. „Niezniszczalne" bunkry na stałe wpisały się w pejzaż kraju, przypominając o paranoicznej wyobraźni Envera Hodży, wedle której miały one obronić Albanię przed inwazją wrogich sił. Kto i dlaczego miałby najechać Albanię? Trudno powiedzieć.

Skoro nie da się ich zburzyć, trzeba je jakoś zagospodarować. Do tego zachęca akcja „*Concrete Mushrooms*". Przykładowo ↦

↦ w Durrës w większym schronie mieści się restauracja Bunkeri, w Gjiorokastrze w bunkrze urządzono kawiarnię.

Żelazny uścisk Envera

Skutki komunizmu widać tu na każdym kroku. Nie tylko te wizualne. Wszystko, czym jest dzisiejsza Albania, ma związek, pośredni lub bezpośredni, z latami reżimu komunistycznego. Każda opowieść Albańczyka na temat własnego kraju zaczyna się od nawiązania do komunizmu, gdyż komunizm w wydaniu albańskim był jednym z najbardziej opresyjnych systemów na świecie.

Enver Hodża, w czasie II wojny światowej przywódca komunistycznej partyzantki, która wyzwoliła Albanię spod niemieckiej okupacji, w pierwszych latach rządów zbratał się z Jugosławią. Potem w 1948 r. obrał kurs na Moskwę, aby na początku lat 60. XX w. zawiązać sojusz z Chinami. W końcu w 1978 r. pokłócił się z całym światem. Uznał że głosi jedyną w świecie czystą ideę komunizmu, po czym odizolował kraj. Ówczesną Albanię można porównać do dzisiejszej Korei Północnej (choć ta przynajmniej ma kontakty z Chinami).

Cały okres rządów „Żelaznego Envera" charakteryzuje podporządkowywanie wszystkich dziedzin życia publicznego władzy partii i tworzenie systemu totalitarnego. Rządy Hodży opierały się na bezwzględnym terrorze wobec wszystkiego, co niekomunistyczne. Konsekwentnie przeprowadzał czystki potencjalnych i wydumanych przeciwników. Mordował ich lub zamykał w obozach pracy. Ówczesny kodeks karny przewidywał karę śmierci za 33 przestępstwa, w tym za „agitację polityczną" i „propagandę religijną". W Albanii nigdy nie powstała zorganizowana opozycja, którą można by porównać do tej działającej np. w Polsce.

Militaryzacja kraju doprowadziła do dewastacji rolnictwa i zepchnęła społeczeństwo na skraj ubóstwa. W kraju wprowadzono najbardziej absurdalne prawa. Zakazano posiadania prywatnych aut, zabroniono też nauki języków obcych. W 1967 r. dekretem partii uznano Albanię za „pierwsze w świecie państwo ateistyczne". Rozwiązano wszystkie Kościoły i organizacje wyznaniowe, ośrodki kultu przekształcono w muzea, kina, teatry, magazyny. Święta religijne zniesiono, księgi niszczono, duchownych poddano „reedukacji".

Albania pozostała państwem ateistycznym do końca komunizmu. Ma to dziś zaskakujące skutki.

Wzór tolerancji

W centrum Szkodry, największego miasta na północy kraju, stoją meczet Ebu Bekër, cerkiew prawosławna i kościół franciszkanów. Wszystkie trzy świątynie dzieli odległość rzutu kamieniem. Ale kamieniami nikt nie rzuca. Albania to czarny sen wszelkiej maści nacjonalistów. Kraj, gdzie wszystkie religie żyją obok siebie w pokoju i szacunku.

Oficjalne statystyki pozostają nieprecyzyjne. Według spisu ludności z 2011 r. – 58 proc. mieszkańców Albanii zadeklarowało, że wyznaje islam. Badania Pew Research Center mówią nawet o 80 proc., zaś dane Instytutu Gallupa wskazują na 43 proc. muzułmanów. Z pewnością jest to dominująca grupa religijna, choć tak naprawdę nie wiadomo, jak dokładnie przedstawia się dziś struktura wyznaniowa. Umownie przyjęty podział to 70 proc. muzułmanów, 20 proc. protestantów i 10 proc. katolików.

– Nie należy przykładać zbyt dużej wagi do jakichkolwiek statystyk – tłumaczy mi Fabiola Laço, szefowa organizacji Today for the Future. – Wszystkie są nieprecyzyjne. Dużo Albańczyków, zwłaszcza młodych, mimo oficjalnej przynależności do danej religii w rzeczywistości nie praktykuje.

Potwierdza to Joni, 30-letni student politechniki: – Religia to u nas sprawa prywatna. Mam znajomych katolików, muzułmanów i prawosławnych. Jedni praktykują, drudzy nie. Nie ma to znaczenia, wszyscy jesteśmy Albańczykami. To najważniejsze.

Wielu Albańczyków – zwłaszcza pokolenia dorastające w czasach reżimu – nigdy nie było nauczanych religii, przez co dziś pozostają obojętni na kwestię wiary. Powstaje zatem pytanie, czy panująca w kraju tolerancja religijna jest skutkiem dawnych represji, jakim poddawano wszelkie religie, czy powszechnej obojętności wobec religii? Innymi słowy – czy respektujemy wiarę innych dlatego, że jeszcze niedawno nikt z nas nie mógł praktykować swojej religii, czy może dlatego, że jest nam wszystko jedno?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Ale jedno jest pewne: religia powinna łączyć, a nie dzielić – i w Albanii zdecydowanie łączy. Tolerancji od Albańczyków mogłaby uczyć się reszta Europy.

Świat równoległy

Położone nad Adriatykiem Durrës to drugie największe miasto w kraju. Przez przewodniki turystyczne nazywane jest rozkwitającym kurortem nieodległej stolicy.

Ale „albańskie Miami" ma dwa oblicza. Zaledwie 15 minut pieszej wędrówki od rozkwitającego centrum zaczynają się przedmieścia. Mieszka tu 60 tys. ludzi, czyli blisko jedna trzecia mieszkańców miasta. To imigranci, głównie z górzystych terenów z północy i południa kraju, którzy zaczęli tu przybywać masowo na początku lat 90. XX w.

Wcześniej jakiekolwiek migracje wewnątrz kraju (jak i na zewnątrz) były zakazane, a wszelkie ich próby surowo karane. Dopiero rozpad systemu pozwolił ludziom pochodzącym z biednych i zacofanych górskich regionów na północy i południu szukać poprawy bytu na lepiej rozwiniętym wybrzeżu i w Tiranie.

Całe rodziny osiedlały się więc tutaj, w szczerym polu, na obrzeżach Durrës. Domy budowano za pomocą najprostszych środków i najtańszych materiałów. – Nie ma tu bieżącej wody, nie ma szpitala, a polne drogi toną w śmieciach – wylicza Viola, koordynatorka działającego tu Community Development Center organizacji

Unia-Bałkany: możliwe nowe akcesje

KOMISJA EUROPEJSKA chce znacząco przyspieszyć negocjacje akcesyjne z sześcioma krajami bałkańskimi, aspirującymi do członkostwa we Wspólnocie. Pierwsze dwa kraje z tej grupy, Serbia i Czarnogóra, mogłyby wejść do Unii w 2025 r. – takie informacje podał w minionym tygodniu niemiecki dziennik „Die Welt", powołując się na „strategiczny dokument unijny". „Członkostwo krajów Bałkanów Zachodnich jest w interesie Unii z punktu widzenia politycznego i gospodarczego, a także z punktu widzenia polityki bezpieczeństwa" – cytuje dziennik ów dokument. Poza Serbią i Czarnogórą chodzi też o Macedonię, Bośnię i Hercegowinę, Albanię i Kosowo. Wejście dwóch pierwszych państw z tej grupy do Unii uzależnione miałoby być od „silnej woli politycznej, realizacji reform i rozwiązania zaległych kwestii spornych z sąsiadami". W tym kontekście Komisja Europejska wymienia konkretnie zawarcie „umowy normalizującej relacje między Serbią i Kosowem". Dokument unijny podkreśla, że w chwili obecnej istnieje „historycznie korzystna okazja", aby przyszłość tych krajów związać „ściśle i nieodwracalnie" z Unią. ©℗

WP / FAZ, DPA, Reuters

Today for the Future. – Prąd dostarczają samodzielnie wykonane i niezabezpieczone generatory. W okolicy funkcjonuje jedna szkoła, a transport publiczny wprowadzono dopiero dwa lata temu.

To miejsce bardzo różni się od zabudowanego hotelami i restauracjami centrum. Migranci, bez wykształcenia i wsparcia ze strony państwa, mają ogromne problemy ze znalezieniem pracy i integracją z lokalną społecznością. Tkwią tu jak w pułapce. Ale jednocześnie zgodnie podkreślają, że tu mają większe szanse przeżycia niż tam, skąd przybyli.

Nie jest to tylko domena Durrës. Tak samo wygląda Tirana, która rozrasta się w nieregulowanym tempie, bez planu i ładu. Po reformie administracyjnej z 2015 r., kiedy w obręb Tirany włączono okoliczne gminy, miasto liczy ponad milion mieszkańców. Oznacza to, że mieszka tu ok. 40 proc. populacji kraju. Metropolia nie jest w stanie zapewnić pracy, edukacji i podstawowych usług takiej masie ludzi.

W ten sposób na obrzeżach obu miast, Tirany i Durrës, tworzą się slumsy, choć nikt tutaj tego słowa nie używa. – Wolimy udawać, że ta nowa część miasta nie istnieje. W myśl zasady, że jak nie zauważamy problemu, to go nie ma – mówi Kejt Dhrami, urbanistka na prywatnym uniwersytecie w Tiranie.

Co wspólne, to nie moje

Kilkadziesiąt lat komunizmu mocno wpłynęło też na mentalność społeczeństwa – i zabiło w nim odpowiedzialność za sferę publiczną.

Oczywiście, nie można całej winy za obecne problemy Albanii zrzucać na karb systemu, którego upadek nastąpił blisko 30 lat temu. Nie bez przyczyny jednak jeden z najsłynniejszych albańskich pisarzy Ismail Kadare napisał: „Komunizm w Albanii przeminął, ale nie przeminął jego kurz i zaduch. Jaja węży wciąż są tu i tam. (...) Są wszędzie: w partiach prawicowych i w partiach lewicowych, w wielkich i małych. Historyczna ochrona upadłej dyktatury”.

> Polityka, w tym **wszechobecna korupcja,** jest w Albanii odbiciem społeczeństwa, w którym panuje kult własności prywatnej.

Paradoks albańskiej transformacji polega na tym, że mimo ostrej (i budzącej spory) ustawy lustracyjnej wielu byłych działaczy komunistycznych do dziś działa w polityce. Partia Demokratyczna i Partia Socjalistyczna – dwie największe siły w obecnym parlamencie – wywodzą się z komunistycznej Albańskiej Partii Pracy.

Pierwsza została w dużej mierze stworzona przez działaczy komunistycznych, którzy w czasie transformacji dostrzegli szansę na zrobienie kariery. Jej liderem przez wiele lat był Sali Berisha. Ten były lekarz Hodży i bliski współpracownik jego następcy Ramiza Alii, zaszedł wysoko – był prezydentem Albanii w latach 1992-97 i premierem w latach 2005-13. Z kolei Partia Socjalistyczna jest bezpośrednią kontynuatorką Albańskiej Partii Pracy. Rządziła w latach 1997–2005, a potem od 2013 r. W lipcu 2017 r. z ogromną przewagą wygrała wybory, a Edi Rama pozostał premierem na kolejną kadencję.

Nadal zatem o władzę walczą ci sami ludzie, którzy niegdyś razem tworzyli system komunistyczny – bądź namaszczeni przez nich następcy. Po upadku komunizmu nie nastąpiła wymiana elity politycznej i nie wytworzył się etos odpowiedzialności za państwo. Politycy traktują je jak własny folwark, czego skutkami są wszechobecna korupcja i nadużycia.

Polityka jest tu tylko wierzchołkiem góry lodowej – odbiciem społeczeństwa, w którym panuje kult własności prywatnej. Z codziennej obserwacji: Albańczycy przykładają ogromną wagę do rzeczy materialnych i tego, jak są postrzegani przez innych. Stąd na ulicach pełno wypolerowanych i błyszczących aut, a domy i mieszkania od progu lśnią czystością.

Wystarczy jednak wyjść na ulicę, czy przejść się po parku, by utonąć w stertach śmieci. To jedna z największych plag kraju. Nie istnieje poczucie odpowiedzialności za przestrzeń wspólną, na czym cierpi środowisko. Kierowca, który przez dwie godziny pieczołowicie mył swego mercedesa, po wyjeździe z myjni wyrzuca plastikową butelkę przez okno. Gospodyni, która cały ranek sprzątała mieszkanie, worek ze śmieciami zostawia za rogiem.

Takie widoki nie są niczym niezwykłym. I nie budzą oburzenia. Wszak to powszechnie przyjęta norma.

Unia lekiem na wszelkie zło

Wielu Albańczyków, zwłaszcza młodych, marzy o dołączeniu do Unii Europejskiej, która jawi im się jako recepta na wszelkie bolączki. ↦

REKLAMA

NAGRODA KUSTOSZ PAMIĘCI NARODOWEJ

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ ZAPRASZA DO ZGŁASZANIA KANDYDATUR

W CELU PRZESŁANIA KANDYDATURY NALEŻY WYPEŁNIĆ FORMULARZ ZNAJDUJĄCY SIĘ NA STRONIE ORGANIZATORA WWW.IPN.GOV.PL DO DNIA 25 LUTEGO 2018 ROKU

DODATKOWE INFORMACJE POD NUMERAMI 22 581 85 53 LUB 22 581 85 98

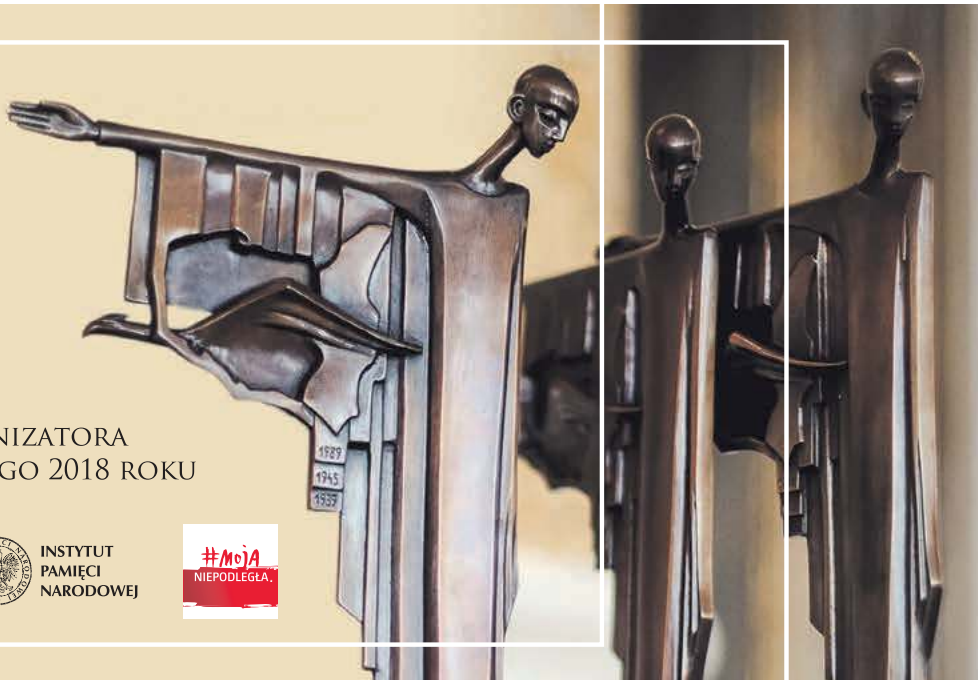

↦ Dorina, maturzystka z 2017 r., próbuje dostać się na medycynę na uniwersytecie w Bolonii. Zdziwiona pyta, co można robić w Tiranie przez kilka miesięcy (przyjechałem tu w ramach wolontariatu). Ona zarzeka się, że gdy już wyjedzie do Włoch, to do Albanii nigdy nie wróci. Tłumaczy, że w Albanii trudno jest znaleźć pracę młodym ludziom i wszyscy marzą o wyjeździe za granicę.

I zazdroszczą nam możliwości, jakie daje Unia. Dla nich zdobycie pozwolenia na pracę w innym kraju często bywa przeszkodą nie do pokonania. Doświadczyła tego Tina. Po ośmiu latach studiów w Niemczech wróciła do Albanii, gdyż, jak mówi, nie była w stanie spełnić wygórowanych warunków niezbędnych do uzyskania pozwolenia na pracę. Obecnie pracuje dla korporacji w dziale marketingu w Tiranie. Ale wciąż myśli o emigracji.

Także Kledi i Klodi studiowali za granicą, w Rzymie. Teraz mają po 30 lat i wrócili do Albanii. – Za granicą wcale nie jest łatwiej. Kilka lat mieszkaliśmy we Włoszech, gdzie najchętniej wyjeżdżają młodzi Albańczycy. W tej chwili bezrobocie wśród młodych wynosi tam ok. 30 proc. Dla nas, przybyszów spoza Unii, znalezienie tam pracy jest jeszcze trudniejsze niż tutaj – tłumaczy Klodi.

Unia przewija się we wszystkich rozmowach z młodymi ludźmi. To dla nich punkt odniesienia i niedoścignione marzenie. Dzięki członkostwu we Wspólnocie Polska jawi im się jako lepszy świat. Gdy słyszą o polskich problemach, kiwają głowami, ale chyba nie rozumieją. Ciągle powtarzają: Unia, Unia... Zazdroszczą nam rzeczy, do których już się tak przyzwyczailiśmy, że uznajemy je za oczywistość. Studia na europejskich uczelniach, praca za granicą bez pozwoleń, podróże bez wiz... W Albanii można docenić, co daje Unia.

Czy ich aspiracje mają jakieś szanse? Kledi, który dziś pracuje w EU Info Network w Tiranie, nie daje Albanii szans na dołączenie wkrótce do Wspólnoty. Choć od 2006 r. kraj uczestniczy w procesie stowarzyszenia, a w 2014 r. otrzymał status kandydata, wciąż jest daleki od spełnienia wymagań.

Rzecz w tym, że dopóki sami Albańczycy nie zrozumieją, że tylko od nich (i skuteczności ich reform, przede wszystkim ukrócenia korupcji) zależy powodzenie ich unijnych aspiracji, dopóty Albania pozostanie w zawieszeniu – między komunistyczną przeszłością a europejskim marzeniem. ©

MACIEJ MACHCEWICZ

Pekin nie dla wszystkich

ULA IDZIKOWSKA Z PEKINU

To największa w historii migracja ze wsi do miast: w ostatnich 30 latach aż 282 mln Chińczyków opuściło rodzinną ziemię, by napędzać rozwój metropolii. Dziś wielu z nich nie jest już tam potrzebnych. I co z nimi zrobić?

Zewsząd słychać narzekania. Bez względu na to, czy rozmawia się z rodowitym pekińczykiem, czy też z przybyłym z prowincji migrantem: „Straszny ścisk. Mieszka tu za dużo ludzi. Godzinami stoimy w korkach. Rząd musi jakoś to rozwiązać".

Władze w Pekinie zdają sobie sprawę z rozmiaru problemu. Zapoczątkowana jesienią 2017 r. intensywna kampania „oczyszczania" miasta przyniosła już pierwsze rezultaty: pękająca w szwach chińska stolica liczy mniej mieszkańców. Trochę mniej.

Plan rządu, mający na celu zamienienie 22-milionowego zanieczyszczonego molocha w miejsce, w którym da się żyć, ma jednak wysoką cenę: tysiące migrantów z obszarów wiejskich, którzy przez lata wykonywali niepewne i niskopłatne prace, muszą szukać szczęścia gdzie indziej. W Pekinie nie są już potrzebni.

Perpetuum mobile migracji

Sophia Du, 33-letnia emigrantka z regionu Mongolia Wewnętrzna, niespokojnie wierci się na ławce w centrum wymiany kulturalnej Hutong, położonym na jednej z tradycyjnych ulic Pekinu – tu właśnie pracuje od trzech lat. Chociaż w Pekinie mieszka już 15 lat, z nostalgią wspomina region, z którego pochodzi. Otwiera oczy i, podnosząc rękę w wizjonerskim geście, myślami wraca do swojego dzieciństwa: – Spróbuj sobie wyobrazić to miejsce: rozległe przestrzenie, przezroczyste powietrze. Tam naprawdę masz wrażenie, że możesz dotknąć nieba...

Mimo to swoją przyszłość Sophia wiąże z Pekinem.

Ta instruktorka i dietetyczka jest jedną z 282 mln migrantów z obszarów wiejskich, którzy w ciągu ostatnich trzech dekad opuścili rodzinne strony, aby osiedlić się w dynamicznie rozwijających się chińskich metropoliach. Intensywna urbanizacja po wyjściu Chin z izolacji w 1978 r. i wizja lepszego życia w mieście wprawiła w ruch największą w historii pielgrzymkę do „miejskiej ziemi obiecanej". Ci, którzy chcieli poprawić swą sytuację, przemierzali setki kilometrów, zostawiając rodziny, by podjąć niskopłatną i często niepewną pracę. W Pekinie migranci stanowią ponad jedną trzecią zameldowanych obecnie mieszkańców.

Chociaż eksodus ze wsi do miast jest powszechny, to skala zjawiska przemieszczania się obywateli Chin nie ma precedensu. A to jeszcze nie koniec. Wydział ds. Ludności ONZ szacuje, że największy wzrost ludności w miastach w najbliższych latach nastąpi właśnie w Chinach, Indiach i Nigerii.

Marzenie o lepszym życiu w mieście wciąż inspiruje wielu Chińczyków do postawienia wszystkiego na jedną kartę. Wizje te są podsycane perspektywą realizacji „chińskiego snu". Pojęcie to, ukute przez prezydenta Xi Jinpinga w 2013 r., zakłada dążenie do poprawy standardu życia całego społeczeństwa, bez wykluczania ludności wiejskiej.

Zawieszeni w próżni

Chociaż władze państwa planują dalszą walkę z ubóstwem i obiecują dobrobyt wszystkim (i to już przed rokiem 2020), to w Chinach wciąż obowiązuje orwellowski podział na równych i równiejszych.

Migranci z obszarów wiejskich posiadają mniej praw niż osoby urodzone w Pekinie. To następstwo wprowadzenia w 1958 r. systemu meldunkowego (*hukou*) przez Mao, twórcę Chińskiej Republiki Ludowej. System ten dzielił pracowników na wiejskich i miejskich. Jego celem było ograniczanie napływu biednych rolników do miast w czasach ówczesnego tzw. realnego komunizmu.

KEVIN FRAYER / GETTY IMAGES

Serwis jednej z firm wypożyczającej rowery, Pekin, marzec 2017 r.

Ale dzisiaj, mimo faktycznego przejścia na gospodarkę rynkową i wprowadzania reform systemu meldunkowego, migrant z wiejskim *hukou* wciąż nie ma dostępu do służby zdrowia, ubezpieczeń społecznych czy możliwości podjęcia nauki w mieście. – Jest to poważny problem – potwierdza Jan van der Putten, były holenderski korespondent pracujący w Chinach. – Migranci nie posiadają prawie żadnych praw, nie mogą np. wziąć ślubu. Oni w zasadzie nawet nie mają prawa umrzeć!

Wszystkie te ograniczenia nie odstraszają milionów Chińczyków pragnących poprawić swą sytuację finansową. Zdesperowani, dobrowolnie decydują się na marginalizację w miejskim społeczeństwie. Na ich decyzję nie ma wpływu nawet perspektywa szykan ze strony rodowitych pekińczyków.

Sophia: – Miejscowi nie lubią migrantów, ponieważ myślą, że zajmujemy ich przestrzeń, wykorzystujemy ich zasoby. Chociaż *hukou* wciąż nas poważnie ogranicza, wprowadzono pewne zmiany. Obecnie, jeśli jesteś zarejestrowany, gdy masz „zieloną kartę", możesz legalnie wynająć mieszkanie i pracować.

Mimo tych reform los migrantów jest nie do pozazdroszczenia. Wielu doznaje rozczarowania i niepokoju. Nawet traumy. Ale zostają, bez względu na trudności.

„Odchudzanie" stolicy

Rząd, który uważnie śledzi każdy ruch obywateli, nigdy nie był zachwycony chaotyczną migracją. To potrzeba odzyskania utraconej pozycji na scenie międzynarodowej za sprawą ekonomicznego boomu przekonała władze do rozluźnienia systemu meldunkowego. W ten sposób nowo powstałe miasta mogły rozwijać się dzięki napływowi taniej siły roboczej. Chiny zawdzięczają swój spektakularny rozkwit w ostatnich 30 latach właśnie masowej migracji do miast – oraz intensywnym inwestycjom w przemysł i infrastrukturę.

Tymczasem gwałtowna urbanizacja przerosła najśmielsze oczekiwania. Chińskie megamiasta osiągnęły faktycznie gigantyczne rozmiary. Pekin, druga co do wielkości aglomeracja po Szanghaju (ten liczy 24 mln mieszkańców), rozciąga się na powierzchni 17 tys. km kwadratowych i pęka w szwach. Według rządowych danych, w ciągu ostatnich 16 lat liczba mieszkańców wzrosła ponad dwukrotnie: z 10 do 22 mln. To mniej więcej tak, jakby połowa ludności Polski została ściśnięta na obszarze wielkości województwa podkarpackiego.

Nic dziwnego, że standard życia w stolicy uległ pogorszeniu. Coraz trudniej mieszkać w pogrążonym w smogu mieście molochu. Przeludnienie, zanieczyszczenie powietrza, natężenie ruchu i problemy z dostawą wody – to szara (dosłownie) codzienność pekińczyków. Dojazdy z oddalonych od centrum dzielnic zajmują zbyt dużo czasu. Nawet przejście przez ulicę jest prawdziwym wyzwaniem, biorąc pod uwagę pędzące samochody, które nie mają zamiaru się zatrzymać. I wszędzie trzeba stać w kolejce...

– Tutaj nie mówimy już o życiu w metropolii, ale raczej o przeżyciu – mówi van der Putten.

Chińskie władze dojrzały rozwiązanie m.in. w „odchudzeniu" stolicy. Tym bardziej że wspomniane 22 mln jej mieszkańców to tylko oficjalne statystyki. W istocie żyją tu także rzesze mieszkańców niezarejestrowanych, z wiejskim *hukou*, co sprowadza ich status do poziomu nielegalnych migrantów. ↦

↦ To właśnie oni są wysiedlani jako pierwsi w ramach zaprowadzanych od jesieni porządków. Ustalono, że do 2020 r. liczba mieszkańców nie może przekroczyć 23 mln. Tak określa pięcioletni plan rozwoju metropolii. A plan to rzecz święta.

Pod specjalnym nadzorem

Najgęściej zaludnione dzielnice miasta są poddawane szczególnie wnikliwej kontroli. Rząd dysponuje arsenałem metod, aby zmusić ludzi do zmiany miejsca zamieszkania. Jedną z nich jest wykrywanie nielegalnych lokatorów.

Prawdziwe polowania odbywają się w hutongach. Te tradycyjne, wąskie, ale długie uliczki w centrum mają strategiczne znaczenie zarówno dla rządu, jak też deweloperów – ze względu na wysoką cenę gruntu.

Hutongi to również miejsca, które upodobali sobie turyści. Przyjezdni uwielbiają przechadzać się po alejkach i rozkoszować ich wyjątkową atmosferą. Otwarte bramy zachęcają do zerknięcia na dziedzińce, wokół których usytuowane są małe mieszkania. Ci, którzy niepostrzeżenie przemkną na jedno z tych podwórek, mogą rzucić okiem na życie mieszkańców hutongów: zarówno rodowitych pekińczyków, jak i migrantów z obszarów wiejskich.

Ci ostatni czasem nie mają innego wyjścia niż wynajmować mieszkania nielegalnie, gdyż oficjalnie są zameldowani w rodzinnej wsi. – Wynajmują głównie od lokatorów, którzy wolą zamienić swe podupadłe mieszkanie na wygodne lokum w bloku – opowiada Hanna Wu z biura architektonicznego People's Architecture Office. – Te mieszkania należą bowiem do państwa, władze wynajmują je za niską opłatą. Podnajem osobom trzecim jest niezgodny z prawem. Dlatego najemcy często nie mają żadnej umowy, co dla władz stanowi podstawę do eksmisji.

– Niektóre z tych nielegalnie podnajmowanych nieruchomości są wykorzystywane w celach komercyjnych. Rząd tropi również te przypadki – opowiada Lars Thom z firmy Beijing's Postcards, instytucji zajmującej się najnowszą historią Pekinu. – Przez konfiskatę pomieszczeń chcą położyć kres napływowi nowych migrantów.

Prócz tego władze rekwirują budynki, które zostały w przeszłości zbudowane bez pozwolenia lub nielegalnie przebudowane. A tych ostatnich jest sporo, gdyż wprowadzanie zmian w konstrukcji budynków jest praktykowane od lat. Tak mieszkańcy starają się wykorzystać ograniczoną przestrzeń, którą mają do dyspozycji. Np. wielu buduje dodatkowe pomieszczenia na dachu. – Władze zabraniają takich samowolnych konstrukcji, gdyż w ten sposób zajmowana jest dodatkowa przestrzeń publiczna – wyjaśnia Sophia. Niektórzy dzielą dom na mniejsze powierzchnie, by je wynająć. W ten sposób liczą na dodatkowe dochody.

> Władze w Pekinie kreują się **na obrońców uciśnionych.** Konfiskując nielegalne domy przekonują wyrzucanych mieszkańców, że przeprowadzka jest dla ich własnego dobra.

Stragany na celowniku

Polowanie na nielegalnych lokatorów i konfiskata samowolnie postawionych lub przebudowanych budynków skutkuje wymuszonymi przeprowadzkami. Wielu uważa, że rząd wykorzystuje tę akcję jako pretekst, by przegonić mieszkańców z zatłoczonych dzielnic.

Lars Thom patrzy na sprawę z innej perspektywy: – Cóż, nie można wszystkiego rozpatrywać w kategoriach wymówek. Dużo ludzi naprawdę nie ma pozwolenia, by tu mieszkać. Z drugiej strony to prawda, że rząd szuka usprawiedliwień, aby zmusić mieszkańców do przeprowadzki. To częściowo zrozumiałe, bo Pekin nie jest miastem zrównoważonym. Trzeba coś z tym zrobić. To, co się dzieje, jest okrutne. Też się z tym nie zgadzam. Ale do pewnego stopnia jestem to w stanie zrozumieć. Choć uważam, że rząd nie działa we właściwy sposób.

Co dzieje się ze skonfiskowanymi budynkami? – Rząd często wykorzystuje je jako hoteliki *bed and breakfast* i biura – mówi Hanna Wu. Część zaś jest wyburzana.

Lars dodaje, że rząd często zamyka też sklepy, zmuszając w ten sposób ludzi do zmiany miejsca zamieszkania. Mówiąc o sklepach, ma na myśli małe stragany migrantów, które w ostatnich latach masowo znikają, aby ustąpić miejsca modnym kawiarniom lub nowoczesnym biurom.

To plan rządu, który ma na celu rewitalizację i odmłodzenie wizerunku strategicznych dzielnic. „Uliczne bazary" nie pasują do tego obrazka. To nie tylko dramat dla małych przedsiębiorców, którzy są zależni od dochodów ze swoich sklepów. Również miejscowi nie są zadowoleni z zachodzących zmian. – Nam to też utrudnia życie. Nie możemy już kupować świeżych warzyw. Musimy chodzić na inny targ, który jest znacznie dalej – mówi Sophia Du.

Modernizacja kluczowych dzielnic niesie ze sobą wzrost cen. – Wielu ludzi będzie musiało się przeprowadzić, bo czynsze wzrosły – podkreśla Lars.

Aby dało się żyć

Sophia ma mieszane uczucia odnośnie do „odchudzania" stolicy: – Może nie jest to najlepszy sposób na rozwiązanie problemu przeludnienia... Ale z drugiej strony trzeba przyznać, że sytuacja się poprawia – zastanawia się. – Uważam, że rząd stara się lepiej zorganizować życie w mieście. Pekin ma 20 mln mieszkańców, to za dużo. Jeśli nie umiesz przetrwać w takim środowisku, to może lepiej, jeśli wrócisz do domu.

W tej kwestii zarówno Sophia, jak i Lars oraz Hanna są jednomyślni: należy podjąć działania, aby uczynić Pekin miastem, w którym da się żyć.

Pozostaje tylko pytanie, czy przymusowe przeprowadzki to jedyny sposób na rozwiązanie tego problemu. Bo obecna sytuacja przypomina walkę o przetrwanie. Rząd rozdaje karty i z góry wie, kto przegra. A przegra grupa najsłabsza, najmniej uprzywilejowana – migranci.

Kampania zimowa

Równocześnie chiński rząd stara się kreować siebie na obrońcę uciśnionych. Konfiskując nielegalne domy nie tylko zasłania się prawem, ale przekonuje wyrzucanych obywateli, że przeprowadzka jest dla ich własnego dobra, jako że zaniedbane mieszkania nie spełniają norm, a przestarzałe konstrukcje są częstą przyczyną pożarów.

Ostatni argument nawiązuje do tragicznego pożaru w listopadzie 2017 r., w którym w południowej dzielnicy Pekinu zginęło 19 osób. To właśnie wtedy rząd postanowił na dobre przystąpić do akcji. Masowe wyburzanie i wysiedlanie zdominowały kolejne mroźne tygodnie.

W rezultacie tysiące ludzi zostały bez dachu nad głową w samym środku zimy.

Ale to przecież dla ich dobra. ©

ULA IDZIKOWSKA

KAY NIETFELD / AFP / EAST NEWS

W Jezuickim Centrum Uchodźców, Addis Abeba, Etiopia, kwiecień 2017 r.

Pomysły o. Antoine'a

KATARZYNA STAŃKO Z PARYŻA

Jak skutecznie integrować uchodźców? Francuscy jezuici mają konkretne propozycje.

Ojciec Paumard jest krytyczny. – Wiele rozwiązań dotyczących uchodźców nie funkcjonuje dobrze we Francji – mówi. Antoine Paumard jest dyrektorem francuskiego oddziału Jezuicka Służba Uchodźcom (JRS), międzynarodowej jezuickiej organizacji pomagającej uchodźcom. – Postanowiliśmy zaprezentować rządowi naszą strategię, aby poprawić proces ich integracji z naszym społeczeństwem. Integracja uchodźców to wyzwanie moralne, kulturowe i gospodarcze – dodaje jezuita.

W grudniu 2017 r. organizacja o. Antoine'a przygotowała specjalny raport. Jego autorzy porównują niemiecki i francuski model integracji, postulują lepszą współpracę administracji na poziomie ministerstw i przyspieszenie na rynku pracy.

Język, historia, kultura

– Aby uczestniczyć w życiu danego kraju, należy go rozumieć – podkreślają jezuici. Dlatego proponują nie tylko organizowanie kursów językowych, lecz także nauczanie uchodźców historii i kultury kraju przyjmującego. Dostęp do rynku pracy i potrzeba integracji ze społeczeństwem są równie ważne, aby migranci mogli uniezależnić się od pomocy socjalnej.

Tymczasem z badań wynika, że zaledwie 12 proc. osób, które otrzymały azyl we Francji, po trzech latach nawiązało jakiekolwiek relacje czy więzi z Francuzami.

Podstawowym warunkiem skutecznej integracji, według autorów raportu, jest nauka języka na wyższym poziomie, niż zakładają to obecne przepisy. Osoba otrzymująca stały pobyt we Francji zobowiązana jest do podpisania tzw. kontraktu republikańskiego, który zakłada opanowanie francuskiego na poziomie podstawowym (A1). Tymczasem jezuici postulują podwyższenie wymogu językowego do poziomu średniozaawansowanego (B1).

Organizacja zaleca, by kursy prowadzone były przez specjalistów od nauczania języka obcego dla cudzoziemców. Dziś starający się o azyl uczestniczą często w kursach prowadzonych przez wolontariuszy lub w zajęciach *on-line*. A dodatkowym problemem są azylanci niepotrafiący czytać i pisać – dla nich wymóg godzin obowiązkowych kursów powinien wynosić 900 (takie rozwiązanie funkcjonuje w Niemczech).

Postulaty i nastroje

Kolejnym warunkiem integracji jest adaptacja na rynku pracy. JRS zaleca francuskiej administracji nostryfikację dyplomów i uznawanie certyfikatów zawodowych imigrantów już na początku procedury azylowej oraz weryfikację ich kompetencji zawodowych.

Tym, którzy nie mają umiejętności pożądanych na rynku pracy, jezuici sugerują szybkie zapisanie się do szkół zawodowych dla dorosłych, szkolenia i staże. Jako skuteczny przykład na dostosowanie się do rynku pracy podają program szkoleń językowych i zawodowych oraz zakwaterowanie oferowane przez Afpa (*Agence nationale pour la formation professionnelle des adultes*). Zachęcają też imigrantów do podejmowania studiów we Francji (wyliczają organizacje wspierające studia).

Jednak ankieta ośrodka Ifop z października 2017 r. pokazuje, że tylko 23 proc. Francuzów chce uznawania dyplomów imigrantów, a 64 proc. uważa, że trudniej jest im znaleźć pracę z uwagi na konkurencję z ich strony. Tymczasem JRS ma nadzieję, że azylanci uzyskają pozwolenie na pracę „najpóźniej w ciągu dwóch miesięcy od złożenia wniosku o udzielenie azylu" – zamiast, zgodnie z obecnym prawem, dziewięciu miesięcy.

Jezuici podkreślają, że nie ma integracji bez poszanowania prawa. Jednym z problemów jest sytuacja kilkudziesięciu tysięcy imigrantów, którzy powinni ubiegać się o azyl w innym kraju Europy, ale przebywają we Francji (zwani są „*dublinés*", od stolicy Irlandii, gdzie podpisano unijną umowę dotyczącą takich imigrantów). Jezuici postulują, by Francja zastosowała „klauzulę suwerenności", która dopuszczałaby rozpatrywanie takich wniosków azylowych. Podkreślają też potrzebę skrócenia czasu oczekiwania na decyzję o azylu i zapewnienia imigrantom dostępu do godziwych warunków mieszkaniowych. I opowiadają się za zwiększeniem zasiłku dla ubiegających się o azyl.

Nie tylko w tej ostatniej kwestii nastroje w Europie zdają się podpowiadać dziś politykom zupełnie inną drogę. ©

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy we Wrześni, I Wydział Cywilny, pod sygnaturą I Ns 736/16 prowadzi postępowanie z wniosku Andrzeja Lewandowskiego, zam. Września, ul. Kosynierów 95, o uznanie za zmarłą Józefy Lewandowskiej z d. Lindorf, urodzonej w 1886 r. córki Haliny i Jana, która zamieszkiwała na stałe w Węgierkach, a w czasie II wojny światowej mieszkała w Golinie.

Sąd wzywa zaginioną, aby w terminie trzech miesięcy od niniejszego ogłoszenia zgłosiła się, gdyż w przeciwnym razie może być uznana za zmarłą. Wzywa się też wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionej, aby w powyższym terminie przekazały je sądowi.

LASKI DIFFUSION / EAST NEWS

Żydzi na tle świętej arki (aron ha-kodesz) w synagodze w Kurowie, zdjęcie sprzed roku 1939.

KTO POMAGAŁ, KTO ZABIJAŁ

Będzie to rzecz o jednym miejscu. Nie wiemy, na ile reprezentatywnym. Kawałek prowincji, okupacja, Żydzi i Polacy. I opowieść o bohaterstwie oraz draństwie.

ANTONI SUŁEK

Kurów, położony pod Puławami, przy szosie z Warszawy do Lublina, liczy dziś kilka tysięcy mieszkańców. Przed wojną każdy był tu kuśnierzem lub szewcem. Ponad połowę populacji stanowili Żydzi. Życie żydowskie kwitło tu bujnie. Film z 1932 r. (dostępny w serwisie YouTube) pokazuje tutejszy sztetl, a w nagraniach dla Fundacji Spielberga ocaleli „kurowerzy" wspominają Kurów jako arkadię.

8 września 1939 r. dotarło tu Luftwaffe: miasto spłonęło od niemieckich bomb. Najbardziej ucierpiał środek, zamieszkały głównie przez Żydów. Rozbiegli się oni po okolicznych wsiach. Większość potem wróciła. Stawiali sobie różne prowizorki, mieszkali w piwnicach lub „po ludziach".

Niemcy od razu rozwiązali kahał i powołali Judenrat. Nakładali na Żydów daniny, wywozili na roboty, bili, upokarzali. W 1941 r. nakazali Żydom z wiosek wrócić do Kurowa, wywieźli do gett. W kwietniu 1942 r. deportowali kolejne dwa tysiące ludzi, już do obozu śmierci w Sobiborze. Ocalały kamasznik Samuel Chanesman tak opisał potem ich straszliwy pochód: „Gdy wozy zbliżyły się do cmentarza, wszyscy zaczęli krzyczeć i płakać, zwróceni do grobów błagali [zmarłych], żeby biegli do Boga i prosili, by przerwał ich mękę w nagrodę za nagromadzone cnoty naszych przodków".

Na miejscu zostało kilkudziesięciu Żydów: garbowali skóry na kożuchy dla Wehrmachtu. Po pół roku przybyłe komando wymordowało ten obóz pracy. Ale niektórzy zdołali się ukryć w Kurowie lub uciec na wieś, gdzie dołączyli do swych braci, którzy wcześniej nie stawili się na wywózkę do gett, i tych, którzy zdołali uciec przed wywózką na śmierć.

Uratowani i zamordowani

Nie wiemy, ilu Żydów uciekło i co się stało z każdym z nich. Może 20, a może 30 przetrwało w tej okolicy, a może drugie tyle gdzie indziej. Reszta zginęła. Zastrzeleni przez Niemców na patrolach i w obławach, z przymuszonymi chłopami jako nagonką. Zmarli z wycieńczenia. „Odstawieni" lub zamordowani przez miejscowych, czasem przez bandę, czasem przez „chłopaków". A czasem nie wiadomo przez kogo, w każdym razie przez „naszych".

Od lat w pamięci ludzi z tej okolicy i we wspomnieniach ocalałych szukałem śladów Żydów, którzy tu zginęli albo tu przetrwali. Pochodzę stąd, więc ludzie rozmawiali ze mną chętnie. Byłem zdziwiony, że w tak wiele lat po wojnie odkryłem tylu ludzi pomagających Żydom. Instytut Yad Vashem – stosujący, jak wiadomo, surowe kryteria – mógł nadać siedmiu tutejszym

rodzinom medale Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Równocześnie wielu Żydów zginęło z miejscowych polskich rąk. Nie to jest zaskoczeniem, o niektórych z tych zbrodni wiedziałem od dawna.

Z moich rachunków i szacunków nie wynika, kogo było więcej: Żydów uratowanych czy zamordowanych. Ale wynika z nich, że ludzi, którzy ukrywali Żydów, było tu znacznie więcej niż tych, którzy ich mordowali. Zabójstwo było aktem, a ratowanie (z sukcesem lub nie) zwykle długim procesem, nieraz wymagającym pomocy wielu rodzin.

W tej opowieści będzie więc uskrzydlająca prawda o bohaterstwie, ale także – jak mówił prezydent Andrzej Duda wiosną 2016 r., podczas otwarcia Muzeum Ulmów w Markowej – „smutna prawda o draństwie". Dopiero opisane razem składają się na prawdę o Holokauście na ziemiach okupowanej Polski.

Molendowie z przysiółka

Terenem, na którym rozgrywa się ta opowieść, są rozległe „podbornie niwy" na lekkim piaszczystym wzniesieniu, okolone nadrzecznymi łąkami, „dworskim" lasem i szosą do Kurowa. Kiedyś należały do dworu, ale w latach 20. XX w. zostały rozprzedane fornalom i chłopom z sąsiednich wsi. Niektórzy z nich tu się nawet sprowadzili i pobudowali, ale na ogół długo się nie utrzymali. Dziś po polnym przysiółku Podbórz nie ma śladu.

Wśród osiadłych tu gospodarzy byli Jan i Teresa Molendowie. Kupili trochę gruntu, na samej górce. Złożyli odkupioną chałupę, postawili stodołę i obórkę. Prócz paru mórg piachu mieli fach w rękach: Jan był muzykantem, Teresa wiejską akuszerką (przyuczyła się przy dworskiej medyczce). Było to odludzie.

Tuż przed wojną Molendom spaliła się chałupa. Postawili nową. Nawet wedle ówczesnej miary byli ludźmi biednymi. Byli rodziną zgodną i religijną. Mieli czworo dzieci, z których troje osiągnęło wiek dorosły i (jak się tu mówiło) wyszło na ludzi.

W historii lokalnej Molendowie pojawiają się w lutym 1943 r., dzięki relacji Samuela Chanesmana. Zawarł ją w listach napisanych w 1948 r. w obozie dla dipisów w Niemczech.

W listopadzie 1942 r. Samuel i jego syn Josef uciekli z Kurowa i – w wyjątkowo srogą zimę – ukrywali się w zbiorowej ziemiance, zorganizowanej jako biznes przez grupę chłopów. Po ucieczce z ziemianki, tuż przed najściem żandarmów, za radą swego kurowskiego opiekuna Antoniego Kordowskiego (w 2016 r. Kordowski otrzyma tytuł Sprawiedliwego; pośmiertnie) poszli nocą do chaty Molendów, bo mówiło się, że przechowują oni Żydów.

Po dłuższym dobijaniu się gospodarz otworzył im drzwi. Gdy usłyszał, o co przybyszom chodzi, kazał iść precz. Chanesmanowie poszli. Ale wkrótce dogonił ich z krzykiem mężczyzna. Powiedział, że jest Żydem, ukrywa się u Molendów, że słyszał ich rozmowę z gospodarzem, i że wyjaśni Janowi, iż nie powinien się ich obawiać.

Znajomi z Kurowa

Był to Chaim Pejsak Garberman, krawiec i znajomy z Kurowa. Przechowywał się u Molendów wraz z żoną Hendl, synami Szmulem i Michałem oraz starszym od nich Szmulem Rachelsonem. Chaim przekonał Jana, że skoro ukrywa pięciu ludzi, to może ukrywać i siedmiu.

Chanesmanowie zostali u Molendów do połowy kwietnia 1943 r., gdy do Kurowa przybyło komando, by szukać po wsiach ukrywających się Żydów. Obawiając się ich najścia, Molenda kazał im poszukać sobie innej kryjówki.

Pejsak zaprowadził ich do pobliskiej wsi Krupa, do Władka Wójcika, u którego sam szył po nocach za jedzenie dla rodziny (w 2017 r. Wójcikowie otrzymali medal Sprawiedliwych; pośmiertnie). Także Pejsakowie musieli opuścić zagrodę Molendów i wykopali (można sobie wyobrazić, że nie mogli tego zrobić bez czyjejś pomocy) ziemiankę. Na polu, paręset metrów od Molendów.

Tyle o Molendach zapisał w swych listach Chanesman. W 2017 r. Yad Vashem przyznał Janowi Molendzie medal Sprawiedliwego. Zapytałem Instytut, dlaczego tylko Janowi, a nie całej rodzinie. Odpowiedzieli, że to dlatego, iż w świadectwie Chanesmana występuje tylko Jan.

Odszukałem w Polsce dwie wnuczki Molendów, w tym najstarszą (nie jest łatwo odnaleźć wnuki mieszkańców wsi nieistniejącej od pół wieku – na jej miejscu powstała bowiem kopalnia piasku). Były radośnie zaskoczone, bo w ogóle nie wiedziały o ukrywaniu Żydów przez ich dziadków. Taka sytuacja jest raczej typowa niż wyjątkowa: o wojennych sprawach dzieciom, zwłaszcza na wsi, się nie opowiadało.

Starsza z wnuczek Molendów urodziła się przed wojną. Pamiętała okupację. Dziecko jest delikatnym i czułym instrumentem: wyczuwa klimat otoczenia, zwłaszcza zagrożenia. Wnuczka od dziadków nigdy nie usłyszała słowa „Żyd" – mówili tylko o „znajomych z Kurowa". Gdy dowiedziała się ode mnie przez telefon, że dziadkowie zostali Sprawiedliwymi, to – jak powiedziała potem – „nie mogła usnąć prawie całą noc". A wracające fale wspomnień przynosiły jej coraz to nowe obrazy z odległego dzieciństwa. Wydarzenia wtedy bezsensowne, teraz nagle nabierały sensu.

I tak, babcia często kazała jej siedzieć przy oknie i patrzeć, czy kto nie przechodzi przez kładkę na rzece, którą szło się z Kurowa. Drabina na strych chałupy nie stała przy facjacie cały czas, dziadek przystawiał ją i odstawiał. Drzwiczki na strych miały skobelek od środka. Raz dziewczynka widziała mężczyznę, gdy schodził po drabinie (wiatr rozsypał mu papiery). Babcia nosiła do stodoły garnek z jedzeniem i nie pozwalała jej iść ze sobą. Zamęczana pytaniami, dla kogo to, mruknęła w końcu, że dla dziadka. Ale bystra dziewczynka spostrzegła, że na podwórzu nie ma wozu dziadka, po czym zajrzała do stajni i zobaczyła, że nie ma też konia...

Wszystkie te zdarzenia musiały być odebrane jako dziwne, dlatego je zapamiętała. Wydobyła je z zakamarków pamięci i połączyła w zrozumiałą całość dopiero, gdy usłyszała ode mnie o przechowywanych Żydach; sama ich nigdy nie widziała.

Tak działa pamięć: nowe „schematy poznawcze" (tu: ukrywanie Żydów) otwierają furtki do starej pamięci i ludzie odczytują na nowo zalegające tam i nieużywane informacje.

Jak Lejbuś stał się Julkiem

Mężczyzna ze strychu mógł być jakimś konspiratorem. Ale noszenie jedzenia do stodoły wskazywało wyraźnie na ukrywanie Żydów. Molendowie w swej skromnej chacie mieli tylko podłogę z ubitej gliny, nie mogli więc mieć – jak napisał tłumacz listu Chanesmana (sporządzonego w jidysz) – „schronu w drugiej izbie pod podłogą". Natomiast w stodole schły deski na podłogę. Zapewne pod tymi deskami Żydzi mieli kryjówkę.

Ktoś, kto wtedy gospodarzył w sąsiedztwie, pamiętał ich kryjówkę na polu: dół przykryty deskami, zasłoniętymi zeschłym badylem. Znał też ukrywających się Żydów osobiście, rozmawiał z nimi. Jeden „Żydziaczek, niedorosły chłopaczek" pasł krowę u Molendów, nazywali go Wojtkiem.

Także inne ukrywane w okolicy dzieci żydowskie pasały bydło i miały nowe imiona – Lejbuś Goldberg stał się Julkiem, a Goldele Kotlarz – Tereską.

W 1943 r., w wigilię, Molendowie zostali obrabowani przez jakąś bandę. Grabieżcy zabrali na dwie fury cały ich dobytek: odzież, pościel, mąkę, jedzenie na święta, nawet beczułkę z ogórkami i zerżniętą ↦

ARCHIWUM AUTORA

KSIĘGA PAMIĘCI KUROWSKICH ŻYDÓW

U góry: rodzina Pejsaków, zamordowana przez miejscowych Polaków (zdjęcie przedwojenne). Z prawej: trzy pokolenia Molendów: Jan oraz Teresa z dziećmi – Janiną, Janem (w mundurze wojskowym) i Marianną oraz z wnukami. Zdjęcie wykonano w roku 1946 lub 1947.

↦ przed świętami sieczkę dla konia. Zostały im tylko sienniki i para lepszych butów, które matka i córka wkładały na zmianę (buty ukrywano w drewutni, podobnie jak upieczony chleb).

Po wojnie Molendowie rzucili tę biedę i wyjechali z dwójką młodszych dzieci „na Zachód", objęli tam gospodarstwo niemieckie. Ich wnuczka zapamiętała, że dziadkowie o poprzedniej gospodyni nigdy nie mówili „Niemka", ale „pani Kucmanowa". I że nie mieli nic przeciw temu, aby mieszkała z dziećmi w swym domu dalej, jak długo będzie chciała.

Jan mówił na starość, że nie chce tam umrzeć. W 1965 r. wrócił z żoną w swoje strony, zmarł w 1967 r. Teresa Molendowa pojechała znów na Pomorze, tam zmarła w 1973 r. Ich wnuki rozproszyły się po Polsce.

Poza wspólnotą sumienia

Tyle o bohaterach – teraz o draniach, o żydobójcach.

Rodzina Chaima Pejsaka nie doczekała końca wojny. Którejś nocy w grudniu 1943 r. do domu na Krupie, w którym Chaim zarabiał szyciem, przybiegł Szmul Rachelson, który ukrywał się na polu razem z jego rodziną.

Z relacji Chanesmana: „Pięciu młodych nie-Żydów podeszło do schronu i wczołgało się do środka. Nie zobaczyli Chaima Pejsaka, więc spytali, gdzie on jest. Jego żona powiedziała, że szyje dla Władka Wójcika na Krupie. Kazali go prędko zawołać, mieli mu coś do powiedzenia. Chaim Pejsak rzucił pracę i pobiegł do schronu ze Szmulem. Gdy przybiegł, wszyscy Żydzi zostali zabrani z kryjówki i wszyscy zastrzeleni na polu".

Na pośrednie relacje z egzekucji, które by pochodziły od samych zabójców, nie natrafiłem. Słyszałem natomiast, że jeden z żydowskich chłopców uciekał w nadrzeczne olszyny, i że napastnicy go dopadli i „zatłukli kijami", a chłopi znaleźli go dopiero po jakimś czasie i pogrzebali. Naturalistyczne szczegóły uwiarygodniają tę relację.

Ta zbrodnia została dokonana – jak opowiadali mi miejscowi – przez „niedalekich ludzi". W relacjach pojawia się nawet, z której wsi. Ale to rzecz niepotwierdzona, nie mogę jej podać. Ludzie uważali też, że zabójcom chodziło o „złoto", mityczne „żydowskie złoto". „Żyd mógł mieć chałupę krzywą, jakby kopnął, toby się przewróciła, ale każdy miał złoto" – tak jeszcze teraz ktoś starszy mi tu z całą powagą wykładał.

Na tych terenach zdarzały się zabójstwa na tle rabunkowym. Bandyctwo – choć zwalczane zarówno przez polską granatową policję, jak też przez podziemie – było za okupacji plagą, ale nigdy podczas napadu nie zamordowano całej polskiej rodziny. Rozbój na wsi wyglądał np. tak: na początku okupacji bandyci „zza lasu" napadli nocą na gospodarza. Spodziewali się dużych pieniędzy, znaleźli tylko kilkanaście złotych, więc jeden bandyta ze złości chciał uderzyć gospodarza, a gdy syn gospodarza rzucił się na bandytę, jego wspólnik go zastrzelił. Gospodarz wkrótce umarł ze zgryzoty, a bandytów zabiła granatowa policja. Napady bandytów, jak wiele innych działań zbiorowych, też miały swoją dynamikę.

Napastnicy zabili Pejsaków może ze złości, że nie znaleźli złota u biednej rodziny. Może nie chcieli mieć świadków napadu. A może Żydzi „przeszkadzali im na tym świecie". Tak czy inaczej, Pejsakowie zginęli dlatego, że byli Żydami – że nie byli włączeni do wspólnoty sumienia, że zabójstwo Żyda nie przejmowało tak wielką grozą jak zabójstwo Polaka, że Żydzi byli bezbronni. Zabójców Pejsaków nikt nie szukał, nikt nie ukarał – ani polskie podziemie (tu silne były głównie Bataliony Chłopskie), ani sądy konspiracyjne, ani powojenne.

Wieczne odpoczywanie

Sołtys miał obowiązek pogrzebania zabitych. Wezwał Jana Molendę i dwóch mężczyzn z sąsiedztwa, jednego z koniem i wozem. Rozebrali i wrzucili na furę skromne wyposażenie ziemianki: parę desek i rurę (pewnie od piecyka). Wykopali w piasku grób dla rodziny Chaima Pejsaka. „No, Wojtek!" – powiedział Molenda, zsuwając do dołu ciało żydowskiego chłopca.

Sąsiedzi Jana byli wtedy młodymi ludźmi. To, czego tego dnia doświadczyli na miejscu zbrodni (pominę szczegóły), męczyło ich przez długie lata. Jeden – pamięta jego rodzina – „rzucał się w nocy". „[On] nie mógł sobie z tym poradzić" – powiedział mi o drugim jego krewny. Także dla niego samego umówiona rozmowa była trudna, „cały czas myślałem o tym, byłem roztargniony, roztrzęsiony, śniło mi się to wszystko" – powiedział na początku. Takie przeżycia są gwarancjami szczerości.

Wnuczka Molendów zapamiętała, że na Pomorzu, tak jak wcześniej, rodzina dziadka odmawiała wspólnie wieczorną modlitwę. Na koniec modlili się za zmarłych członków rodziny, a dziadek dodawał: „Tym z Kurowa daj wieczne odpoczywanie". Tym, czyli Żydom, których chował. To jeden z piękniejszych obrazów, jakie występują w świadectwach, które zebrałem.

Po wojnie mogiły Pejsaków nie szukano. Potem powstała tu kopalnia piachu, zamieniona z czasem w wysypisko śmieci. Choć w tej okolicy przy wydobywaniu piachu, budowie autostrady i innych okazjach co jakiś czas wykopuje się ludzkie kości (żołnierzy i Żydów), nie spotkałem nikogo, kto by słyszał o wykopaniu szczątków na miejscu zbrodni na Pejsakach.

Mord na rodzinie Pejsaków nie był jedyną ani największą pod względem skali zbrodnią na Żydach popełnioną przez ludzi stąd. Większą był mord w „dworskim" lesie pod Barłogami.

Ukrywała się tam dłuższy czas dziesięcioosobowa grupa przetrwania Żydów z Kurowa i Warszawy, przewodził jej Abraham Oberklajd. Ukrywali się w ziemiance, za zgodą gajowego Aleksandra Kozaka, na wsi zaopatrywali się w żywność.

Zimą 1942/43 wszyscy zostali wymordowani nocą przez znaną w okolicy bandę. „Jedni byli w partyzantce, drudzy w bandach" – powiedział mi stary gospodarz. Nie dodał, że niektórzy byli i tu, i tu. Wiadomość o tej zbrodni Jan Molenda przyniósł Żydom, których ukrywał. Wiedzieli, że taki los może spotkać również ich.

Desenie

Las „dworski" to miejsce szczególne.

Obok wsi dwukrotnie spalonej przez Niemców „za partyzantkę" (Niemcy spalili wtedy żywcem rodzinę w jej domu), w odstępie kilometra stoi pomnik na miejscu, gdzie była mogiła 50 Polaków, patriotów i zakładników, powieszonych w Kurowie (potem ekshumowanych). A także – dotąd nieodkryty – grób żydowskiej grupy przetrwania, wymordowanej przez tutejszą bandę, oraz polana po gajówce, w której przyszli Sprawiedliwi, rodzina Aleksandra Kozaka, przechowali rodzinę Kotlarzy, Żydów z Kurowa.

Historia – ta mała, miejscowa, i ta wielka, narodowa – układa się w takie desenie. ©

ANTONI SUŁEK

Autor (ur. 1945) jest profesorem w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego; był głównym doradcą premiera Jerzego Buzka ds. społecznych (1999–2001). Ostatnio napisał „Historię socjologii na UW od Szkoły Głównej do naszych dni" i esej „Badacz i świadek drugiej generacji" („Więź" 4/2017).

Wołyńska Atlantyda

WOJCIECH PIĘCIAK

Była to instytucja osobliwa, wręcz eksperyment edukacyjny i społeczny: zespół szkół w Krzemieńcu na Wołyniu, funkcjonujący w Polsce międzywojennej.

Dziś można już tylko sobie wyobrażać, czym stałoby się to miejsce – uczelnią z pozycją międzynarodową, środkowoeuropejską Doliną Krzemową? – gdyby nie II wojna światowa, która zatopiła ten świat. Także w wymiarze personalnym: wielu spośród pasjonatów, pedagogów i społeczników, którzy w latach 1922-39 kształtowali ten mikroświat, promieniujący na otoczenie – Wołyń i sąsiednie Podole – miało w latach 1939-45 cierpieć albo/oraz zginąć z rąk Niemców, Sowietów, a także, bywało, ukraińskich sąsiadów.

Osobliwy był też sposób, w jaki powołano to miejsce do życia: uczynił to Józef Piłsudski. Jego rozkaz nr 162 „o otwarciu Liceum w Krzemieńcu" datowany jest na 27 maja 1920 r. Moment, gdy przetrwanie państwa jest niepewne: żołnierze polscy i sojusznicy ukraińscy Petlury jeszcze przez kilkanaście dni utrzymają się w Kijowie, potem bolszewicy ruszą i dojdą pod Warszawę. A więc – czas, gdy Piłsudski jest pod presją, i gdy priorytetem nie powinno być raczej zakładanie szkoły w prowincjonalnym wołyńskim miasteczku, liczącym 25 tys. dusz, z których większość to Ukraińcy (rzecz nietypowa w regionie, gdzie większość populacji miejskiej tworzyli Żydzi i Polacy).

Ściśle rzecz biorąc, Piłsudski nie założył szkoły, lecz ją odtworzył. I to jest wyjaśnienie, czemu Krzemieniec: było to nawiązanie do Gimnazjum Wołyńskiego, które w 1805 r. powołał tu Tadeusz Czacki. Ten prekursor polskiego muzealnictwa (sposób, w jaki kompletował swe kolekcje, bywał mało etyczny), a wtedy wizytator oświatowy na gubernię wołyńską, założył Gimnazjum nie na surowym korzeniu, ponieważ infrastruktura była: kompleks dawnego Kolegium Jezuickiego. „Ateny Wołyńskie", jak wkrótce nazwano to miejsce, istniały do 1831 r. Car zlikwidował je w ramach represji za powstanie, a zrabowana stąd biblioteka (jedna z większych na ziemiach polskich) w trafiła do Kijowa, gdzie z carskiej łaski stała się podwaliną księgozbiorów powstającego uniwersytetu.

Ale w 1920 r. *genius loci* to byłoby za mało. Potrzebni byli pasjonaci, z nieschematycznym podejściem do edukacji. Tym bardziej, że gdy w 1922 r. liceum znów ruszało (nie tylko jako liceum, lecz zespół placówek, obejmujący też różne szkoły zawodowe: rolną, leśną, rzemiosła itd.), samo miejsce nie zachęcało. Położone na styku dawnych zaborów, miasto było dziurą, do której dotarcie wymagało samozaparcia. Ale zapaleńcy się znaleźli. Choć na początku nie zachęcało też otoczenie: województwo wołyńskie było – obok sąsiedniego poleskiego – najbardziej zapóźnionym cywilizacyjnie w kraju. Scheda po carskim zaborze była tu dramatyczna. O ile u początków II RP w Poznańskiem analfabeci stanowili kilka procent, to na Wołyniu niemal 70 proc. Taka skala zacofania cechowała region na początku lat 20. w każdej sferze: od gospodarki przez komunikację (koleje i drogi) aż po nasycenie lekarzami i nauczycielami.

Do końca lat 30. sporo się tu zmieniło. Było to zasługą nie tylko wojewody Henryka Józefskiego – póki urzędował, realizował swą wizję, że państwo powinno pozyskiwać Ukraińców, stanowiących na Wołyniu ponad 70 proc. ludności, uznając ich podmiotowość – ale też wielu absolwentów Liceum, którzy „szli w lud". A struktura szkoły obejmowała również tzw. uniwersytety ludowe dla ludności ukraińskiej. I choć była to szkoła polska, nie była narzędziem polskiej kolonizacji. A wśród jej uczniów byli też Żydzi i Ukraińcy.

Wydana przez krakowski Wysoki Zamek (oficynę mającą w ofercie wiele dobrych książek o tym kawałku Europy Wschodniej) opowieść o Liceum, autorstwa Bożeny Gorskiej, to nie monografia. To literacki fotoplastykon: kilkadziesiąt rozdziałów-obrazów, portretujących różne sfery życia Liceum i otoczenia. Jest więc opowieść o uczniach-poetach, tutejszym sztetlu, stacjonującym po sąsiedzku 12. Pułku Ułanów Podolskich, pedagogach-eksperymentatorach, Wielkim Kryzysie, wreszcie o kanalizacji czy mitycznej rasie koników wołyńskich... Świat uchwycony, Atlantyda na moment przed zatopieniem. ©℗

Bożena Gorska, **RZECZPOSPOLITA KRZEMIENIECKA ALBO NOWE ATENY WOŁYŃSKIE**, *Wysoki Zamek, Kraków 2017*

Zespół archeologów z UJ na stanowisku Faysaliyyah w południowej Jordanii

PIERWSI ROLNICY

Rewolucja agrarna nie przypominała rewolucji. A wiele miejsc, w których się rozpoczęła, dzisiaj wygląda jak krajobraz Marsa.

JAKUB MEJER Z JORDANII

Współczesny południowy Lewant nie sprzyja rolnikom. Powszechnym problemem jest brak wody. Mokradła oazy Azraq, które miały rozmiar województwa śląskiego i przyciągały tysiące ptaków wędrujących do ciepłych krajów oraz wędrowców i osadników przez tysiąclecia, w 1992 r. zupełnie wyschły. Morze Martwe, wskutek nadmiernego wykorzystania rzeki Jordan, kurczy się w zastraszającym tempie jednego metra rocznie. Do tego dochodzą problemy polityczne – na Zachodnim Brzegu kilkusetletnie palestyńskie drzewa oliwne są niszczone przez izraelskich osadników, kraje arabskie apelują o bojkot izraelskich warzyw i owoców, a te eksportowane z Jordanii są sprzedawane Żydom jako lokalne produkty z obawy przed bojkotem. W Syrii czy Iraku, od lat niszczonych wojną, sytuacja jest jeszcze gorsza.

To właśnie jednak na tych terenach, które obecnie często grają w hollywoodzkich filmach Marsa lub pustynne plane-

ty uniwersum „Gwiezdnych wojen", rozwinęło się pierwsze rolnictwo. Jak piszą Joy McCorriston i Frank Hole, archeolodzy z Uniwersytetu Yale, „Sercem [rewolucji agrarnej – JM] był południowy Lewant. Około 10 tys. lat temu ludzie zaczęli sadzić zboża, których dzicy poprzednicy rośli na tych terenach przez dwa tysiąclecia". Zdaniem Briana F. Byrda, archeologa z Far Western Anthropoligical Research Group, „rozpoczęcie produkcji pożywienia było punktem zwrotnym rozwoju ludzkości", a Bliski Wschód „jest najlepiej udokumentowanym i najwcześniejszym przykładem" upraw (niezależnie od tego rolnicy pojawili się też w Ameryce Środkowej, Andach, Afryce Subsaharyjskiej, Południowo-Wschodniej Azji i Dalekim Wschodzie – ale przynajmniej tysiąc lat później).

Dwa najpopularniejsze wyjaśnienia rewolucji agrarnej dotyczą zmian populacyjnych i klimatycznych, jakie zaszły u schyłku epoki lodowcowej. Arlene Rosen, geoarcheolog z Uniwersytetu Chicago, zauważa, że zmiany te „czasami przedstawiane są jako nakładające się na siebie, często jednak nacisk stawiany jest na klimat". Jak wyjaśniają McCorriston i Hole: „Po długim okresie niestabilności klimat śródziemnomorski, z dużo większą sezonowością niż dzisiaj, wykształcił suche lata dobre dla jednorocznych zbóż i roślin motylkowych. Nastąpiło to długo po tym, jak ludzkość odkryła narzędzia do mielenia twardych nasion, ale nowy, długi okres suchy, który wymusił przechowywanie żywności, zachęcił grupy ludzi do osiadłego trybu życia, który szybko ogołocił pobliskie środowisko z dzikiego pożywienia".

Region, podobnie jak obecnie, dzielił się na śródziemnomorskie tereny zielone, irańsko-turańskie stepy oraz arabsko-saharyjskie pustynie. Współczesna Syria, Izrael czy Jordania wyglądały wtedy jednak inaczej.

– Na pewno było więcej wody, a klimat był w neolicie łagodniejszy. W przypadku Jordanii mówiłbym raczej o sawannowym wyglądzie tego terenu – tłumaczy Piotr Kołodziejczyk, archeolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który od kilku lat bada wczesne rolnictwo w regionie. Na stepach rósł piołun i trawy, które nie potrzebują wiele wody. Powszechniejsze były lasy dębowo-pistacjowe z domieszką sosny alepskiej i chleba świętojańskiego. Na pustyniach wegetacja pojawiała się tylko w dolinach – głównie w postaci parolistu krzaczastego i żarnowca. Wśród zwierząt najczęściej spotykane były różne gatunki gazel, rzadsze były jelenie, dziki, kozice, bydło, kozy (oczywiście jeszcze nieudomowione).

BILL FINLAYSON

Rekonstrukcja ziemianki z kultury PPNA (ok. 11 tys. lat temu)

PIOTR KOŁODZIEJCZYK

Wkładka sierpowa – krzemienne ostrze oprawiane w drewnianą rękojeść (ok. 9 tys. lat temu)

JACEK KARMOWSKI

Kamienne żarno do ścierania zbóż z kultury PPNB (ok. 9 tys. lat temu)

PIOTR KOŁODZIEJCZYK

Doglądanie dzikich zbóż

Kultury, które wcześniej zamieszkiwały te tereny, takie jak np. geometryczna kebaryjska (18 000 – 16 250 lat temu; nazwa pochodzi od jaskini Kebara w Izraelu i geometrycznych narzędzi kamiennych – tzw. zbrojników, którymi się posługiwali), ograniczały się do wybrzeża Morza Śródziemnego i oaz. Pozostałe tereny były dla nich za zimne i zbyt suche – podczas maksimum glacjalnego ostatniego zlodowacenia region był o ok. 5-7 stopni zimniejszy niż obecnie. To właśnie wśród tych kultur możemy odnaleźć pierwsze ślady obróbki dzikich zbóż – takie jak moździerze czy miski. W dalszym ciągu były to jednak społeczności wysoce mobilnych myśliwych-zbieraczy, posługujących się prostymi narzędziami.

Palestyna na początku XX w. przyciągała tłumy archeologów, ale skupiali się oni głównie na szukaniu Świątyni Jerozolimskiej i śladów Jezusa. W 1924 r. o. Alexis Mallon odkrył jednak jaskinię Shuqba, niecałe 30 km na północ od Jerozolimy, w której znajdowały się ślady kultury poprzedzającej większość wydarzeń opisanych w Starym Testamencie. Cztery lata później zbadała ją brytyjska archeolog Dorothy Garrod, znajdując pozostałości z okresu środkowej epoki kamienia. Zaproponowała, aby tę kulturę (14 900 – 11 750 lat temu) nazwać natufijską – od pobliskiej doliny Al-Natuf. W 1931 r., wraz z innym badającym te tereny archeologiem, Pierre'em Neville'em zaczęli zwracać uwagę na kamienne sierpy, które ich zdaniem sugerowały początki rolnictwa.

Ofer Bar-Yosef z Uniwersytetu Harvarda nazywa Natufijczyków „progiem rozwoju rolnictwa". Poziom strontu w ich kościach sugeruje, że jedli więcej roślin niż Kebarańczycy.

– Byli raczej wyspecjalizowanymi zbieraczami niż rolnikami pełną gębą, ale to ich doświadczenia i wiedza zaowocowały rozwojem świadomego rolnictwa – mówi Kołodziejczyk. Ich obozy powstawały w lasach pistacjowo-dębowych (obecnie można takie spotkać m.in. w rezerwatach Dana i Adżlun w Jordanii) z dużą ilością dzikich zbóż. Mieszkało w nich z reguły kilkanaście osób, składały się z prostych ziemianek, najczęściej o średnicy 3-6 metrów, z kamiennymi fundamentami i zadaszeniem z gałęzi. – W nich i wokół nich pozostawiano zakopane najcięższe rzeczy, jak żarna czy naczynia kamienne, gdy przenoszono się nieco dalej – mówi Kołodziejczyk. Jak szacuje Brian F. Byrd, w takich obozach Natufijczycy spędzali przynajmniej 9 miesięcy w roku, przez pozostały czas prowadząc życie zbieracko-myśliwskie. To oni jako pierwsi zaludnili Jerycho.

Początkowo ograniczali się do doglądania pól dzikich zbóż. Według badań Instytutu Rozrodu Roślin Maxa Plancka w Kolonii wspólnym genetycznym przodkiem współczesnych zbóż jest odmiana dzikiej pszenicy rosnącej do dziś na zboczach góry Karaca Dağ w południowej Turcji. Natufijczycy zebrane zboża przechowywali najprawdopodobniej w koszach (praktycznie nie zachowały się dowody na spichlerze lub inne stałe miejsca do ich przechowywania), co przyciągnęło szczury, myszy i gołębie. W odganianiu ich pomocne było pierwsze udomowione zwierzę: pies. ↦

↦ – Pies, czy raczej wilk, najpierw był towarzyszem człowieka, kręcił się wokół ludzkich grup ludzi, zjadał resztki. Udomowiono go raczej na terenie Chin ok. 14-17 tys. lat temu, a na terenie Bliskiego Wschodu są znaleziska sprzed ok. 12 tys. lat. Z czasem zaczął być wykorzystywany do pilnowania. Na Bliskim Wschodzie, w przeciwieństwie do Chin, nie mamy wyraźnych śladów spożywania psa – mówi Michał Wasilewski, geoarcheolog z UJ. Pies towarzyszył już ludziom żyjącym w czasach wczesnej kultury natufijskiej, ale uprawa roślin zaczęła się najprawdopodobniej w jej fazie schyłkowej, która pokrywała się z ostatnim zimnym okresem zlodowacenia (młodszy dryas, ok. 12 900 – 11 500 lat temu). Oziębienie klimatu spowodowało mniejszą dostępność dzikich zbóż, co według jednej z teorii skłoniło Natufijczyków do siania na własną rękę pszenicy i żyta.

Rozkwit osadnictwa

Ok. 11,5 tys. lat temu na Bliskim Wschodzie doszło do kolejnego ocieplenia klimatu połączonego ze wzrostem ilości opadów. Wtedy wykształciła się na terenie Lewantu kultura nazywana neolitem preceramicznym A (PPNA, 12 175 – 11 000 lat temu). Ich osady nie powstawały już w lasach sprzyjających społecznościom zbieracko-łowieckim, a częściej na obrzeżach stepów, w okolicach mokradeł, rzek i jezior, gdzie można było łatwo przystosować ziemię pod uprawy. Były znacznie większe niż obozy natufijskie, ale też nie miały więcej niż kilkudziesięciu mieszkańców. Budynki zaczęto stawiać z gliny (ale jeszcze nie z cegieł – to późniejszy wynalazek), pojawiły się pierwsze budynki użyteczności publicznej i zagłębione w ziemi magazyny. Na południu dominowały uprawy jęczmienia, w pozostałych miejscach pszenicy (samopszy i płaskurki), uprawiano też żyto.

– Wyrabiano z nich zapewne placki lub papkę, podobnie jak czynią to niektóre ludy zamieszkujące ten teren do dzisiaj. Część ziaren gromadzono do wysiewu, selekcjonując te najlepsze. Tak udomowiono zboże i doprowadzono do jego najbardziej pożądanych cech niewystępujących w trawach, czyli przede wszystkim do tego, że z dojrzałego kłosa ziarno samo nie wypada – mówi Kołodziejczyk.

W neolicie preceramicznym B (PPNB, 10 950 – 8 450 lat temu) obozy wyewoluowały w większe wioski, z dużymi budynkami użyteczności publicznej. Budowle z okrągłych stały się prostokątne. Niektóre z nich były już pokazem protoinżynierii.

– W ubiegłym roku na stanowisku Faysaliyyah odnaleźliśmy fragment ciekawej konstrukcji osadniczej, zabezpieczającej prawdopodobnie przed wodą. To rodzaj muru z wyselekcjonowanych kamieni, dopasowanych tak, żeby ściśle przylegały. Mur jest ustawiony tak, by chronić inne budowle i kierować wodę na obszar bezpieczny, być może przeznaczony pod uprawy – podaje przykład Kołodziejczyk. Do zbóż uprawianych w PPNA dołączyły rośliny motylkowe (wyka soczewicowata, bób, ciecierzyca, groch) oraz len (uprawiany dla oleju i włókien). Zaczęła się hodowla owiec, kóz, świń i bydła. Na znaczeniu straciło łowiectwo – w stanowiskach z okresu PPNB archeolodzy odnajdują dużo mniej szkieletów gazel niż w tych z PPNA lub kultury natufijskiej. Jak pisze Simon J.M. Davis z Portugalskiego Instytutu Archeologii, „wzrastająca ilość gęb do wyżywienia przewyższała możliwości środowiska. Gazele i inne większe zwierzęta były rzadkie [z powodu nadmiernych polowań – przyp. JM], a ptactwo i ryby nie wystarczały".

– Zwierzęta dostarczały nie tylko mięsa, ale także skór, kości i rogów, z których wyrabiano różne przedmioty użytkowe i ozdoby. Zapewne mleko było jednym z ważniejszych produktów, ale takich śladów raczej nie znajdujemy, podobnie jak wielu elementów organicznych. Możemy jedynie przypuszczać, że rośliny te były rozdrabniane i przerabiane na potrawy w typie papek, zup czy placków – mówi Kołodziejczyk.

Praca zorganizowana była cyklicznie, powtarzając się co roku (początkowo uprawiano jedynie rośliny jednoroczne). Większe znaczenie zyskiwała rodzina, w obrębie której wyznaczano konkretne obowiązki. Obrządki funeralne sugerują, że coraz ważniejszy był kult przodków – na czaszkach z okresu PPNB znajdują się glina i muszle, które miały odtwarzać wygląd zmarłego. Zaczęły się też wyodrębniać elity i liderzy społeczności. Jak szacuje Ian Kuijt z Uniwersytetu Notre Dame, największe z osad z okresu PPNB mogły mieć do 500 mieszkańców. Coraz ważniejsza stawała się sztuka: proste przedstawienia fauny i flory z czasów natufijskich zastąpiły wizerunki ludzi. Najbardziej znane z nich są figurki z Ain Ghazal znalezione na terenie obecnego Ammanu, które są jedną z pierwszych reprezentacji człowieka.

Chociaż początki rolnictwa nazywa się często rewolucją agrarną, to od pierwszych poletek z pszenicą i żytem do rozwiniętych wiosek z hodowlą zwierząt oraz polami zbóż i roślin motylkowych minęło ok. 1,5 tys. lat. Cały zaś proces, od pielęgnowania dzikich zbóż w czasach Natufijczyków, zajął aż pięć tysiącleci.

Obok jaskini Shuqba, gdzie odnaleziono pierwsze ślady kultury natufijskiej, Izraelczycy wybudowali mur oddzielający izraelskie osiedla od palestyńskiej wioski i drogę, niedaleko jest wysypisko śmieci. Murajbat, jedna z najlepiej zachowanych osad z czasów PPNA, i Abu Hurejra, gdzie odnaleziono ziarna żyta z dzikich poletek Natufijczyków, w 1974 r. zostały zalane przez sztuczne jezioro Assad, koronny projekt poprzedniego dyktatora Syrii. Terytoria Iraku od lat nie były porządnie zbadane, a badania w Syrii są obecnie niemożliwe. To ogranicza pracę archeologów głównie do Jordanii i Izraela. Prehistorycy spierają się w dalszym ciągu w wielu sprawach, a sytuacja geopolityczna regionu powoduje, że uzyskanie odpowiedzi nie będzie łatwe. Bo nie tylko być rolnikiem jest obecnie trudno na Bliskim Wschodzie. ©

JAKUB MEJER

Autor jest wolontariuszem w organizacji pozarządowej w Jordanii, zajmującej się prewencją radykalizacji młodzieży. Były dziennikarz magazynu „Press". W „TP" pisał także o ciemnych stronach safari.

Największa pomyłka ludzkości?

Biolog ewolucyjny i antropolog Jared Diamond porzucenie tradycyjnego łowiecko-zbierackiego trybu życia, dominującego przez większą część ewolucyjnej historii naszego gatunku, określa jako „katastrofę pod wieloma względami, po której nigdy nie doszliśmy do siebie". Przyniosła ona despotyzm, nierówności społeczne i płciowe oraz wiele chorób. Wielu innych badaczy wskazuje, że pierwsi mieszkańcy miast mieli niższy wzrost, żyli w gorszych warunkach sanitarnych, w których rozwijały się choroby zakaźne, a bogata w węglowodany dieta zaczęła psuć ich zęby.
Niektórzy autorzy, jak John Durant, nawołują wręcz do powrotu do prehistorycznego trybu życia – jako najlepszej recepty na poprawę zdrowia i osiągnięcie szczęścia. Rozwija się ruch zwolenników paleodiety, pojawiają się nawet porady nawiązujące do paleorodzicielstwa. Propozycje te opierają się na wielu rzetelnych danych naukowych, choć zdaniem wielu osób powielają one mit „szlachetnego dzikusa", pomijając wiele problemów, z jakimi wiązało się życie łowców-zbieraczy. ©

KASPER KALINOWSKI

REKLAMA

JAMES BLUNT

THE AFTERLOVE TOUR

KONCERT

12 MAJA 2018
TORWAR WARSZAWA

BILETY: PRESTIGEMJM.COM | EBILET.PL | EMPIK

ALBUM W SPRZEDAŻY

/JAMES-BLUNT

JAMESBLUNT.COM

/JAMESBLUNT

Prestige MJM 10 lat

REGENT WARSAW HOTEL

Radio złoteprzeboje

wprost · Do Rzeczy · VIVA! · Flesz · Party · InStyle · Gitarzysta · Gazeta Bankowa · pap · Multikino · empik · Gold · Press Service · Vixon · STRÖER · cgm.pl · onet

REKLAMA

PZU

kursy lawinowe.pl

Z MYŚLĄ O BEZPIECZEŃSTWIE

PORADY DLA SKITUROWCÓW I TURYSTÓW PIESZYCH

YOUTUBE.COM/KURSYLAWINOWEPL

SPONSORZY

THE NORTH FACE · ARMADA · PRIMUS · uvex · odlo · GARMIN · ORTOVOX

ORGANIZATORZY

PSF · SNOW PR

PARTNER REGIONALNY

MassCorto

Królowie na scenie

14 lutego rusza w Warszawie IX interdyscyplinarny festiwal wielkopostny Nowe Epifanie organizowany przez Centrum Myśli Jana Pawła II, który potrwa do 25 marca. W tym roku spektakle teatralne i koncerty obracać się będą wokół figury Króla.

Festiwal Nowe Epifanie to poszukiwanie rozbłysków piękna w różnych, czasem nieoczywistych zakamarkach współczesnego świata. To także zaproszenie do dialogu twórców z tradycyjną sztuką religijną w duchu „Listu do artystów" Jana Pawła II. Festiwal od początku ma interdyscyplinarny charakter – prezentowane są tu spektakle teatralne, widowiska muzyczne w przestrzeniach sakralnych, wystawy, pokazy filmów poruszających w nowoczesny sposób tematykę religijną i teologiczną.

W tym roku szczególną rolę odgrywać będzie postać Króla. W Wielkim Poście najważniejszym z królów jest Jezus Chrystus, którego oparte na paradoksach panowanie wprowadza nowy ład. Kontekst ten otwiera także pole do artystycznego dialogu zarówno na temat władzy, związanych z nią przymiotów, jak też służby i ofiary, jako że główne hasło tegorocznej edycji interpretowane będzie również jako opowieść o władzy świeckiej. Niemal cała tradycja teatru, od Ajschylosa przez Szekspira aż do twórców współczesnych, nieustannie podejmuje wątek praw i obowiązków władcy. Podczas Festiwalu temat ten powróci w wielu miejscach. M.in. w sztukach nawiązujących do sceny sądu nad Jezusem, takich jak „Piłat i Król" Bartosza Żurowskiego czy „Jestem", spektaklu przygotowanym przez twórców projektu „Biblia Audio. Superprodukcja" pod kierownictwem Krzysztofa Czeczota. Podobnie w reżyserowanym przez Łukasza Kosa przedstawieniu „Król-Duch", zbudowanym na poemacie Juliusza Słowackiego, w którym Duch wciela się w kolejnych władców Polski i Rusi.

Jednak Festiwal to nie tylko teatr. Jak co roku kluczową rolę odgrywać będą również wydarzenia muzyczne, których kuratorami są Łukasz Kozak i Sonia Wronkowska. Warto zwrócić uwagę na dwa koncerty, podczas których usłyszymy słynny belgijski zespół Graindelavoix: „Ciemne Jutrznie" i „Nieszpory cypryjskie". Interesująco zapowiada się także wieczór z „Psałterzem polskim" – swoją interpretację zaproponują Adam Strug i Monodia Polska oraz Maria Erdman.

Już dziś zapraszamy wszystkich na Nowe Epifanie. ©℗ MS

Wybrane wydarzenia IX edycji Festiwalu Nowe Epifanie:

JESTEM

Premiera muzycznego widowiska opartego na Piśmie Świętym, zrealizowanego przez twórców monumentalnego dzieła „Biblia Audio. Superprodukcja". Ponad dwa lata pracy, ponad 400 aktorów i przeszło 100 godzin słuchowiska – nagranie całej „Biblii Audio" to niemalże hollywoodzka produkcja. Wersję do słuchania można znaleźć w internecie, a na Festiwalu zobaczyć spektakl „Jestem". Tym razem artyści skupią się na losach biblijnych królów, osią widowiska będzie zaś rozmowa Jezusa z Piłatem. W widowisku w Studium im. W. Lutosławskiego zabrzmi muzyka na żywo i wystąpią największe aktorskie gwiazdy, m.in. Anna Seniuk i Olgierd Łukaszewicz.

Reżyseria: Krzysztof Czeczot
Studio Koncertowe Polskiego Radia im. W. Lutosławskiego
18 lutego, godz. 19.00

KRÓL-DUCH

Niedokończona sztuka Juliusza Słowackiego pisana przez umierającego poetę zostanie wystawiona w zakamarkach Teatru Polskiego i na ulicach Warszawy. Dzieło demoniczne czy święte? Utwór wariata czy profety? A może wyzwanie rzucone czytelnikowi, najodważniejszy projekt literacki, który miał literaturę przekroczyć? Łukasz Kos uważa, że dziś, prawie 170 lat po powstaniu tekstu, warto dać widzom możliwość zanurzenia się po raz pierwszy w całości tego niezwykłego poematu. Dlatego warto poświęcić jedną nieprzespaną noc, by podjąć wyzwanie rzucone przez Słowackiego.

Reżyseria: Łukasz Kos
Teatr Polski w Warszawie
20, 22 i 23 marca, godz. 19.30

PSAŁTERZ POLSKI / CO ZA PRZYCZYNA TEGO ZAMIESZANIA?

Psalmy starotestamentowego króla Dawida przez wieki były podstawą katolickiej pobożności. Dlatego też istnieje tak wiele wersji ich wykonań. „Melodie na Psałterz Polski" Mikołaja Gomółki, jedno z najważniejszych dzieł polskiego renesansu, będą podstawą tego niezwykłego koncertu. O ile wcześniejsze psałterze były księgami związanymi z pobożnością monarszą, to Gomółka – jak wspominał w dedykacji dla Piotra Myszkowskiego – pisał je „dla naszych prostych domaków". Podczas koncertu na Zamku Królewskim śpiewakom Monodii Polskiej towarzyszyć będzie Maria Erdman przy pozytywie szkatulnym.

Kierownictwo muzyczne: Szczepan Pospieszalski, Maria Erdman
Wykonanie: Adam Strug i Monodia Polska, Maria Erdman
Zamek Królewski w Warszawie
25 lutego, godz. 18.00

RETURN TO THE VOICE

Dla wrocławskiej grupy Teatru Pieśń Kozła prowadzonej przez Grzegorza Brala przedstawienie to brama do wyobraźni widza. W spektaklu-oratorium „Return to the Voice" twórcy przeplatają kilka historii inspirowanych Szkocją – gaelickie lamentacje, psalmy i opowieści. Całość tworzy niezwykłe doświadczenie zarówno artystyczne, jak i duchowe. Wśród artystów występujących na scenie zobaczymy m.in. Monikę Dryl, Agnieszkę Przekupień, Macieja Rychłego.

Reżyseria: Grzegorz Bral
Kościół Wszystkich Świętych
3 marca, godz. 19.30

STABAT MATER

Prawykonanie napisanego na Festiwal Nowe Epifanie utworu „Stabat

MATEUSZ BRAL / TEATR PIEŚŃ KOZŁA

Spektakl „Return to the Voice" Teatru Pieśń Kozła

Mater" Ignacego Zalewskiego to refleksja nad losem i cierpieniem Maryi, zazwyczaj stojącej na drugim planie opowieści pasyjnej. Kompozytor oraz zaproszeni przez niego muzycy i realizatorzy zadbali o to, by utwór „Stabat Mater" zabrzmiał współcześnie, stąd nowe tłumaczenie autorstwa Mateusza Żaboklickiego, a także wątki pasyjne nawiązujące do słynnego eseju Giorgia Agambena „Piłat i Jezus".

Reżyseria: Jerzy Machowski
Studio Koncertowe Polskiego Radia im. W. Lutosławskiego
4 marca, godz. 19.00

NIESZPORY CYPRYJSKIE

Kilka lat temu muzykolog Karl Kügle zidentyfikował Jeana Hanelle'a jako kompozytora 334 utworów z „Codex Turin J.II.9", przez co dorobek zapomnianego twórcy stał się jednym z najważniejszych elementów muzycznej spuścizny XV w. Program „Nieszporów cypryjskich", opracowany przez kierującego zespołem Graindelavoix Björna Schmelzera, prezentuje utwory Hanelle'a nie tylko w kontekście jednogłosowych śpiewów, które stanowiły podstawę jego kompozycji, ale również muzyki bizantyjskiej i maronickiej. Wykonywane podczas koncertu utwory to późnośredniowieczna polifonia tworzona według konsekwentnego planu – antyfony precyzyjnie przekonstruowane w czterogłosowe motety o dwóch tekstach. Tradycyjne słowa antyfon zostały rozbudowane o poetycką egzegezę, a tekst śpiewany przez kolejne głosy stanowi komentarz do niej.

Graindelavoix – Björn Schmelzer (kierownictwo artystyczne)
Kościół Ewangelicko-Reformowany w Warszawie
18 marca, godz. 19.00

CIEMNE JUTRZNIE / TENEBRAE RESPONSORIA

Dzieło Carla Gesualda wydane w 1611 r. to jedno z najbardziej kontrowersyjnych opracowań responsoriów do nabożeństwa Ciemnych Jutrzni. Autor, znany dziś jako morderca, szaleniec oraz eksplorator pogranicza polifonii wokalnej, ostatnie lata życia poświęcił komponowaniu zaawansowanych chromatycznie ksiąg madrygałów oraz responsoriów. Jego manierystyczna twórczość spotkała się z niezrozumieniem ze strony następnych pokoleń muzyków i badaczy, jak również kościelnej inkwizycji. Graindelavoix próbuje usytuować responsoria Gesualda w kontekście nabożeństwa Ciemnych Jutrzni, nawiązując do kontrreformacyjnego modelu wielogodzinnych medytacji pasyjnych.

Graindelavoix – Björn Schmelzer (kierownictwo artystyczne)
Muzeum Geologiczne Państwowego Instytutu Geologicznego w Warszawie
25 marca, godz. 20.00

Szczegółowy program i festiwalowe aktualności na:
www.noweepifanie.pl
www.facebook.com/noweepifanie

Centrum Myśli Jana Pawła II to warszawska instytucja kultury – miejsce spotkań i dialogu, ośrodek, który w sposób bogaty, twórczy i różnorodny przybliża nauczanie papieża. W ramach swoich działań podejmuje aktywny dialog ze światem artystycznym w duchu „Listu do artystów" Jana Pawła II.

DZIEWCZYNA NA HUŚTAWCE

Dla Szaflarskiej zabawa zaczęła się w dziewiątej dekadzie życia. Uwielbiała spotkania towarzyskie, pierwsza wychodziła na parkiet. Miała aplauz widzów i przychylność krytyki. Wiedziała, że to, co robi, ma sens.

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Zaczarowała starość, pokazała, że nie jest ona zwierciadłem dla metryki, lecz dla stanu umysłu. Nigdy się jej nie poddała, toczyła ze starością regularną wojnę. Im bardziej jej ciało odmawiało posłuszeństwa, tym bardziej się mobilizowała.

Jako 91-latka odebrała nagrodę za główną rolę kobiecą na Festiwalu Filmowym w Gdyni. Jako 95-latka została zatrudniona na etat w warszawskim Teatrze Rozmaitości. Jako 102-latka szykowała się do kolejnej premiery. Zmarła rok temu, 19 lutego.

Ja nie płaczę

Wszystko zaczęło się od „Zakazanych piosenek". O mały włos, a by w nich nie zagrała. Andrzej Pronaszko, dyrektor artystyczny Starego Teatru w Krakowie, gdzie była zatrudniona w sezonie 1945/46, nie chciał wypuścić jej na próbne zdjęcia do Łodzi. O pomyślnym finale przesądzi gest Krystyny Severin-Zelwerowicz, reżyserki, żony dyrektora. Powie: „Biorę to na siebie, masz wolne trzy dni. Jedź".

Z Krakowa do Łodzi Szaflarska dostała się autostopem. Zdjęcia wygrała wespół z Jerzym Duszyńskim – kolegą ze studiów – w filmie będą rodzeństwem. Gdy bronili dyplomu w czerwcu 1939 r. w Państwowym Instytucie Teatralnym pod rządami Aleksandra Zelwerowicza, w najśmielszych marzeniach nie mogli przypuszczać, że za niespełna dekadę staną się w kraju nad Wisłą ulubieńcami mas. Nie śnili też w największych koszmarach, czego doświadczą przez sześć lat okupacji.

Właśnie z tego okupacyjnego doświadczenie zrodzą się „Zakazane piosenki". Najpierw Ludwik Starski, scenarzysta, zaproponuje Leonardowi Buczkowskiemu, reżyserowi, półgodzinny dokument o piosence, która podtrzymywała na duchu warszawiaków. Mieli w nim wystąpić muzycy podwórkowi i śpiewacy uliczni, zwerbowani drogą ogłoszeń prasowych. Odzew jest nadspodziewanie duży, a zebrany materiał tak obfity, że zapada decyzja, by uzupełnić narrację o wątki fabularne. W efekcie oś dramaturgiczna „Piosenek" rozwija się wokół postaci Romana Tokarskiego (Duszyński), który opowiada swoje wojenne przeżycia młodemu żołnierzowi – polskiemu repatriantowi z Anglii. Tokarski z siostrą (Szaflarska) i kolegami – członkami organizacji podziemnej – przewozili broń i nielegalne wydawnictwa, brali udział w akcjach dywersyjnych i w powstaniu warszawskim.

W „Zakazanych piosenkach" cała ekipa jest przedwojenna. „Ludzie o ogromnej kulturze" – wspominała ich po latach. Gdy w maju 1946 r. Szaflarska po raz pierwszy pojawia się na planie, wstają wszyscy z miejsc – aktor jest kimś ważnym. Słyszy: „zapal Danutę" lub „zapal Duszka". Chodzi o to, że elektrycy nazwali reflektory na cześć Szaflarskiej i Duszyńskiego. Z planu „Piosenek" Szaflarskiej zapadnie w pamięć jeszcze smak jajecznicy ze skwarkami, którą, w czasach ogromnego niedostatku, poczęstują ją producenci.

Gra we własnych ubraniach; ekipa nie ma skąd zdobyć kostiumów. Na głowę zakłada charakterystyczną czapeczkę z antenką – wkrótce młode kobiety będą się na nią stylizować. W ogóle widzowie pokochają ją za tę rolę. Szczególnie za scenę przez krytykę uznaną, nie bez powodu, za martyrologiczny wodewil. Ale jakże chwytającą ze serce: bohaterka dowiedziawszy się o śmierci narzeczonego, ze łzami w oczach zapewnia: „Ja nie płaczę, ja śpiewam". I łamiącym się głosem śpiewa: „Tę piosenkę, tę jedyną, śpiewam dla ciebie, dziewczyno".

Wie, o czym śpiewa. W kampanii wrześniowej, w krwawych walkach pod Tomaszowem Lubelskim ginie Jerzy, 20-letni brat Danuty. Zna też dławiące uczucie narastającego strachu. W trakcie powstania warszawskiego (jest gońcem) pocisków się nie boi, tylko „krów" rozrywających na strzępy. Przede wszystkim boi się o Marysię, roczną córkę, z którą – ukrytą pod ubraniem – musi poruszać się po ulicach ↦

Danuta Szaflarska, zdjęcie niedatowane

ZOFIA NASIEROWSKA / REPORTER

↦ w ten sposób, by „gołębiarz" nie zastrzelił ich obu.

I jeszcze rozumie, co to znaczy, że duch w narodzie nie ginie. Kiedy wędruje w sierpniu 1944 r. przez Wolę, wśród ulic przypominających wąwozy, chusteczką zasłaniając nos od smrodu rozkładających się ciał, spotyka kobietę, która na pustyni gruzów, bez wody, prądu i gazu, smaży placki na zaimprowizowanej kuchence. Wtedy Szaflarska powie: „Warszawa nie może zginąć".

15 milionów

Nie było pewne, czy „Zakazane piosenki" będą pierwszym polskim filmem nakręconym po wyzwoleniu. Bo na realizację jednocześnie czekają „Robinson warszawski" Andrzejewskiego i Miłosza oraz „Dwie godziny" Szelburg-Zarembiny i Szancera. Liczne uwagi do kształtu i politycznej wymowy obu tekstów powodują jednak, że prace nad nimi są permanentnie wstrzymywane. Podobnie się dzieje z „Piosenkami", lecz to one pierwsze przechodzą przez sito cenzury i otwierają nowy powojenny rozdział naszego kina.

8 stycznia 1947 r. odbywa się uroczysta premiera w odbudowanym na tę okoliczność kinie Palladium. „Express Wieczorny" jeszcze tego samego dnia napisze: „Wszystkie kina warszawskie przeżyły wczoraj nie notowaną dotąd inwazję widzów, którzy już od godz. 10 rano zaczęli napływać do kas w nieprawdopodobnej ilości. Chwilami zdawało się, że cała Warszawa chce zobaczyć »Zakazane piosenki« wyświetlane jednocześnie w 4 kinach od pierwszego dnia. Przed kinami doszło do szeregu skandalicznych awantur, przechodzących nawet w bójki. Na szczęście komenda milicji zorientowała się bardzo szybko w sytuacji i wysłała do wszystkich kin silne ekipy wzmocnione członkami ORMO".

Na premierze Szaflarska siedzi w ukwieconej loży. I wstydzi się – po raz pierwszy ogląda siebie na ekranie. Buczkowski nie pozwalał jej wcześniej oglądać nakręconych materiałów. A ona w niektórych scenach „robi miny", gra jak w teatrze. To będzie pierwsza lekcja, której udzieli jej kino: przed kamerą emocje da się wyrazić minimalnymi środkami, choćby powściągliwym spojrzeniem. O tym też samokrytycznie mówi w wywiadzie, którego udzieliła „Filmowi", w numerze z jej portretem na okładce.

Nowy dwutygodnik, gęsto ilustrowany fotosami, publikuje relacje z planu. Oficjalnie podkpiwa z kultu gwiazd na burżuazyjnym Zachodzie, ale jednocześnie go naśladuje. W 1949 r. dziennikarz pisma, by przeprowadzić kolejny wywiad z Szaflarską, odwiedza „apartamenty gwiazdy" – jeden skromnie urządzony pokój. Pyta o rozkład dnia aktorki. Szaflarska odpowiada: „Rano próba w teatrze, później praca nad dubbingiem w studiu filmowym, wieczorem przedstawienie, które kończy się zwykle po jedenastej. Rozkład zmienia się trochę, gdy nakręcam film, wtedy wstaję o szóstej i nie wychodzę z atelier przez cały dzień".

JAN EKIER / ARCHIWUM RODZINNE

Babcia Wanda z wnuczką Marysią na kolanach, a mama – Danuta – czyta wiersz Tuwima „Murzynek Bambo". 4 maja 1944 r.

Sukces wśród publiczności jednak nie wystarcza. Komunistyczna władza oczekuje klarownej wymowy ideologicznej. Adam Ważyk na łamach „Kuźnicy" wytyka filmowi naiwność, niezrozumienie praw historii, AK-owski wydźwięk, a tym samym znamienne przeoczenie, skąd i którędy przyszła „wolność". Bezpretensjonalna opowieść, która pozwalała ludziom odreagować koszmar okupacji, schodzi z ekranów i przeszło rok czeka na powtórną premierę z dokrętkami poprawiającymi kręgosłup obrazu. Jan Józef Szczepański, sam żołnierz Armii Krajowej, na łamach „Tygodnika Powszechnego" w październiku 1948 r. chwali nową wersję „Piosenek" za akcję, która zyskała na ciągłości, lecz gani za sceny leśne: „Szwankuje w nich światło, a wysadzenie w nich pociągu ma posmak tandetnej imitacji. Z wielkim też żalem przekonałem się, że realizatorzy nie wyrzekli się ckliwego efektu organkowego requiem nad mogiłą".

Ale widzowie po drugiej premierze też nie dopatrują się w filmie niczego niestosownego. „Zakazane piosenki" obejrzy ponad 15 mln widzów, co daje im dzisiaj piąte miejsce w Polsce (na pierwszym plasują się „Krzyżacy" z ponad 32-milionową widownią).

Sama Szaflarska za udział w „Piosenkach" dostanie marny grosz. Producent powie: „Jak pani chwyci, będzie pani dyktować warunki".

Kreacje i epizody

Chwyci. „Skarb" (1948), kolejny film Buczkowskiego, przynosi jej jeszcze większą popularność. Plus godziwy zarobek – milion złotych. Kupuje meble do domu, a matce i córce – ubrania.

Producenci idą za ciosem – chcą ją w obsadzie „Ostatniego etapu" Wandy Jakubowskiej. Podpisuje umowę na pierwszy scenariusz, lecz cenzura go nie puszcza. Umowa się kończy, a scenariusz przybiera nowy kształt. Szaflarska nie chce grać komunistki. Producenci kuszą: proponują 25 tys. zł dziennie (dla porównania: najwyższa pensja w Starym Teatrze wynosi wówczas miesięcznie 6 tys.). Gdy i to nie działa, próbują ją szantażować: „Czy pani już więcej nie chce grać w filmie?".

Jakubowska idzie do ministerstwa kultury, by poskarżyć, że Szaflarska to wróg komunizmu. W odpowiedzi słyszy: „Nie szkodzi".

A jednak szkodzi – wkrótce nastąpi cisza. Długa, bardzo długa, ponad półwiecz-

JAN EKIER / ARCHIWUM RODZINNE

Nad morzem, zdjęcie sprzed wojny.

na. Szaflarska wcieli się jeszcze w Weronikę w znakomitych „Dwóch godzinach", które cenzura skaże na 11 lat „więzienia". To pierwszy PRL-owski „półkownik".

Ze swoim *emploi* nie nadaje się do produkcyjniaków – za szlachetna jest na grubo ciosany socrealizm. Zagra m.in. hrabinę w „Warszawskiej premierze", muzycznym filmie o drodze do wystawienia „Halki" Moniuszki, eksponującym, ma się rozumieć, wątek klasowy. W następnych latach pojawia się u Różewicza, Kutza, Konwickiego, Wajdy, Morgensterna. Świetne kreacje, lecz epizodyczne.

Cały czas pracuje w Teatrze Współczesnym, głównie z Erwinem Axerem. Zbiera świetne recenzje. Dalej jest w zespole Teatru Narodowego. W 1971 r. gra Podstolinę w dobrze przyjętej „Zemście" Gustawa Holoubka w Teatrze Dramatycznym, gdzie jest na etacie. Ma 56 lat i przechodzi kryzys. W dzienniku zapisuje: „Trzeba czekać, jak zwykle czekać, z uporem nosić głowę do góry, uśmiech na twarzy. Nie dać się zgnębić nawet trzecim statystowaniem w tym sezonie. Nie poddać się wewnętrznie". Miewa chwile głębokiego zwątpienia: „Nie czytam, nie piszę już od dawna, nie mogę. Moją rolę widzę już niestety we właściwych rozmiarach – mała rólka pokojówki".

Na huśtawce

Tak było aż do 1991 r. Wtedy zgłosiła się do niej debiutantka – Dorota Kędzierzawska. Najpierw proponuje rolę Wiedźmy w filmie „Diabły, diabły", potem Jędzy w „Nic". Złapią kontakt, polubią się, z czasem zaprzyjaźnią. Kędzierzawska obiecuje Szaflarskiej, że napisze specjalnie dla niej scenariusz – marzenie każdego aktora. Trochę to pisanie trwało: 16 lat. Szaflarska ponagla: „Dorotko, pospiesz się, bo ci kipnę".

Czekanie opłaciło się pod każdym względem. Powstaje „Pora umierać" (2007), filmowa opowieść o 90-latce, już nie o wiedźmie i jędzy, lecz o Anieli. Pani walczącej o zachowanie domu, który za jej plecami usiłuje sprzedać syn. W świecie Anieli rzadko pije się herbatę, bo nie ma jej kto podać, więc „wystarczyć musi nalewka". Nie rozmawia się z bliskimi, tylko z psem. Krzepi wyłącznie tym, co minione – drewnianą willą, nakręcanym zegarem, zabytkowym telefonem, zawieszoną w ogrodzie huśtawką, która pamięta dzieciństwa paru pokoleń.

Huśtawka stała się zarzewiem konfliktu. Kędzierzawska w scenariuszu napisze, że Aniela huśta się na stojąco. Na planie huśtawka wisi na siedmiometrowych linach. Operatorem jest Artur Reinhart.

– Ponieważ z huśtawki spadł chłopiec grający Dostojewskiego, ogrodziliśmy ją linkami, by dzieci tam nie właziły – wspomina Kędzierzawska. – W pewnym momencie kręcimy zupełnie inne ujęcie z Dostojewskim i słyszę Artura: „Stop, popatrz!". Odwracam głowę i widzę 91-letnią Danutkę huśtającą się na stojąco. Zamarłam, mam świadomość, że Danutka jest jak gołąbek, kości ma kruchuteńkie... Gdyby stamtąd spadła, to miazga. Natychmiast pobiegliśmy... Ale Danutka nie chce zejść. Proszę, błagam... Odpowiada: „Jest napisane w scenariuszu, że Aniela huśta się na stojąco, muszę poćwiczyć. Zobacz, Dorotko, specjalnie założyłam buty na płaskim obcasie".

– W końcu Artur musiał poprosić chłopaków z ekipy, by Danutkę z huśtawki zdjęli. Nie on sam – by Danutka nie miała do niego żalu – tylko jego współpracownicy. Ale i tak Danutka obraziła się na Artura, nie odzywała się do niego przez tydzień – śmieje się reżyserka.

W jednym z wywiadów Szaflarska skomentowała to zdarzenie: „Na planie strasznie mnie pilnowali, żebym się do huśtawki nie zbliżała. (...) Od razu przypomniałam sobie, jak na planie »Skarbu« kierownik produkcji mówił: »Nie wolno się pani kąpać, nie wolno pływać, ale jak się film skończy, to się pani może nawet zabić«. Widząc, że tak Dorota z Arturem drżą, myślałam: »Aha, boicie się, że spadnę?« (...) Oni myśleli o moich latach, a nie o mnie. Nie zawsze lata mają coś wspólnego z człowiekiem".

W jej przypadku rzeczywiście nie mają. Ściślej rzecz ujmując: ona się im nie daje zawładnąć, wykonuje w tym kierunku wysiłek. Fizyczny (dzień w dzień poranna gimnastyka) i psychiczny (niepoddawanie się czarnym myślom). Plus czytanie i rozległe kontakty z młodymi. Dzięki wytrenowanej pamięci ma zawsze bezbłędnie opanowany tekst. W „Pora umierać" sprawa jest o tyle utrudniona, że bohaterka prowadzi monologi wewnętrzne. W praktyce oznacza to uczenie się dwóch stron dziennie. A to czas, kiedy poważnie szwankuje jej wzrok, wspomaga się więc lupą.

Przez 28 dni zdjęć do „Pora umierać" kręconych w Otwocku gra jednocześnie wieczorami sześć spektakli. Po 12 godzinach na planie wsiada w auto i kierowca wiezie ją do Warszawy. Teatr jest rzeczą świętą – wychodzisz na scenę, bez względu, jak się czujesz i co się dzieje w twoim życiu. To też jej wpoi Zelwerowicz.

Stara baba

Dorota Kędzierzawska: – Na planie filmu była obecna pani doktor. Ale to ja udawałam, że mam kłopoty z sercem, by Danutki nie poirytować faktem, że lekarz jest tu specjalnie dla niej. Danutka czasami szła do pani doktor, by sprawdzić sobie ciśnienie. Ale robiła to wyłącznie dla żartów. Gdyby Danutka wiedziała, że pani doktor jest tutaj właśnie dla niej, kazałaby ją tego samego dnia odesłać. ↦

↦ Zdarzyło się jednak, że Danutka na planie pochorowała się – od kogoś w teatrze zaraziła się grypą. Gorączka, katar, ból głowy. Nie byłam jednak w stanie z planu odwieźć ją do hotelu. Skończyło się na tym, że jeden dzień została w łóżku, ale tylko dlatego, że użyliśmy z Arturem fortelu. Powiedzieliśmy, że w ten akurat dzień gramy sceny bez jej udziału.

Najbardziej była zazdrosna o psa, o to, że ukradnie jej film. Wiadomo, aktor nie ma szans wygrać ze zwierzęciem na planie. Nie ukradł, ale trzeba uczciwie powiedzieć: był świetny. Zanim jednak na planie pojawił się ten właściwy, masę kłopotów przysporzyła Aferka. Gdy reżyser mówiła: „cisza", Aferka wpadała w dygot. I dostawała kręćka. Kompletnie nie nadawała się do aktorstwa, zresztą z Szaflarską nieszczególnie przypadły sobie do gustu.

Na gwałt trzeba było szukać zastępstwa. Kędzierzawska ogłasza *casting*, na którym pojawia się siedmiu potencjalnych szczekających aktorów. Ekipa robi krąg, w nim przechadzają się psy, demonstrując swoje umiejętności. Jeden z nich, po wzorcowo wykonanym okrążeniu, położy się na plecach pod nogami reżyserki i uwodzicielsko zamerda ogonem. Instynkt mu podpowiada, kto w tym towarzystwie podejmuje wiążące decyzje. Nazywa się Tokaj – psi mężczyzna, który w „Pora umierać" zagra kobietę.

Dorota Kędzierzawska: – Profesjonalista: kochał kamerę. Robił się smutny, gdy schodził z planu. Danutka i treserka Kasia były jedynymi z ekipy, które z Tokajem mogły się bawić. Kiedyś Danutka mówi: „Coś mi tu pachnie świetną szynką". Mówię: „Danutko, to jest szynka dla Tokaja". Danutka: „Ja takiej dobrej to nie miałam na śniadanie". Ja: „Danutko, ta szynka nie jest taka dobra, tylko mocno pachnie".

– Skończyło się jednak na tym, że kierowca wsiadł w auto i jechał do Warszawy po szynkę do sklepu, którego adres wskazała treserka Kasia. Okazało się, że rzeczywiście nie jest ona smaczna – dopowiada reżyserka.

Szaflarska bała się, że nikt do kina nie przyjdzie na film ze „starą babą". Bali się też tego producenci – Telewizja Polska dołączyła się do finansowania „Pora umierać" dopiero po ukończeniu zdjęć. Bała się sama Kędzierzawska – początkowo nie miała śmiałości powiedzieć Szaflarskiej, jaki jest pełny tytuł. Długo używała jednego tylko słowa: „Pora".

Rób, jak chcesz

Pierwszy dzień na planie jest trudny dla całej ekipy. Szaflarską zżera trema. Bo jeśli w poprzednich filmach Kędzierzawskiej gra epizody, to w „Pora umierać" jest główną bohaterką; cała odpowiedzialność spada na jej aktorskie braki. Podobnie jak Buczkowski w „Zakazanych piosenkach", Kędzierzawska postanawia nie pokazywać jej nagranych materiałów. Szaflarska przyjmuje to z wyraźną ulgą.

DANUTA SZAFLARSKA:

Najtrudniejsze dla kobiety jest, jak kończy trzydzieści lat, bo wtedy wie, że opuszcza młodość. Tak stało się ze mną. A potem to już była tylko zabawa!

Kędzierzawska: – Danutka próbowała nas na różne sposoby przechytrzyć. Umówiłam się z charakteryzatorką, że ogarnie jej wyłącznie włosy, ale nie będzie robić makijażu. I co ja widzę w pierwszym dniu: pomalowane usta Danutki. Drugi dzień – to samo. Jak petarda wpadam do charakteryzatorni i krzyczę na dziewczynę. A ona: „Przysięgam, nie maluję pani Danucie ust". Następnego dnia Artur ukradkiem obserwuje drogę Danutki na plan z kampera, w którym mieściła się charakteryzatornia. Do pokonania było sto metrów. Ale po drodze mijało się krzaki, to tam Danutka robiła błyskawiczny makijaż. Wybrnęliśmy z tego w ten sposób, że gdy na planie do Danutki podchodziła charakteryzatorka, by ją przypudrować, dyskretnie ścierała jej szminkę.

– A potem było... okropnie. Specjalnie dla Danutki pierwszy pokaz „Pora umierać" zrobiliśmy u nas w domu. Błędem było to, że zamiast pokazać go na monitorze komputera, wyświetliliśmy go na dużym ekranie. Po projekcji zapadła kompletna cisza, Danutka nie odezwała się słowem. Nerwowo zagadnęłam: „To może ja podam obiad". Jemy spięci – śledzik, zupa. Przy drugim daniu Danutka zaczyna robić wyrzuty: „Artur, jak mogłeś? Wszystkie zmarszczki widać!" – wspomina Kędzierzawska.

Zgoda, widać. Ale też widać, że Szaflarska rusza się jak dziewczyna. I że jej oczy błyszczą energią nastolatki. „Pora umierać" pomaga jej tyle oswoić się ze śladami przemijalności, co machnąć na nie ręką. Puścić w niepamięć. Kiedyś powie: „Najtrudniejsze dla kobiety jest, jak kończy trzydzieści lat, bo wtedy wie, że opuszcza młodość. Tak stało się ze mną. A potem to już była tylko zabawa! 50, 70, 90!".

W jej przypadku najlepsza zabawa zaczyna się dopiero w dziewiątej dekadzie życia. Dosłownie – uwielbia spotkania towarzyskie, czerwone wino, krewetki, żelki i krówki. Pierwsza wychodzi na parkiet, w dalekich podróżach wydaje się niezmordowana.

Zastrzykiem dobrostanu jest aplauz widzów i przychylność krytyki. I rzecz kluczowa: wie, że to, co robi, ma sens. Przy powstawaniu „Innego świata", dokumentu Kędzierzawskiej opartego na autobiograficznej opowieści Szaflarskiej, nauczony doświadczeniem Reinhart zapyta ostrożnie, jak chce być filmowana. Usłyszy: „Rób, jak chcesz".

I jeszcze jeden prezent od losu: Grzegorz Jarzyna, symbol nowoczesnego przełomu w polskim teatrze. Mówi o niej: „aktorka współczesna", ona: „mój reżyser". On – rocznik 1968, ona – 1915. W Rozmaitościach angażuje Szaflarską do spektaklu „Uroczystości". W kwietniu 2010 r. proponuje jej etat. Chwilę wcześniej Szaflarska zagra u niego w „Między nami dobrze jest" według Doroty Masłowskiej.

W sztuce jest Osowiałą Staruszką, najstarszą z trzech kobiet z różnych pokoleń niemających wspólnego języka, mieszkających w jednym pomieszczeniu „wielokondygnacyjnego budynku ludzkiego w Warszawie". Staruszka żyje przeszłością – dramatem wojny.

„Byłam zaskoczona tym, jak Dorota Masłowska mogła wiernie oddać ten świat, który ja przeżyłam" – powie Szaflarska. Aleksandra Popławska, Mała Metalowa Dziewczynka, jej sceniczna partnerka, wspomina, że na próbach Szaflarska opowiadała o okupacji, ale lekko i z dystansem – w ten sposób, by cierpienie izolować grubą warstwą humoru. Na Popławskiej najmocniejsze wrażenie zrobił jeden powstańczy obraz: kiedy Szaflarska co siedem minut, bo w takich przedziałach czasowych trwa nalot, z córeczką wychodzi z piwnicy, by mała mogła zaczerpnąć powietrza. Szaflarska nie chciała pokazywać słabości. W „Między nami" pojawia się na wózku inwalidzkim. Początkowo się przed nim broni, potem go zaakceptuje. Popławska usiądzie w nim – jest nie do opanowania, mknie z prędkością światła, spada prawie ze sceny. A Szaflarska wykonuje na nim piruety i slalomy.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Od lewej: Magdalena Kuta, Danuta Szaflarska i Maria Maj w „Między nami dobrze jest", reż. Grzegorz Jarzyna. Teatr Rozmaitości, 3 kwietnia 2009 r.

Święty Jerzy

Miała słabość do tego imienia. Należało do ukochanego brata i do ukochanego księdza. Obaj zginęli. Z bratem była w ścisłym kontakcie. W dzieciństwie usłyszeli melodię „śpiewającej żaby". Spodobał się im ten żart, więc uczynili z tego swój sekretny język. Gdy pisali do siebie listy, to zawsze znajdowali w nich miejsce na nuty tej melodii. Po śmierci brata Danuta od czasu do czasu puszcza mu „w niebo" sygnał żaby.

Z Jerzym Popiełuszką jest inaczej. On po śmierci trzyma nad nią pieczę, nie spuszcza z oka – tak twierdzi Szaflarska. Ale najpierw ją nawróci. Pora ku temu była idealna – beznadzieja początku lat 80., stan wojenny, Szaflarska zostaje wydelegowana przez Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom do obserwowania procesów aresztowanych robotników Ursusa i Huty Warszawa.

Na sali rozpraw usiadł obok niej drobny mężczyzna. Kiedy powiedział, że jest księdzem, pomyślała: katastrofa. Ale kiedy wyciągnął ją na kawę, już było wiadomo, że jest dobrze.

Dalej będzie tylko lepiej. On ją poprosi, by na Mszy za ojczyznę przeczytała wiersz. Ona to zrobi, choć czytać wierszy nie lubi. Nie przyjdzie mu do głowy, by ją nakłaniać do spowiedzi po 40 latach jej unikania. Ona czyni to z własnej woli. Popiełuszko udzieli ślubu Agnieszce, młodszej córce Szaflarskiej, i ochrzci jej pierwszego wnuka. Odwiedza ją w domu w Kosarzyskach – jej małej ojczyźnie, miejscu urodzenia. Ostatni raz Popiełuszko jest tam latem 1984 r., ruszy na górską wędrówkę. Z Szaflarską umówi się, że spędzą razem święta. Nie zdążą. Wmieszana w półmilionowy tłum uczestniczy w jego pogrzebie 3 listopada.

Za pierwszym razem Popiełuszko „zainterweniuje" w sprawie Szaflarskiej w roku 1989. Premiera „Zamku w Szwecji" w Teatrze Komedia, aktorka jest jeszcze w domu. W końcu usłyszy uporczywie dzwoniący telefon. Ktoś zapyta, dlaczego nie jest w teatrze i że zaraz przyjedzie po nią samochód. Nie pamięta, jak zamknie drzwi, jak zejdzie po schodach. W garderobie też jest „dziwna", kawa nie pomoże. Poprosi, by uderzyć w gong – to zawsze ją mobilizuje. I rzeczywiście: wychodzi na scenę. Pierwsza kwestia – poszła, wszyscy oddychają z ulgą. Ale już przy następnej – cisza, suflerkę słychać w ostatnich rzędach. Kurtyna w dół. Na widowni jest doktor Noszczyk ze swoim kolegą anestezjologiem. Pędzą do garderoby i natychmiast zawożą Szaflarską do szpitala. Okazuje się, że ma zatkaną tętnicę szyjną. Operacja się udaje, lecz jest kłopot z sercem. Ląduje na kardiologii, potem na OIOM-ie. Rodzina usłyszy, że można się spodziewać „wszystkiego". Szaflarska krzyczy z bólu powtarzając: „Jerzy, daj lekarstwo" (przypomina sobie, jak kiedyś była chora, odwiedził ją Popiełuszko, powiedział, że ma dla niej lekarstwo, i wręczył tabliczkę czekolady). W pewnej chwili wchodzi młody lekarz i aplikuje jej swój prywatny lek. Ból ustępuje. Gdy Szaflarska wydobrzeje, spyta, skąd wiedział, że jest potrzebny. Powie, że był na kardiologii u swoich pacjentów. Nagle wstał, zszedł na OIOM – to była siła wyższa. Doktor Misio – tak będzie o nim mówić Szaflarska. Po latach okaże się, że przeszła zawał.

Na odchodnym konsylium lekarskie zaleci „koniec z teatrem", najwyżej radio i spokojne życie domowe. Szaflarska ma wtedy 74 lata.

Drugi raz Popiełuszko miał „interweniować" w 2002 r. Szaflarska wraca z banku, ma przy sobie sporo gotówki. Na klatce schodowej zostaje napadnięta. Ktoś ją dusi. Nieprzytomna leży około pół godziny. Nagle zaczyna odczuwać szczęście. Zdaje sobie sprawę, że siedzi koło niej Popiełuszko. Nie widzi go, ale wie, że to on. Kiedy Popiełuszko oddala się, Szaflarska myśli: położyłam się do łóżka zdrowa, to dlaczego wszystko mnie boli? Otworzy oczy, zobaczy, co się z nią dzieje. Znajdzie ją w końcu sąsiad. Policja jest zdumiona, że uniknęła śmierci; ma przecież prawie 90 lat.

Kilka razy publicznie zapewnia, że umrze, gdy przestanie grać. Słowa dotrzyma: odejdzie na scenie, no, prawie na scenie. W 2016 r. w Teatrze Żydowskim przygotowuje się do premiery „Sklepu przy głównej ulicy", opowieści o słowackiej Żydówce za okupacji wywłaszczonej przez sąsiada z rodzinnego sklepiku. Spektakl oparty jest na scenariuszu czechosłowackiego filmu, za który Ida Kamińska, jako pierwsza aktorka z Polski, otrzymała w roku 1967 nominację do Oscara. Szaflarska cieszy się na rolę Lautmanovej, lecz w trakcie prób nieszczęśliwie upadnie. Szpital, kilka miesięcy walki o życie. 19 lutego 2017 r. odejdzie w otoczeniu najbliższych.

11 dni wcześniej obchodzi 102. urodziny.

Gdy miała 100 lat, wyznała, że chciałaby po śmierci zobaczyć to, czego nie udało jej się zobaczyć za życia. I że boi się momentu, w którym zrozumie, że to już.

Żal za życiem będzie ogromny. ©

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Korzystałam z wywiadów z Danutą Szaflarską przeprowadzonych na łamach „Gazety Wyborczej" przez Karolinę Sulej i Remigiusza Grzelę, dziennika aktorki opublikowanego przez „Teatr" w 1971 r. oraz rozmowy z Aleksandrą Popławską, którą dla „Gazety Wyborczej" przeprowadziła Dorota Wyżyńska.

Łazik z Mauthausen

GRZEGORZ BOGDAŁ

Pierwszą powieść, „Pięć lat kacetu" – której pełne wydanie właśnie trafiło do księgarń – Grzesiuk nabazgrał w księgach rachunkowych, leżąc po operacji w sanatorium. Ta książka odmieniła kilka ostatnich lat jego życia.

Jego kariera była krótka, ale intensywna. W 1958 r. opublikował swój debiut, a już rok później wystąpił z nieodłączną bandżolą z Myszką Miki w Sali Kongresowej obok Mieczysława Fogga, Hanny Skarżanki i Stefana Wiecheckiego. Edward Dziewoński zaś czytał fragmenty jego kolejnej książki – „Boso, ale w ostrogach", o młodości na Czerniakowie.

Ma wtedy 40 lat i jest u kresu sił. Trzecia powieść autobiograficzna „Na marginesie życia" – zapis zmagań z gruźlicą, która go w końcu zabija – ukazuje się już po jego śmierci.

Nazywany jest pieśniarzem albo bardem stolicy, ale to słowa zbyt poważne, a Grzesiuk, ironista i wesołek, nie lubił patosu. Wykonywał przedwojenne uliczne piosenki, takie jak „Bal na Gnojnej", „U cioci na imieninach" czy „Komu dzwonią, temu dzwonią". Biorąc pod uwagę jego umiejętności muzyczne i wokalne, można go raczej określić grajkiem. Sam zresztą mówił w jednym z wywiadów: „Napisz pan wyraźnie, żeby wszyscy moi krytycy wreszcie zrozumieli: nie jestem piosenkarzem, nie jestem artystą, nie jestem muzykiem. Śpiewam, jak się kiedyś na Czerniakowie śpiewało. Proszą mnie to tu, to tam. Dlaczego mam nie iść, jeśli ludziom się podoba i ja to lubię?".

Nie uważał się też za pisarza – o swojej przygodzie z literaturą powiedział, że to „wcale przyjemne nieporozumienie" cieszyła go jednak popularność, występy w radiu, spotkania z czytelnikami.

W ferajnie wesoło jest

Urodził się 100 lat temu w 1918 r. w Małkowie w województwie lubelskim. Dwa lata później przyjechał z rodzicami do Warszawy. Ojciec był członkiem PPS-u, szanowanym związkowcem, pracował w fabryce parowozów. Matka zajmowała się domem. Miał brata i siostrę. Zamieszkali na Czerniakowie. Obraz tej dzielnicy tworzą wówczas głównie braki: elektryczności, gazu, kanalizacji, bruku. Pełne za to są ulice – ludziom trudno wytrzymać w klitkach, tworzą się więc ferajny. Grzesiuk odnajduje się w lumpenproletariackim półświatku mającym własny slang, zasady (nie donosić; odgrywać się za krzywdy) i szyk (czapka „oprychówka" w kratę, czerwona apaszka). A także upodobanie do „chleba w kieliszku" – picie alkoholu ograniczy dopiero pod koniec lat 50. Już jako nastolatek gra na mandolinie, dzięki czemu jest lubiany, również przez dziewczyny, mimo dyskusyjnej urody. Bije się, kiedy trzeba, czyli często, bo jest porywczy, i zdarza mu się kraść, ale dla rozrywki – jego rodzinie powodzi się akurat, jak na tamtejsze warunki, nieźle.

W wieku 16 lat idzie do pracy, którą dostaje dzięki ojcu (w dużych i nowoczesnych Zakładach Tele- i Radiotechnicznych). Zdobywa zawód elektromechanika i ćwiczy się w unikaniu wysiłku oraz biciu frajerów z główki.

W okupowanej stolicy okrada z ferajną domy Niemców i zamknięte przez nazistów fabryki. Pomaga też podziemiu, chociaż wymaganej tam dyscypliny nie traktuje serio. Szuka broni, którą żołnierze ukryli po kapitulacji we wrześniu 1939 r. Ale wystarcza mu też czasu na grę w karty, picie lekko rozcieńczonego spirytusu i miłość. To ostatnie zaszkodzi mu najbardziej.

Mający swój początek jeszcze przed wojną związek z mężatką o opinii *femme fatale* kończy się tragicznie, gdy Grzesiuk odkrywa, że kochanka go oszukuje i że nie jest jedynym, którego namawia do zabicia męża. On zrywa więc relację, a ona – wiedząc o kradzieżach i kontaktach z podziemiem – idzie na Gestapo. Grzesiuk musi uciekać.

W Lublinie wpada w łapance i zostaje wywieziony na roboty do Nadrenii. Po pobiciu gospodarza i nieudanej próbie ucieczki trafia na Gestapo, a stamtąd do Dachau. Jest kwiecień 1940 r. Wolność, po przejściu przez jeszcze dwa obozy, odzyska 5 maja 1945 r., dzień przed swoimi urodzinami.

Obozowa powieść łotrzykowska

Przeżycia z Dachau, Mauthausen i Gusen opisał w „Pięciu latach kacetu", właśnie wznowionych po raz pierwszy w wersji bez ingerencji cenzury i z fragmentami usuniętymi podczas redakcji, z wyjątkiem tych – jak zaznaczył wydawca – „przy których skreślenia albo notatki autora nie pozostawiały złudzeń, że intencją było ich usunięcie". Część zmian miała charakter ewidentnie redaktorski, np. w przypadku powtórzeń, ale są też takie, które maskowały drażliwy obyczajowo temat homoseksualnej prostytucji czy przemocy wśród więźniów.

Relacja Grzesiuka w dużej mierze jest suchym spisem zysków i strat: jedzenia i ubrania, które dostał lub udało mu się zdobyć, otrzymanej i udzielonej pomocy, ale również chlebów, które mu skradziono, zmarłych i zabitych kolegów, skrupulatnie policzonych wybitych zębów – pierwszy, drugi, trzeci...

Narracja tego rodzaju – w porównaniu z opowiadaniami Tadeusza Borowskiego czy „Dymami nad Birkenau" Seweryny Szmaglewskiej – sprawia wrażenie pozbawionej środków literackich, skoncentrowanej na starannym odnotowywaniu wypadków, zwykle bez komentarza. Stanisław Lem, w entuzjastycznej recenzji „Pięciu lat kacetu" („Zdarzenia" 28/1958; w tymże roku pracował nad „Edenem", gdzie odwołania do wojny i Zagłady są czytelne), które nazywał „wykładem poczwarnej socjologii", stawiał je jednak wyżej od opowiadań Borowskiego ze względu na „chropawość, nieporadność, stylistyczne, psychologiczne niedorastanie do gór grozy urastających z wolna z drobnych, po kolei nizanych faktów. (...) Grzesiuk jest po prostu akoncepcyjny – on nic nie chce »uogólnić«, a jeśli chce, to mu to nie wychodzi, i tak właśnie jest bardzo dobrze".

Z drugiej strony opowieść ta jest literacka aż do szpiku, odciska na niej bowiem swoje piętno osobowość autora, warszawskiego cwaniaka, chłopaka z „dołów", i to ona determinuje zarówno treść, jak i formę – co czyni tę pełną okrucieństwa, dotkliwą lekturę zarazem przewrotną powieścią łotrzykowską. W klasycznych realizacjach tego gatunku bohaterem jest zwykle młodzieniec z nizin społecznych, którego tarczą przed światem jest pozorna lub pozorowana naiwność oraz czarny humor. „Ty, patrz, jaki dom wariatów, zobacz, jakie wariackie ciuchy" – mówi narrator „Pięciu lat..." do współwięźnia, widząc w Dachau pierwszy raz ludzi w pasiakach.

„Jedynym celem, jaki mu przyświeca, jest zaspokoić głód, uchronić się od bicia,

ZBYSZKO SIEMASZKO / FORUM

Stanisław Grzesiuk na Balu Budowniczych Warszawy, 11 lutego 1962 r.

a później zdobyć korzystne stanowisko" – pisze Maria Strzałkowa o bohaterze anonimowego „Łazika z Tormesu", który zapoczątkował gatunek powieści łotrzykowskiej.

Ale zdaniem tym można opisać również narratora „Pięciu lat kacetu". On sam zresztą niejeden raz przyznaje: „W obozie należało przyjąć dwie zasady. Pierwsza – to miganie się od roboty, a druga – to organizowanie jedzenia". Każde dodatkowe jedzenie oddalało groźbę śmierci z wycieńczenia: marchew, obierki, brukiew nazywana „delikatesem" czy nawet fusy po kawie, bo – jak pisał Grzesiuk – „fusy to też żarcie". Albo cukierki od starego esesmana. Lepsze to niż glina, węgiel brunatny czy pasta do butów, którą jedli inni.

W Mauthausen i Gusen, będących jednymi z najcięższych obozów III Rzeszy (także w porównaniu do Auschwitz), gdzie wielu Polaków trafiło w ramach *Intelligenzaktion*, dostosowywanie się do zasad ustalonych przez oprawców było – zdaniem Grzesiuka – najprostszym sposobem, by zginąć. Zawsze więc starał się trafić do takiej pracy, w której mógł pozorować wykonywanie obowiązków i jednocześnie rozglądać się, czy nie widzi go kapo – czujność bowiem kosztuje mniej niż wyniszczająca harówka. Przekonał się nieraz, jak kończą ci, którzy pracują „uczciwie" ze strachu przed biciem, szczególnie w kamieniołomie – rzuceni „na jedną kupę z nieboszczykami", a pod koniec dnia zanoszeni na blok lub do wychodka, by tam skonali, podczas gdy inni będą się przy nich wypróżniać.

Syzyf odmawia

Sarkazm łączy się tu z rozpaczą: tak maltretowanie więźniów – topienie ich w beczkach lub polewanie wodą na mrozie – jak i chodzenie za esesmanem, żeby podnieść rzucony przez niego ogryzek, Grzesiuk nazywa zabawą lub balem. Jest to świat skrzywionych wartości i zasad, do których trzeba dostosować też język, jeśli chce się o nim cokolwiek powiedzieć. „W obozie mądrych określało się ilością jedzenia w żołądku i wagą ciała. Kto miał dużo jedzenia, ten był bardzo mądry" – pisał i nie ma w tych słowach poczucia wyższości, bo sam przez znaczną część pobytu w obozach do „najmądrzejszych" nie należał.

Korzystał z pomocy różnych ludzi, np. Heńka: młodego, ładnego chłopaka, od którego dostawał zupę, i którym „zaopiekował się" pewien kapo. Sam też bezinteresownie pomagał, zwłaszcza przyjacielowi. Solidarność jest tu jednak rzadsza i bardziej niezwykła niż zobojętnienie na czyjąś krzywdę i na śmierć. Każdy ma piekło dla samego siebie. Wspólnota zawiązuje się dopiero na końcu, gdy obóz wyzwalają amerykańskie wojska – jej wyrazem jest zbiorowy krzyk tych, którzy przetrwali.

Udręczonym ponad siły, którym nie wystarcza sił ani sprytu, zostaje ostatni gest wolności: pójść na druty lub posterunki, po szybką i pewną śmierć. Tak jak więzień, Żyd, któremu esesman kazał raz za razem toczyć pod górę kamień, a gdy nieszczęśnik docierał do krawędzi, nogą spychał kamień w dół, a w ślad za nim, uderzeniem, posyłał więźnia. I ten drugi, który nawet nie dotknął kamienia. ©℗

Korzystałem z książki Bartosza Janiszewskiego „Grzesiuk. Król życia", Prószyński i S-ka, Warszawa 2017.

Stanisław Grzesiuk, **PIĘĆ LAT KACETU**, *Prószyński i S-ka, Warszawa 2018*

NIKO TAVERNISE / MONOLITH FILMS

Meryl Streep, Tom Hanks i Steven Spielberg na planie filmu „Czwarta władza" („The Post"), 2017 r.

Przyzwoitość, głupcze!

JAKUB MAJMUREK

To elementarne, nieheroiczne cnoty ratowały nieraz świat w filmach Spielberga. Po ostatnim z nich pozostaje w widzach pytanie: a co jeśli one już nie wystarczą?

Najnowszy film Stevena Spielberga „Czwarta władza" kończy się tam, gdzie zaczynali się pamiętni „Wszyscy ludzie prezydenta" (1976) Alana J. Pakuli – w ostatniej scenie widzieliśmy włamanie do siedziby Demokratów w hotelu Watergate. Stali za nim ludzie walczącego o reelekcję prezydenta Nixona, co dało początek największemu skandalowi w historii amerykańskiej polityki.

„The Washington Post" – dziennik, którego walkę o ujawnienie prawdy o wojnie w Wietnamie oglądamy w „Czwartej władzy" – odegrał kluczową rolę w upublicznieniu afery Watergate. Gazeta, która na początku 1971 r. – gdy zaczyna się film Spielberga – walczyła o potwierdzenie swojego miejsca w pierwszej lidze mediów, trzy lata później zmusi Nixona do odejścia w niesławie ze stanowiska prezydenta.

W szczękach polityki

Afera Watergate zmieniła nie tylko amerykańską politykę, ale także popkulturę. Kino amerykańskie lat 70. naznaczył klimat wszechobecnej nieufności i zdrady. Mnożą się w nim teorie i narracje spiskowe, jednym z głównych gatunków dekady jest paranoiczny thriller – obok wspomnianego filmu Pakuli należy tu przede wszystkim wymienić jego „Syndykat zbrodni" (1974), „Rozmowę" (1974) Coppoli, oraz „Trzy dni Kondora" (1975) Sydneya Pollacka. Bohater produkcji z tego okresu nie może ufać nikomu poza samym sobą, a z pewnością nie amerykańskim instytucjom, władzy i reprezentującym ją figurom. Swoją walkę kończy często złamany i pokonany – jak Harry Caul w finale „Rozmowy", samotny w mieszkaniu, które zrujnował w bezskutecznym poszukiwaniu ukrytego w nim podsłuchu.

Spielberg kręci swój pierwszy pełny metraż – nie licząc amatorskiej produkcji, jaką stworzył w liceum – w 1974 r. Jak wiele filmów z tego okresu, „Sugarland Express" przedstawia bohaterów skonfrontowanych z instytucjami. Mężczyzna ucieka z więzienia, by razem ze swoją partnerką uniemożliwić opiece społecznej odebranie im dziecka. Choć mężczyzna ginie w starciu z policją, kobieta w końcu odzyskuje prawo do opieki nad dzieckiem – system mimo wszystko działa.

Spielberg wchodzi więc do naznaczonego głębokim pesymizmem kina lat 70., by wyrwać jego bohatera z poczucia impasu, przywrócić wiarę w sens działania, w amerykański etos i instytucje. W swoim drugim filmie – i pierwszym wielkim hicie – „Szczękach" (1975) przybycie rekina paraliżuje społeczność nadmorskiego kurortu, tak jak kac po Watergate i Wietnamie paraliżował Amerykę. Dzięki poświęceniu, ciężkiej pracy, odwadze, zdolności do podejmowania ryzyka – „kowbojskim" cnotom przystosowanym do realiów ostat-

niej ćwiartki XX wieku – udaje się pokonać potwora i ocalić miasteczko zależne od szukających odpoczynku nad wodą turystów.

Zbawczy ojcowie

Także dziś opowieść Spielberga na temat lat 70. dotyczy nadziei, nie rozpaczy.

W „Czwartej władzy" reżyser raz jeszcze składa wyznanie wiary w amerykańską demokrację i jej instytucję, w moralny kręgosłup republiki. W kinie Spielberga ostatnich dwóch dekad każdy problem ma bowiem koniec końców moralną naturę i daje się rozwiązać na gruncie podstawowej moralnej przyzwoitości, uczciwości, poczciwości – wszystkich pojęć mieszczących się w angielskim terminie *decency*.

Spielberg stał się w ostatnich 20 latach prorokiem i kaznodzieją przyzwoitości jako etycznej substancji amerykańskiej wspólnoty. Reżyser jako medium wyrażające tę postawę wybiera najczęściej jednego aktora – Toma Hanksa. Od 1998 r. nakręcili wspólnie pięć filmów, w każdym z nich postać Hanksa służyła jako nośnik pewnych moralnych wartości – tyleż uniwersalnych, co nierozerwalnie związanych w oczach reżysera z amerykańskim projektem.

W filmach Spielberga Hanks nie gra nigdy – nawet jeśli pozory na to wskazują – prostaczka. Dobroduszność i poczciwość jego postaci w dziełach reżysera łączą się z inteligencją, budzącą szacunek pozycją społeczną, wiedzą, wreszcie „ojcowskim" autorytetem. Zastępczy ojciec, „nauczyciel", który sprowadza zagubionych ludzi na dobrą drogę, ratując ich przed nimi samymi – to pierwsze wcielenia Hanksa w kinie Spielberga.

Zawód nauczyciela dosłownie w cywilu wykonuje kapitan Miller z „Szeregowca Ryana" – dowódca oddziału wysłanego za linię frontu w Normandii, by sprowadzić do domu tytułowego bohatera. Matka Ryana straciła na wojnie już trzech synów, Ryan jest ostatnim pozostałym przy życiu. Armia decyduje więc ściągnąć go do domu.

Miller ryzykuje życie kilku ludzi ze swojego oddziału, by ratować życie jednego, niczym niewyróżniającego się szeregowca. Spielberg całą retoryczną mocą swojej reżyserii broni jednak tezy, że Ameryka nie może pozwolić matce stracić na wojnie wszystkich jej synów. W wojnie nie chodzi bowiem tylko o pokonanie wroga, ale także o zwycięstwo zdolne stworzyć świat oparty na podstawowej moralnej przyzwoitości. W imię tej wizji Miller daruje życie schwytanemu Niemcowi, pod warunkiem, że ten podda się najbliższemu oddziałowi aliantów, oddaje też w końcu życie ratując Ryana, mówiąc mu tylko: „zasłuż na to".

The Washington Post
FINAL
FRIDAY, JUNE 18, 1971
Documents Reveal U.S. Effort In '54 to Delay Viet Election
Times Lists But Retains Viet Papers
Times' Stand Wins Wide Hill Support

POPHISTORYDIG.COM

„The Washington Post" publikuje swoje pierwsze materiały oparte na tajnych dokumentach Pentagonu przekazanych prasie przez analityka Daniela Ellsberga (w prawym dolnym rogu), 18 czerwca 1971 r.

Ramę filmu stanowi obraz starszego Ryana w towarzystwie dzieci i wnuków odwiedzającego grób Millera na cmentarzu wojskowym – udane rodzinne życie ma być dowodem, że faktycznie „zasłużył". Ostatnie ujęcie powiewającej na wietrze flagi nie jest symbolem amerykańskiego szowinizmu, tylko etycznej wspólnoty, jaką w oczach Spielberga ucieleśnia Ameryka. Ta wspólnota – podobnie jak kapitan Miller – lepiej się czuje w życiu cywilnym niż na froncie, ale wie, że czasem trzeba podjąć walkę i znieść okropności wojny (pokazane tu zresztą z niebywałym okrucieństwem).

Postacią podobną do Millera jest odtwarzany przez Hanksa agent FBI, Carl Hanratty, ze „Złap mnie, jeśli potrafisz" (2002). Hanratty również wyrusza na misję ocalenia młodego człowieka – tym razem głównie przed nim samym. W Stanach lat 60. ściga zawodowego oszusta, Franka Williama Abagnale'a Jr. Film oparty jest na faktach. Młody Frank fałszując czeki defrauduje miliony dolarów, zanim skończy 21. rok życia. Oprócz fałszowania bankowych dokumentów podszywa się pod pilota linii lotniczych, lekarza i prawnika – w tej ostatniej roli znajduje nawet pracę w... prokuraturze stanowej w Luizjanie.

Hanratty ścigając chłopaka zmienia się w jego przybranego ojca. Prawdziwy zawiódł syna, stracił żonę i dorobek życia, wikłając się wcześniej w nieudane machinacje podatkowe. Agent FBI pakuje młodego Franka do więzienia po to, by w końcu go z niego wyciągnąć i dać mu drugą szansę. Chłopak zostaje zatrudniony przez FBI, używa talentu do łapania kolejnych oszustów. Znów zwycięża ukryte w człowieku dobro, siła przyzwoitości i amerykański projekt – każdemu umożliwiający wykorzystanie swoich talentów w słusznej sprawie.

Świat bez murów

Z Hanrattym i kapitanem Millerem wiele łączy też Jamesa B. Donovana – prawnika zajmującego się na co dzień ubezpieczeniami, wplątanego w środek zimnej wojny, bohatera „Mostu szpiegów" (2015) – filmu również opartego na prawdziwych zdarzeniach. Donovan z urzędu broni złapanego na terenie Stanów sowieckiego szpiega, działającego pod przykrywkowym nazwiskiem Rudolf Abel. To do Donovana – przez Niemcy wschodnie – zwracają się Sowieci, gdy kilka lat po procesie chcą wymienić Abla na amerykańskiego pilota szpiegowskiego samolotu, zestrzelonego nad terytorium ZSRS.

Donovan podejmuje się negocjacji, podbija jednak stawkę – tuż przed jego przybyciem do Berlina Wschodniego służby NRD aresztują amerykańskiego doktoranta, który nieszczęśliwie znalazł się po złej stronie miasta. Wbrew stanowisku CIA Donovan nie godzi się, by zostawić chłopaka samego – nie trzeba chyba dodawać, że logika przyzwoitości znów okazuje się zwycięska.

Najciekawsze w tym filmie jest spojrzenie Spielberga na zimną wojnę. Reżyser nie ma żadnych wątpliwości, że to Zachód ma rację. W ostatniej scenie Donovan dojeżdża do pracy podmiejską kolejką, z jej okien widzi dzieci bawiące się na amerykańskim przedmieściu. Nie niepokojone przez nikogo przeskakują niskie, symboliczne płotki odgradzające od siebie poszczególne posesje – absolutny kontrast do ponurych scen z Berlina, w którym Blok Wschodni właśnie wznosi mur dzielący miasto na pół.

A jednocześnie przyzwoitość Donovana rozciąga się także na stosunek do ludzi z drugiej strony żelaznej kurtyny. Zwłaszcza Abel – w świetnej, oscarowej kreacji Marka Rylance'a – przedstawiony jest w filmie z wielką empatią i szacunkiem. Wierzymy, że szpieguje nie dlatego, że jest moralnie zepsuty, ale dlatego, iż jest przekonany, że to Moskwa ma rację w globalnym konflikcie. Spielberg ↦

↦ definiuje tu Amerykę nie tylko jako moralną, ale także otwartą wspólnotę, do której każdy może dołączyć. W tym – jej dawni wrogowie.

Taka sytuacja ma miejsce w „Terminalu" (2004). Hanks gra tam Viktora Navorskiego, przybysza z fikcyjnej Republiki Krakozji, kolejnej wersji Bordurii – ponurej, zacofanej dyktatury położonej gdzieś w Europie Wschodniej. KiedyNavorski leci przez Atlantyk, w jego ojczyźnie ma miejsce zamach stanu, jego paszport traci ważność. Mężczyzna nie może więc opuścić nowojorskiego lotniska. Władze nie mogą go ani wpuścić do kraju, ani deportować.

Navorski początkowo wydaje się kolejną wersją Borata, ale przekracza ten stereotyp. Jak wiele pokoleń migrantów z różnych miejsc na świecie zyskuje w końcu uznanie mikrospołeczności lotniska, reprezentującej Stany w pigułce. Jego przyzwoitość, odmowa nielegalnego przekroczenia granicy, zostaje nagrodzona. Choć Navorski wraca w końcu do Krakozji, cała jego historia potwierdza mitologię Ameryki jako wzorca idealnej wspólnoty dla wszystkich uciśnionych. Oraz niepopularne w Stanach Trumpa przekonanie, że Ameryka pozostanie Ameryką tylko wtedy, gdy będzie otwarta na różnych Navorskich – z Bordurii Europy Wschodniej, Ameryki Łacińskiej, Indii i Afryki.

Czy przyzwoitość wystarczy?

W kontekście prezydentury Trumpa czytana jest także „Czwarta władza". W erze fake newsów, prezydenta znanego z bardzo swobodnego stosunku do prawdy i obietnic ogrodzenia Stanów murem, Spielberg dostarcza podnoszącej na duchu narracji o tym, jak instytucje liberalnego społeczeństwa obywatelskiego były w stanie powstrzymać zagrażającego mu Nixona. Przywraca wiarę w to, że wolna prasa i wolne sądy naprawdę mogą realnie kontrolować polityków.

Znów cały konflikt przedstawiony zostaje niemal wyłącznie w kategoriach moralnych. Nie mamy wątpliwości, że Nixon jest niecnie knującym złoczyńcą i stanowi zagrożenie dla amerykańskiej demokracji. Upada przy tym dlatego, że kilka osób po prostu zdecydowało się zachować przyzwoicie: na czele z granym znów przez Hanksa redaktorem naczelnym „Washigton Post", Benem Bradleem, oraz wydawczynią dziennika, Katharine Graham (Meryl Streep). Oboje dojrzewają na naszych oczach do swoich ról. Bradlee uświadamia sobie, że nie może być przyjacielem nawet najbliższych mu ideowo polityków i musi w imieniu społeczeństwa kontrolować to, co robią. Graham dorasta do roli świadomej kobiety biznesu, która w końcu odnajduje swój głos w zdominowanym przez mężczyzn świecie.

Wizja Spielberga w „Czwartej władzy" jest spójna myślowo i artystycznie, broni się na ekranie. Im dłużej jednak myślimy o filmie po jego obejrzeniu, tym większy pojawia się niedosyt. Spielbergowska „ewangelia przyzwoitości" przyłożona do polityki lat 70. wypada często po prostu naiwnie i fałszywie. Sam obraz Stanów lat 70. – z ich bardzo głębokimi napięciami, konfliktami, przemocą – wydaje się w „Czwartej władzy" irytująco uładzony i przesłodzony. Tak samo jak sposób, w jaki przedstawione zostało działanie mediów i polityki.

Najciekawszy, najbardziej złożony wątek to dylematy Graham w związku z wejściem dziennika na giełdę. Gazeta potrzebuje pieniędzy na rozwój, emisja akcji wydaje się optymalnym sposobem ich pozyskania. Bankierzy przestrzegają przy tym Graham, że podjęcie kontrowersyjnego tematu może na wstępie zatopić notowania spółki wśród potencjalnych akcjonariuszy. Wszystko jednak kończy się w filmie dobrze, a wątek nacisków, jakie nie tylko skorumpowana władza, ale i rynek może wywierać na niezależne dziennikarstwo, nie zostaje pociągnięty. Ginie wielki temat.

Największe wątpliwości film budzi jednak jako skierowana do współczesnych metafora.

Czy w erze Trumpa, kryzysu tradycyjnych mediów i nowego populizmu, w społeczeństwie podzielonym na wrogie plemiona, Watergate w ogóle mogłoby się stać oburzającym cały naród skandalem? Jak media mają pełnić kontrolną funkcję wobec polityków, gdy same coraz częściej mają problemy z zapewnieniem ekonomicznej podstawy swojej działalności? „Washington Post" należy dziś do najbogatszego człowieka świata, Jeffa Bezosa, twórcy Amazona – firmy znanej z niskich pensji i kiepskich warunków pracy. Jak taki właściciel wpływa na to, co gazeta pisze o nierównościach czy warunkach pracy w Stanach? Robi to w imię przyzwoitości? Bez żartów. ©

JAKUB MAJMUREK

CZWARTA WŁADZA (THE POST)
– reż. Steven Spielberg. Prod. USA 2017. Dystryb. Monolith Films. W kinach od 16 lutego.

Cudowna i pożyteczna

ANITA PIOTROWSKA

„Kształt wody" przeciwstawia się całej ludzkiej pysze, która w człowieku – najlepiej białym, zdrowym, heteroseksualnym i płci męskiej – każe widzieć koronę stworzenia.

Duchy, fauny, trolle, demony, zmutowane owady tudzież inne stwory zaludniają kino Guillerma del Toro. Meksykański reżyser od zawsze tworzy filmy dla dużych dzieci. Opisując to baśniowe uniwersum, warto sięgnąć po modne ostatnio słówko „immersja", które w świecie gier komputerowych (bliskim zresztą twórcy „Kręgosłupa diabła") oznacza totalne zanurzenie w wirtualnej rzeczywistości. Tego, kto zgodzi się, by ów świat go pochłonął, zwykle czeka ekscytująca przygoda. Ale nawet zatwardziały sceptyk musi docenić pieczołowitość i finezję, z jaką reżyser buduje na ekranie swoje baśniowe labirynty.

„Kształt wody" od pierwszych ujęć zaprasza do całkowitego zanurzenia. W umownej, ale jakże stylowej scenerii wczesnych lat 60., na marginesach „amerykańskiego snu", toczy się urokliwe życie niczym z „Amelii" Jeana-Pierre'a Jeuneta. Zanim jednak zdążymy ten świat oswoić, pojawia się w nim Obcy, czyli dwunożny stwór, ni to ludzki, ni to gadzi, schwytany przez amerykańskich wojskowych gdzieś nad Amazonką. Jako że posiada podwójny system oddechowy, ma zostać poddany eksperymentom naukowym. Sowieci zdążyli już wysłać w kosmos psa, pojawia się więc szansa, że teraz USA zdobędą punkt we współzawodnictwie o gwiezdne kolonie.

Jest jednak ktoś, nie licząc rosyjskich szpiegów planujących porwanie potwora, kto nie może dopuścić do oddania go pod nóż. W rządowym laboratorium pracuje niema, ciężko doświadczona przez życie sprzątaczka grana przez Sally Hawkins („Happy-Go-Lucky"). Tylko Elisa, uznawana przez otoczenie za ułomną, obdarzona na dodatek południowym nazwiskiem Esposito, potrafi nawiązać kontakt

TWENTIETH CENTURY FOX / IMPERIAL CINEPIX

Sally Hawkins w filmie „Kształt wody”.

z inną „niekompletną” istotą. A w końcu odkryć, iż „obiekt” posiada inteligencję i uczucia.

Rozkład sił też jest u del Toro iście baśniowy. Mając przeciwko sobie cały system bezpieczeństwa narodowego na czele ze zwyrodniałym pułkownikiem Stricklandem (Michael Shannon), przy ratowaniu potwora Elisa może liczyć jedynie na pomoc dwójki przyjaciół: homoseksualnego sąsiada (w tej roli Richard Jenkins) i czarnoskórej koleżanki z pracy. Podobno Octavii Spencer, grającej tu po raz kolejny rolę afroamerykańskiej sprzątaczki, w scenariuszu najbardziej spodobał się fakt, że odbierając parze głównych bohaterów zdolność mowy, oddał on głos właśnie czarnej kobiecie i starzejącemu się gejowi z tupecikiem, którzy w czasach, kiedy rozgrywa się akcja filmu, nie mieliby prawa do swobodnej ekspresji. Przywdziewając kostium *fantasy*, del Toro raz jeszcze upomina się o słabszych, wykorzystywanych, o tych, którzy jakoś odstają od większości. Czy jest w tym naiwność? Jak najbardziej. Ideologiczne przegięcie? Wedle życzenia. Jednakże „Kształt wody”, wypowiadając wojnę uprzedzeniom i stereotypom, przeciwstawia się ludzkiej pysze.

Wykreowana w studiu na poły magiczna rzeczywistość „Kształtu wody” przywołuje nie tylko surrealistyczny klimat filmów Jeuneta i Caro. Pod mieszkaniem Elisy znajduje się przytulne kino, które pozwala czasem uciec od rzeczywistości, i tam również poszukuje schronienia sam del Toro, bo jego najnowszy film cały wydaje się zrobiony z kina, głównie z dawnych horrorów. Tańcząca z mopem główna bohaterka jest chaplinowska z ducha, ma w sobie także coś z postaci granych przez Audrey Hepburn, a jej uczuciowa więź z tajemniczym stworem kojarzy się ze starym dobrym „King Kongiem”. Jakby tych nawiązań było mało, pojawiające się w „Kształcie wody” domowe telewizory raczą nas co chwila czarno-białą klasyką, a niektóre sceny wystylizowane zostały na hollywoodzki musical czy zimnowojenny thriller szpiegowski, jak zwykle mówiony z fatalnym rosyjskim akcentem.

Pomimo cudzysłowów, del Toro pracuje na naszych emocjach pełną parą. Okrutna chwilami bajka o „ludzkim” potworze i międzygatunkowej miłości potrafi bowiem rozmiękczyć serca nie tylko sentymentalnych widzów. 13 nominacji do Oscara, Złoty Lew na festiwalu w Wenecji, a do tego 80 innych trofeów – najwyraźniej udało mu się stworzyć produkt doskonały.

Masowo oglądana antydyskryminacyjna baśń, „cudowna i pożyteczna” – by zacytować znanego psychoanalityka, to najlepsze, co może się przydarzyć dzisiejszemu kinu, podzielonemu na konserwatywno-komercyjny *mainstream* i politycznie poprawne nisze. Del Toro egzorcyzmuje nasze lęki związane z obcością, sięgając po to, co najbardziej swojskie: po klisze, cytaty, pradawne mity. Bywa tendencyjny i nieznośnie dosłowny, potrafi jednak zaspokajać najbardziej pierwotne potrzeby widza, jednocześnie oferując coś więcej niż tylko chwilowe wzruszenie, dreszczyk emocji czy estetyczny zachwyt. ©

KSZTAŁT WODY *(The Shape of Water) – reż. Guillermo del Toro. Prod. USA 2017. Dystryb. Imperial – Cinepix. W kinach od 16 lutego.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [17 – 23 II]

1. Król polki

Komedia, reż. Maya Forbes, USA 2017, Netflix

„To trochę rasista (raczej nieświadomy), religijny prostaczek i wygląda jak rozgotowany ziemniak” – pisał Ziemowit Szczerek o bohaterze filmu. Jan Lewan to pocieszna karykatura „prawdziwego Polaka” robiącego karierę w USA, a film o nim to kubeł zimnej wody dla snujących fantazje o naszym wizerunku za granicą. Na Netfliksie jest też dostępny dokument „Człowiek, który miał być królem polki”.

2. Tu i teraz

Serial, reż. Alan Ball, USA 2018, odc. 1 HBO3, 18 II, 19.00, odc. 2, HBO, 19 II, 20.10, HBO3, 19 II, 21.00, HBO2, 20 II, 22.30, HBO, 21 II, 21.55, HBO3, 22 II, 21.00

Scenarzysta „American Beauty” i współtwórca takich seriali, jak „Czysta krew” czy „Sześć stóp pod ziemią”, tym razem opowiada o współczesnej amerykańskiej rodzinie, która prócz biologicznego dziecka posiada trójkę dzieci adoptowanych z różnych krajów. W rolach głównych Holly Hunter i Tim Robbins.

3. Egzamin

Dramat, Cristian Mungiu, Rumunia 2016, Canal+, 19 II, 21.00, Canal+ 1, 19 II, 22.00

Twórca „Czterech miesięcy, trzech tygodni, dwóch dni” przygląda się wyborom moralnym dokonywanym przez dzisiejszych Rumunów. Jak daleko posunie się ojciec, który chciałby pomóc córce w uzyskaniu zagranicznego stypendium? Tytuł, jak łatwo się domyślić, nie dotyczy wyłącznie egzaminu maturalnego. Film otrzymał nagrodę za reżyserię w Cannes.

4. Przypadek Klary

Teatr TV, reż. Paweł Miśkiewicz, Polska 2007, TVP Kultura, 20 II, 20.20

W ramach „Miesiąca z Kingą Preis” przypomniana zostanie rejestracja spektaklu z Teatru Polskiego we Wrocławiu. Bohaterką jest trzydziestokilkulatka, która próbuje urządzić świat na własnych warunkach, co powoduje bolesne zderzenie z rzeczywistością. W przedstawieniu według sztuki Dei Loher zagrał na żywo hiphopowy zespół Grammatik.

JAN

Klata:
MaBeNa triumfuje

Czas napisać czerwono na białym: jesteśmy jeno trybikami Maszyny Bezpieczeństwa Narracyjnego, MaBeNy – zaledwie miesiąc temu z fanfarami odsłoniętej przez Andrzeja Zybertowicza, doradcę prezydenta. Zacytuję: „To jest zsynchronizowanie zasobów, które polskie państwo posiada, w celu monitorowania tego, w jaki sposób przekształca się obraz Polski na świecie. Jakie są węzłowe miejsca, gdzie obraz Polski jest tworzony, i aktywne działania antydefamacyjne".

Teraz maszyna ruszyła z kopyta i szerzy pozytywną narrację o Polsce z prędkością płonącej stodoły. A to dopiero początek, gdyż narracja PiS-u jest przecież niezwykle spójna. Czy przypadkiem jest, że ośrodek władzy znajduje się na ulicy Nowogrodzkiej, a nie – nie daj Boże – w Alejach Jerozolimskich? Czy przypadkiem jest, że największym władcą Nowogrodu był Jarosław Mądry? Że książętami Nowogrodu byli także: Jarosław Piękny, Jarosław Jarosławowicz oraz Jarosław Błogosławiony? Że w ramach znakomicie funkcjonującego w ojczyźnie systemu nowogrodzkiego do malowniczej siedziby PiS-u przywieziono niejakiego Rexa (przypadek?) Tillersona, aby – zgodnie z materiałem ikonograficznym – podać mu biały (przypadek?) cukier? Kapitalne, historyczne zdjęcie, obrazujące pas laminowanego paździerza z cukiernicą oddzielającą Rexa (!) od Jarosława (!), powinno przejść do historii jako wydarzenie na miarę wizyty Ottona III u Bolesława Ch. Na fotografii mieści się również z lekka defamacyjny nos Ryszarda Terleckiego, co z pewnością ma ukryte znaczenie, albo jest po prostu zmyłą. Ale popatrzmy jeszcze raz na całość obrazka, na szerokie spektrum: ma monopol, ma, ma, po prostu tak ma. MaBeNy nic nie zatrzyma. Teraz widać to jak na dłoni, teraz, kiedy wskutek fenomenalnej akcji MaBeNy wyrażenie „polskie obozy śmierci" odeszło na zawsze w niebyt – tam, gdzie jego miejsce.

„Synchronizacja zasobów, wsparta przez pewne algorytmy, byłyby potężnym narzędziem ochrony reputacji i budowania korzystnego wizerunku Polski". Skąd ta skromność inżyniera-profety Zybertowicza? Po co tryb przypuszczający, tryb przypuszczający jest dla wątpiących, a teraz nie czas na wątpliwości. Zbudowanie korzystnego wizerunku Polski – wsparte przez pewne algorytmy – po prostu stało się faktem. Maszyna ruszyła. I teraz masz wybór, Polaku: albo jesteś trybikiem, albo sypiesz piasek. *Tertium non datur.* ©

Lektor:
Głos bezimiennych

• *Katarzyna Mroczkowska-Brand*
DEPORTOWANI Z ŻYCIA. NOWE GŁOSY W NARRACJACH LITERACKICH I ICH KOLONIALNE KONTEKSTY
Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2017, ss. 350

Rzadko odnotowuję prace stricte naukowe – ale też rzadko dotykają one tematu tak dramatycznego i tak mało obecnego w naszej świadomości. Mowa o dziedzictwie kolonialnym oglądanym nie z perspektywy kolonizatorów, lecz ich ofiar.

Potomkowie Indian i czarnych niewolników sprowadzonych na plantacje południa Stanów Zjednoczonych i Karaibów, ale także Afrykanie zabierają dzisiaj głos w imieniu swoich przodków. Powstaje nowa i oryginalna formalnie literatura odzwierciedlająca proces „deportowania z życia" – co oznaczało wyrwanie z dotychczasowego środowiska i kultury, czasem po prostu śmierć – która jest opowieścią z wewnątrz.
Poznajemy kilkanaścioro pisarzy anglo- i francuskojęzycznych: wywodzącą się po kądzieli z Indian Chippewa Louise Erdrich, Jamesa Welcha z Czarnych Stóp, Simone Schwartz-Bart z Gwadelupy, Léonorę Miano z Kamerunu (badała historię niewolnictwa w jego pierwszej fazie – uprowadzania mieszkańców afrykańskich wiosek) i Toni Morrison, pierwszą afroamerykańską noblistkę. Są tu również świadkowie postkolonialnego rozdarcia pomiędzy krajem pochodzenia a nowym światem, jak Maxine Hong Kingston – Amerykanka z rodziny chińskiej, Julie Otsuka – córka imigrantów z Japonii, oraz Zadie Smith – Brytyjka z korzeniami jamajskimi. Analizę ich powieści umieszcza autorka na szerokim tle dziejów kolonizacji, przede wszystkim Ameryki Północnej, i niewolnictwa. To panorama zbrodni i okrucieństwa, mordów, oszustw i wypędzania z ziemi, pozbawiania rdzennych mieszkańców i przywożonych z Afryki niewolników wszelkich praw, ich kultury i języka (w transportach niewolników umieszczano przedstawicieli różnych plemion, by nie mogli się porozumieć). Mroczkowska-Brand przypomina też fakty stosunkowo niedawne. W zakładanych pod koniec XIX w. szkołach odebrane rodzicom dzieci indiańskie poddawano reedukacji, odbierając im tradycję i tożsamość, zgodnie z hasłem „Zabij Indianina – zbaw człowieka". W 1911 r. w kalifornijskim Oroville zatrzymano Ishiego, ostatniego Indianina z całkowicie wyniszczonego szczepu Yana; zaopiekował się nim antropolog Alfred Kroeber, a dramatyczną historię Ishiego opisała po latach żona Alfreda, Theodora. A jeszcze w drugiej połowie lat 60. minionego wieku (!) na mocy porozumienia brytyjsko-amerykańskiego wysiedlono mieszkańców atolu Diego Garcia na Oceanie Indyjskim, by zbudować bazę wojskową. Zwierzęta domowe zagazowano, a całą społeczność rozproszono po kilku krajach. Fascynująca, przerażająca i smutnie aktualna książka, która pokazuje, jak pisze Jerzy Jarzębski, „jakie zbrodnie mogą stanowić podłoże dzisiejszych zjawisk multikulturalnych i jak pisarz – członek nowoczesnego społeczeństwa – może zachowywać głos pierwotnej Wspólnoty". ©℗

PAWEŁ

Bravo: *Dzień Pizzy*

Osiem procent. O tyle wzrasta liczba przypadków udaru w pierwszym tygodniu po zmianie czasu – twierdzą badacze z uniwersytetu w Turku, a zacytowali je ostatnio fińscy politycy, artykułując w Brukseli swój postulat, żeby skończyć z przestawianiem zegarków. Tak już się z tym oswoiliśmy przez parędziesiąt lat, że stało się to dla nas zwyczajem: przezroczystym, niezauważalnym – z wyjątkiem domostw, gdzie kwilą wybudzone nie w porę dzieci, bo te ciągle zachowują się jak piąta kolumna natury w jej walce z kulturą.

Czas letni to jeden z najbardziej dosadnych pomników XX wieku. Epoki technologicznej pychy, prymatu rozumu kalkulującego (megawaty, dolary, numery na liście obozowej...), ambicji pokonywania barier przyrody i materii. W samym słowie „bariera" tkwi groza egzystencjalnego nieporozumienia. Jakbyśmy nie zauważali, że świat powierzony naszej trosce – z własnym ciałem na pierwszym miejscu – nie może być traktowany jako coś do pokonania. Nawet gdyby komuś się udało tę barierę przeskoczyć, to tylko po to, by znaleźć się w pustym, czarnym przestworze. Właściwszą, dosadną nazwę tego miejsca zostawmy w domyśle, z szacunku dla łamów, które cierpliwie znoszą co tydzień nasze gastryczne medytacje.

Na pewno już tam jesteśmy jedną nogą, druga podąża jej śladem, ale i tak warto się opierać. Coraz bardziej lubię PSL: nie dość, że dał nam posła Janusza Piechocińskiego i jego bezcenną, sławioną tu nieraz erudycję, to zaangażował się najmocniej ze wszystkich polskich partii w paneuropejski ruch na rzecz odejścia od czasu letniego. W strasburskim parlamencie udało się przegłosować rezolucję, która wzywa Komisję i wszystkich unijnych świętych do ponownego rozważenia argumentów za obowiązkiem dalszego gwałcenia zegara biologicznego. Może z tego nic nie wyniknąć, ale tak czy siak albo to załatwimy na poziomie całej Unii, albo wcale. Dobrze więc, że temat czasu się tam pojawił i zajmie choć trochę uwagę urzędników w centrali.

Przy okazji może uporządkują sporo innych niedociągnięć we wspólnotowych kalendarzach. Redakcja zwróciła mi ostatnio uwagę, że pisząc o tłustym czwartku, przegapiłem Międzynarodowy Dzień Pizzy, przypadający, jeśli wierzyć polskim mediom, dzień później. Jak to? Przecież, jak wie cały Neapol, pizzę czci się 18 stycznia, w Dzień św. Antoniego opata, patrona piekarzy. W ten to dzień liczne pizzerie pod Wezuwiuszem sprzedają margheritę po dwa euro albo szykują specjalne placki i kombinacje, jest to też pierwszy temat serwisów newsowych w telewizji i portalach, chyba że akurat jakiś ważny piłkarz złamał nogę. We włoskim parlamencie od dawna leży solennie uchwalona petycja neapolitańskiej rady miejskiej, by obchodom nadać rangę państwową, i wcale nie jest to błaha sprawa – przynajmniej jeśli się to zestawi z ogólnym tonem włoskiej polityki, którą mogłyby symbolizować klops, bigos i krwawa kiszka, gdyby znano nad Tybrem te potrawy.

Nad Wisłą zaś, niezależnie od tego, kiedy zechcemy ją świętować (sugeruję: co sobota), pizza jest bardzo dobrym czasomierzem. Mało co uświadamia linearny upływ naszego polskiego czasu, jak przemiany tego, co spożywamy pod tą nazwą. Trzymam w ręku zbiór recenzji gastronomicznych nieodżałowanego Piotra Bikonta i znajduję popełniony w 1993 r. opis małej pizzerii na Mokotowie. Uznał wtedy za ważne i godne podkreślenia, że robią tam placek „cienki jak naleśnik", chwali lokal za to, że nie stosuje papryki konserwowej, jak wszędzie indziej, tylko świeżą, podobnie jak pieczarki. Mieszkałem po sąsiedzku, stołowałem się i do dziś pamiętam każdy szczegół – dlatego nie wątpię, że Piotrek również zauważył, iż szynka na pizzy była, a jakże, ale konserwowa, w postaci różowych wiórów z tarki o małych oczkach. Nie uznał za potrzebne o tym mówić, bo wydawało się to wtedy dość normalne – dopiero dziś brzmi jak totalna ohyda.

Kolejne pięciolatki naszej wciąż piękniejszej ojczyzny potrafię mierzyć coraz lepszą pizzą w kolejnych nowo otwieranych lokalach, aż wreszcie otwarto taki, gdzie na ścianie zawisło ogłoszenie, iż tutaj nie podaje się żadnego dodatkowego sosu. Ostatnim kamieniem milowym jest pojawienie się w centrum Warszawy street-foodowej kanciapki sprzedającej do ręki pizzę w kawałkach na wzór włoskiego *al taglio*, wcale nie gorszej od takiej wypiekanej w całości i podawanej na talerzu do stolika. Trudno mi sobie wyobrazić dalszy etap rozwoju naszej ojczyzny i drżę na myśl, że teraz czas już mógłby tylko się cofnąć. Przed tym, niestety, żadna dyrektywa nas nie uchroni. ©℗

YOUTUBE

W jedzeniu kawałka pizzy na stojąco, z ręki, na przyjęciu czy ulicy, wielki kłopot sprawia to, że kiedy łapiemy go blisko brzegu, to końcówka trójkątnego wycinka placka obciążonego roztopionym serem i dodatkami opada, co grozi plamami na mankietach i klapie marynarki. Jest na to prosty, a sprytny sposób, który możemy łatwo zastosować w domu, szykując przekąski dla gości. Przygotowujemy kulę drożdżowego ciasta, takiego jak zwykle, wałkujemy na okrągły placek i robimy w nim osiem nacięć od środka ku brzegowi, ale nie do końca, tak by powstało coś w rodzaju gwiazdy. Smarujemy sosem pomidorowym tak powstałe „ramiona", jednak nie całe, lecz tylko blisko brzegu, nakładamy dalej ser i wybrane dodatki, zostawiając część bliżej środka wolną. Po czym zaginamy każdy z tych trójkątnych pasków ciasta, doklejając palcami końcówkę do brzegu, wstawiamy do pieca i pieczemy dalej normalnie. Wyjdzie nam swego rodzaju wieniec (Włosi nazywają to ghirlanda di pizza), który daje się łatwo podzielić, a każdą jego cząstkę można wygodnie wziąć w palce i zjeść bez upaprania.

SKALA KURTYKI

Osiągnął w górach wszystko, ale wielkie wyprawy porzucił nieodwołalnie. Zaniechał himalaizmu zimowego, który nazywał „sztuką cierpienia".

BARTEK DOBROCH

„Podążał za jakimś fantastycznym instynktem kreatywnym" – to dziwaczne zdanie mogłoby podsumować całą drogę Wojciecha (nie znosi tej formy swojego imienia, występuje więc jako Wojtek) Kurtyki na szczyty. Sam wypowiedział niedawno tę charakterystyczną dla siebie sentencję – dotyczyła zmarłego na Nanga Parbat himalaisty amatora Tomka Mackiewicza. „Jest to utrata jednego z najbardziej spośród nas wolnych, niezależnych ludzi, w dużym stopniu wyzwolonych ze sztampowego myślenia – mówił Kurtyka podczas niedawnej premiery polskiego wydania jego własnej biografii napisanej przez Bernadette McDonald. – Był obiektem szyderstwa i kpin, ale ja widziałem w jego zachowaniu jakiś niebywały artyzm. Postrzegałem go jako najbardziej pokrewną duszę, być może w całym polskim wspinaniu".

Kurtyka nie jest znany poza środowiskiem górskim i gronem pasjonatów. Nie bierze już udziału w wyprawach, nie komentuje ekspedycji kolegów, nie występuje w programach „śniadaniowych". W ogóle niechętnie gdziekolwiek występuje. Ma alergię na klasyfikacje, rankingi. Nie znosi słów z przedrostkiem „naj".

A jednak czasem trudno ich uniknąć. Na pytanie, kto był najwybitniejszym polskim himalaistą, większość rodaków odpowie pewnie: Jerzy Kukuczka. Dość dobrze znana jest też Wanda Rutkiewicz. Na brak rozpoznawalności nie może narzekać kierujący obecnie zimową wyprawą na K2 Krzysztof Wielicki.

Ale w oczach wspinaczy i znawców alpinizmu na Zachodzie dokonania ich wszystkich ustępują osiągnięciom Kurtyki. Patrzą na nie jak na dzieła artysty osobnego, kroczącego własną drogą, przeciw nurtom. Dlatego zapewne jako pierwsi mogli poznać jego życie anglojęzyczni czytelnicy w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i na Wyspach. Choć większość propozycji odrzuca, nie odmówił McDonald – kanadyjskiej pisarce i animatorce kultury górskiej, która wcześniej opowiedziała historię polskiego himalaizmu jako pędu ku wolności, sposobu na wyrwanie się za żelazną kurtynę. Tamta książka nosiła tytuł „*Freedom Climbers*", czyli w dokładnym tłumaczeniu „Wspinacze wolności" (z niewiadomych przyczyn ukazała się w Polsce pod tytułem „Ucieczka na szczyt"). Wydana w ubiegłym roku „*Art of Freedom. The Life and Climbs of Voytek Kurtyka*", nagrodzona najważniejszymi nagrodami w dziedzinie literatury górskiej (Banff Mountain Book Award i Boardman Tasker Prize), ukazała się właśnie w tłumaczeniu Macieja Krupy pod tytułem „Kurtyka. Sztuka wolności".

Sztuka przetrwania

Dwa lata temu kapituła Złotych Czekanów, najważniejszych nagród w świecie alpinizmu, uhonorowała go laurem za całokształt osiągnięć. W uzasadnieniu napisano, że nagroda powędruje w ręce „tajemniczej i fascynującej postaci (...) Jego pierwsze przejście zachodniej ściany Gaszerbrum IV (tzw. Świetlistej Ściany) w 1985 r. jest uznawane przez purystów za najbardziej niezwykłe przejście alpejskie XX wieku". Pierwszym laureatem honorowego Złotego Czekana był Walter Bonatti, legendarny włoski alpinista, który w 1958 r. wraz z Carlem Maurim jako pierwszy stanął na wierzchołku Gaszerbrum IV.

Przejście ściany przez Kurtykę i Austriaka Roberta Schauera zakończyło się osiągnięciem szczytowej grani, bez wejścia na wierzchołek. Mimo to czołowy amerykański magazyn wspinaczkowy „Climbing" określił je mianem „wspinaczki stulecia". Etykieta przywarła trwale do tego osiągnięcia, nie znajdując jednak aprobaty u jego współautora. „Czy ogłaszanie wiersza stulecia ma sens? Albo wybieranie kobiety stulecia?" – kwestionował Kurtyka. I pytał retorycznie: czy ktokolwiek powtórzył ich drogę? Czy ktokolwiek przekonał się, o jak trudnym przejściu mowa? Rzeczywiście: do dziś Świetlista Ściana, podobnie jak i droga pierwszych zdobywców GIV sprzed 60 lat, nie doczekały się powtórzenia.

Potoczna nazwa ściany czwartego co do wysokości szczytu z gniazda Gaszerbrumów, liczącego 7921 m n.p.m., wznoszącego się tuż nad Concordią – wspaniałym skrzyżowaniem lodowców spływających spod największych szczytów świata w Karakorum – pochodzi od jej wyglądu. Widziana z oddali w zachodzącym słońcu, świeci światłem odbitym od przypominających marmur, skutych lodem, miejscami stających dęba skał. Jej przejście było marzeniem Kurtyki, od kiedy ją zobaczył w drodze pod K2 dziewięć lat wcześniej. Wielkie wyprawy porzucił szybko i nieodwołalnie, podobnie zaniechał himalaizmu zimowego, nazywanego przez niego samego „sztuką cierpienia".

13 lipca 1985 r. wraz z Schauerem wbijają się w kuluar przecinający trapez dwuipółkilometrowej ściany Gaszerbrum IV. Z minimalnym ekwipunkiem i wyliczonymi ściśle racjami żyw-

ZE ZBIORÓW WOJCIECHA KURTYKI

Wojciech Kurtyka w Tatrach Zachodnich, droga Łamaniec na Raptawickiej Turni, lata 90. XX w.

ności. Po pięciu dniach wspinaczki zatrzymują się na polach śnieżnych pod szczytem, na wysokości 7800 m. W miejscu bez odwrotu, w zamieci, która wydaje się nie mieć końca. Jedyna droga prowadzi do góry, co w burzy śnieżnej jest niewykonalne. Czekają. Rolę namiotu spełnia cienka płachta biwakowa, rozciągnięta na półce wyrąbanej w lodowym stoku. Kończy im się jedzenie i gaz, bez którego nie mogą przygotować picia. Warstwa śniegu przyrasta, nad nimi suną małe lawiny. Kończy się także nadzieja: Kurtyka przygotowuje się na śmierć. Wśród myśli pojawia się i ta, że jego ciało stanie się wkrótce bryłą lodu...

Ale nie rezygnują. W filmie „Ścieżka Góry" Kurtyka wyzna: „Załamanie oznaczało decyzję o śmierci". Po dwóch nocach pod płachtą udaje im się ruszyć w górę. Jeszcze wczesnym popołudniem docierają do grani głównej. I mimo że prowadzi już ona dość łatwym trawersem do wierzchołka, decydują się schodzić. Kurtyka będzie tym finałem zawiedzony. Choć musi wiedzieć, że osiągnięcie było i tak imponujące.

I ekstremalnie ryzykowne: na górze spędzili jedenaście dni, z czego siedem na wysokości ponad lub około 7000 m. Do tego dodajmy dwie nieprzespane noce, trzy doby bez jedzenia i dwie bez picia...

Zwierzęcy instynkt

Podczas najtrudniejszych chwil w górnej części ściany czuli obecność „tego trzeciego". Fantomowego towarzysza. Obecność jak z fragmentu „Ziemi jałowej" T.S. Eliota, zainspirowanego ↦

relacją Sir Ernesta Shackletona z jego antarktycznej tułaczki po Georgii Południowej: „Kim jest ten trzeci, który zawsze idzie obok ciebie? / Gdy liczę nas, jesteśmy tylko ty i ja / Lecz gdy spoglądam przed siebie w biel drogi / Zawsze ktoś jeszcze idzie obok ciebie...". Walczącej o przetrwanie na Nanga Parbat Elisabeth Revol „ten trzeci" – jak sama wspomni – zaoferował ciepłą herbatę w zamian za oddanie mu buta...

Na Świetlistej Ścianie wydawał im się, zwłaszcza Robertowi, kimś złowrogim. Gdy zaczęli schodzić, przestał im zagrażać, a zaczął dodawać otuchy. Ich ówczesne doznania nie ograniczały się do obecności „tego trzeciego": Wojtek słyszał dźwięki, głosy ptaków, szepty, wreszcie muzykę. Coraz bardziej znajomą. Gdy stawał, ona też ustawała. Kiedy ruszał, melodia znów się pojawiała. „*I stumble and fall, / but I give you it all*" – Kurtyka słyszał w tych momentach właśnie szlagier Barbry Streisand „*Woman in Love*". Dopiero po czasie zrozumiał, że lina szorująca po lodoszreni tworzy efekt głosu, zaś kroki nadają melodii rytm.

Bardziej niepokojącego złudzenia doświadczył podczas młodzieńczej jeszcze, pierwszej azjatyckiej wyprawy w 1972 r. – w Hindukusz. Gdy wraz z Jackiem Rusieckim układają się do snu, na zewnątrz słyszą kroki i oddech. Nie wychodzą z namiotu. Rano nie odnajdą w pobliżu żadnych śladów, a Kurtyka przypisze swoje kolejne złudzenie działaniu wiatru. Podczas innej wyprawy w Hindukusz, na Kohe Bandaka, Kurtyką będzie z kolei targać poczucie, że „góra żyje".

Kurtyka nigdy nie odniósł najmniejszych obrażeń. Podczas wypraw z nim żadne nieszczęście nie przytrafiło się także jego partnerom. Ale MacIntyre, Kukuczka i Loretan zginęli potem w górach.

Chcę być nielegalny

Przez niemal 70 lat utrzymywał, że urodził się 20 września 1947 r., podczas gdy na świat przyszedł 25 lipca tego roku. Błąd, którego przez lata nie prostował, powstał albo w wyniku powojennego bałaganu w rejestracji urodzin, albo przez roztargnienie ojca.

Przygodę z górami Kurtyka zaczął przypadkiem, gdy koleżanka wzięła go na wycieczkę w Rudawy Janowickie pod Jelenią Górą, dokąd jeździli amatorzy wspinaczki z Wrocławia (w stolicy Dolnego Śląska, na tamtejszej politechnice studiował elektronikę, którą ukończył ze stopniem inżyniera). Od razu poczuł fascynację, zwierzęcy niemal instynkt, który każe piąć się w górę. Odtąd niemal całą energię skupi na wspinaczce – w skałkach i Tatrach. Naturalne predyspozycje, instynktowne opanowanie techniki, intuicyjny styl – te cechy sprawią, że w środowisku przylgnie doń przydomek „Zwierz".

Za sprawą ojca, Tadeusza Kurtyki, w życiu Wojtka pojawiły się książki. Jego ojciec był znanym – pod pseudonimem Henryk Worcell – pisarzem, który debiutował przed wojną znakomitą powieścią „Zaklęte rewiry", po latach zekranizowaną. Wojtek odziedziczy po nim literackie ambicje, a nawet pewien w tej dziedzinie talent, ujawniony w ledwie kilku tekstach i dwóch książkach.

Być może miejsce na rozwój literacki zagarnęła wspinaczka, której rodzice zresztą nie aprobowali. Czy między ojcem a najstarszym z trzech synów istniał też rozdźwięk ideologiczny? O to kanadyjska autorka wspinacza nie zapytała. Wiemy jednak, że Tadeusz Kurtyka uległ pokusie budowania socjalistycznej rzeczywistości, Wojtek zaś był zawsze zbuntowany przeciw systemowi, władzy, zasadom, a więc także przeciw komunistycznej rzeczywistości. Ale nie był to bunt z opornikiem Solidarności w klapie – wyrażał się raczej w tęsknocie za łamaniem konwenansów, przepisów, za działaniem górskim bez zezwoleń. W tęsknocie za „byciem nielegalnym".

Na przykład podczas pierwszego w historii trawersu trzech szczytów Broad Peak w 1984 r. mieli z Kukuczką pozwolenie jedynie na główny wierzchołek. Dwa lata wcześniej osiągnęli go nielegalnie w ramach aklimatyzacji przed atakiem na K2. Z dwóch zdobytych w lipcu 1983 r. ośmiotysięcznych Gaszerbrumów zalegalizowali wejście tylko na GII. Stosownych papierów nie miał ani na Kohe Bandaka w polsko-brytyjskim zespole, ani na wspinaczki ze Szwajcarami wschodnią ścianą Nameless Tower w grupie Trango i południowo-zachodnią ścianą Sziszapangmy. Łamał przepisy także w drodze w Hindukusz, Karakorum i Himalaje, stając się mistrzem wyprawowego przemytu, na którym opierało się finansowanie polskiego himalaizmu przełomu lat 70. i 80. „Nie postrzegałem tego jako niegodziwości, przeciwnie: było to dla mnie coś pozytywnego – przejaw ducha polskiego. Przemyt w warunkach nienormalnego życia nie tylko nie jest przestępstwem, przeciwnie: staje się cnotą" – mówił podczas warszawskiej premiery „Sztuki wolności".

Sięganie ku wolności

Ustawiał się w kontrze do stylu życia ojca, u którego pociąg do alkoholu mieszał się z pobożnością. Wojtek od małego czuł się osaczony: wizją piekła, religijną opresją.

Co nie znaczy, że nie miał duchowych potrzeb. Ich zaspokojenia szukał w filozofiach Wschodu, buddyzmie zen czy samurajskim kodeksie Bushido. Zafascynowany kulturą Japonii, z Drogi Samuraja wywiódł koncepcję Ścieżki Góry, którą podążał. „Zdałem sobie sprawę, że dzięki górom wracam do mojego codziennego życia jako człowiek całkowicie odmieniony" – mówił. Góry stały się więc dlań religijnym erzacem, strzeliste turnie Karakorum – gotyckimi świątyniami, kaplicami zaś podkrakowskie skałki, pod którymi spotykał innych Wyznawców, jak ich określa w „Chińskim maharadży". Powieści, w której przejście „na żywca" – czyli bez asekuracji – tytułowej drogi w Bolechowicach staje się pretekstem do metafizycznej podróży w głąb siebie.

Mimo wybitnie sportowego charakteru swoich dokonań, we wspinaniu widział i widzi raczej dziedzinę sztuki niż wyczyn. Chociaż to on tworzył podwaliny stylu alpejskiego, który jest dziś najbardziej uznawanym sposobem zdobywania szczytów – od Alp po Himalaje (styl alpejski – w największym uproszczeniu – polega na szybkim wejściu na szczyt bez budowania obozów, bez pomocy tragarzy i z możliwie małym obciążeniem). Chociaż to jego imię noszą tatrzańskie klasyki wspinaczkowe. Chociaż to „skala Kurtyki" jest obowiązującą w Polsce skalą oceny trudności dróg w skałkach.

To jednak nie cyfry i „dokonania" – tak ważne dla wielu innych – są dlań istotą alpinizmu. Wspinaczka jest – jak mówił – „trudną próbą wzlotu ponad siebie samego, sięganiem ku wolności". Dodawał, że jego ambicją było zawsze robić drogi trudne, ale jeszcze większą – drogi piękne. Opowiada o nich zawsze z szeroko otwartymi oczyma, jak niegdyś o Bezimiennej Wieży

ZE ZBIORÓW WOJCIECHA KURTYKI

Podejście na Manaslu, Artur Hajzer, Carlos Carsolio, Jerzy Kukuczka, 1986 r. Zdjęcie zrobione przez Wojciecha Kurtykę.

Trango: „Wyobraźcie sobie, że stoicie przed schroniskiem nad Morskim Okiem i że na wierzchołku Mięgusza wyrasta obelisk kilometrowej wysokości, taki złoty fallus".

Dzięki jego wyobraźni opisy wspinaczkowych przygód na najpotężniejszych ścianach Azji brzmią jakby wyjęte z mitów, baśni czy literatury *fantasy*. Ścianę Bandaki, której już sama nazwa budzi dreszcz, porównywał z Mordorem. Ciskający kamieniami żleb znajdujący się w tej ścianie – Cyklotronem. A pole śnieżne w ścianie Changabangu – Okiem Cyklopa.

Baśniowe nazwy nadawał też lękom, które go opanowywały, i mocom, które posiadał. Wizję pojawiającego się od najmłodszych lat koszmaru niemocy nazywał Dżemem. Pojawiające się na myśl o wspinaczce kropelki potu na rękach – Magiczną Pompą. A wewnętrzny nakaz odganiający przerażone myśli – Wielką Miotłą. Niech i tak będzie.

Głodne duchy

„Moje życie to »Gra o Tron«" – opowiadał podczas jednego ze swoich nielicznych wystąpień publicznych, na Festiwalu Górskim w Lądku-Zdroju, wywołując sprzeciw prowadzącego Adama Pustelnika, który dowodził, że w „grze" Kurtyki nie było trupów. Trupów istotnie nie było, ale były „ofiary".

„Trudno jest być alpinistą i mieć stabilne życie rodzinne" – mówi w książce Kurtyka. Z czasem rozpadła się też jego międzynarodowa „drużyna pierścienia", którą tworzyli: Alex MacIntyre, długowłosy rockandrollowiec z muzyką Led Zeppelin w słuchawkach, z zadziwiającą intuicją w omijaniu lodowych barier i równie intrygującym zwyczajem upijania się przed atakiem szczytowym, Erhard Loretan, krępy szwajcarski stolarz z szatańskim poczuciem humoru, i rubaszny, wielki jak niedźwiedź Jean Troillet. Wśród „ofiar" była też trudna, oparta na kontrastach męska przyjaźń z Jurkiem Kukuczką. Przyjaźń, która przyniosła obu serię wielkich osiągnięć. Ale też porażki, w których Kurtyka – w odróżnieniu od Kukuczki – widział cenny element swojego górskiego życiorysu.

Jest w tym życiorysie miejsce na zakończone niepowodzeniem wielokrotne próby na K2 i najdłuższej grani Nanga Parbat. Na racjonalne „wycofy" i nieracjonalne wahania. Na chwile zwierzęcego strachu, momenty na granicy tchórzostwa. Ale też na szczęśliwe zakończenia wszystkich górskich przygód. W swojej całej pełnej niebezpieczeństw karierze Kurtyka nie odniósł najmniejszych obrażeń. Podczas wypraw z nim żadne nieszczęście nie przytrafiło się także jego partnerom, ale MacIntyre, Kukuczka i Loretan zginęli potem w górach.

Kurtyka cieszy się sławą być może najbardziej szczęśliwego i bezpiecznego wspinacza w historii. Choć określenie „sława" nie jest do końca właściwe. Jak ognia unika rozgłosu. Dwukrotnie odmawiał przyjęcia honorowego Złotego Czekana. Wybitny słoweński alpinista Marko Prezelj mówił kiedyś na ceremonii wręczenia tych nagród: „W Słowenii »sława« oznacza też żeńskie imię Slava. Starzy ludzie mówią: »*Slava je kurba*« – sława jest kurwą, jednego dnia śpi z jednym, następnego z innym. Sława to tania pułapka zastawiana przez media, w którą ludzie pełni samozadowolenia łapią się łatwo i zostają wykorzystani".

„Te słowa są mi bardzo bliskie. Obsesyjnie bliskie – przyznawał Kurtyka. – Sława jest łaknieniem głodnych duchów. Nigdy nie syci. Gdy odchodzi, pozostawia pustkę".

Gdyby był pryncypialny, nie mielibyśmy okazji czytać jego biografii. W Kurtyce też jednak kotłują się sprzeczności: powściągliwość zmaga się z naturalną chęcią przekazania opowieści potomnym, skromność i wycofanie – z godnym osiągniętych szczytów własnym ego.

Jego ostentacyjna nieobecność w sferze publicznej rzucała się przez lata w oczy. Aura tajemniczości przyciągała jak magnes. Niechęć do kreowania wizerunku nadała wyrazisty rys jego postaci. Ucieczka od sławy była – paradoksalnie – budulcem pomnika, którym stał się w środowisku górskim za życia.

„Sztuka wolności" jak na ironię ukazała się w Polsce w tygodniu, w którym himalaizm trafił znów na medialne szczyty. ©

BARTEK DOBROCH

STANISŁAW

Mancewicz:
W obawie przed syntetykiem

Jak okiem sięgnąć, nie widać już miejsca bądź to na miękkości, bądź słabości czy to na zwykłą łagodność albo amatorszczyznę. Zważmy, że nawet leniuchowanie instruowane jest zestawami twardych i bezwzględnie brzmiących poleceń. Spacerowanie, leżenie w łóżku albo w wannie, siedzenie w fotelu, smażenie jajecznicy czy wyrażanie opinii antysemickich – popatrzmy – wszystkie tu wymienione, uchodzące przecież za czynności niespecjalistyczne, z kategorii niewymagających nadmiernych nakładów intelektualnych czy to finansowych, osaczone są przez agresywnych specjalistów, którzy nawołują nas, byśmy się jednak wyspecjalizowali.

Zmilitaryzowana bądź to uheroizowana jest niemal cała przestrzeń robienia czegokolwiek i także nierobienia. Jest to sytuacja dalece depresyjna i ćmiąca. Gospodarz dopiero co ogłosił, że za antysemityzm odpowiedzialny jest diabeł. Jest to – zauważmy – kolejna próba narzucenia przekonania, że nawet w tej najnaturalniejszej przecież kwestii niezbędna jest nam pomoc wysoko wyspecjalizowanego, sowicie wynagradzanego konsultanta, szefującego profesjonalnemu biuru obsługi klienta. Poczucie, że w branży tak świetnie opanowanej i przecież z sukcesem uprawianej w każdym kółku zainteresowań odbierana jest nam samodzielność i kreatywność, przygnębić musi każdego ambitnego człowieka. Pomijamy detal, że wiązanie tak niesympatycznej postaci popkultury z czynnością tak sympatyczną musi budzić powszechną dezorientację, by nie rzec: gorycz. Pamiętać należy, że wedle psychologów frustracja biorąca się z niedocenienia powoduje chorobliwy deficyt sukcesu, wiedzie do depresji, czasem do zaniechania aktywności i do wyuczonej bezradności, albo na odwrót: do nieodpowiedzialnych szarż. Na to pozwolić chyba nie chcemy.

Idąc tym tropem, musimy wrócić do zagadnienia, także szeroko i wciąż omawianego, czyli owej maszyny, która ma rzekomo kreować i mechanizować obraz naszej ojczyzny w świecie. Nie wracalibyśmy do tego tematu, gdyby nie oczywiste spostrzeżenie, że miałaby to być jakaś technologiczna nowość w branży nakładania makijażu. Czy ktoś sobie wyobraża, że mogłaby ona być skuteczna w czynieniu makijażu, weźmy pierwszą twarz naszej polityki z brzegu, europosłowi Czarneckiemu? Znanemu z osobliwej samodzielności. Załóżmy, że owszem, że to by się udało, co jednak – pytamy – zostałoby wtedy z twarzy europosła Czarneckiego? Z istoty i sensu bytu tego polityka? Z uczuć, które ogarniają nas, gdy go słuchamy? No co? Nic. Byłoby to zniszczenie sensu jego istnienia, co wiąże się zawsze z krzywdą i popadnięciem w zagubienie i uczucie niepotrzebności.

Skoro już jesteśmy przy polityce jakoś zagranicznej naszego kraju, spróbujmy się przespacerować bez wysoko wyspecjalizowanego sprzętu po tym luźno zakrzaczonym nieużytku. Czy tam jest potrzebna jakaś maszyna? Jakaś glebogryzarka? Jakiś narracyjny kombajn? Po co, skoro radzimy sobie grabiami i widłami? Doprawdy, są to tajemnicze i złowróżbne zamiary, mające na celu eliminację naszej naturalności czy też próbę zafałszowania prawdy samodzielnie kreowanego wizerunku. Kto niby miałby nią sterować, skoro sternik i tak jest jeden? Kto niby miałby tam naciskać guziki? Ponieważ na pytania te nie ma odpowiedzi, przychodzi nam do głowy jedna możliwość, że mianowicie w zamiarach konstruktorów maszyna taka byłaby urządzeniem z branży sztucznej inteligencji, oczywiście produkcji polskiej. Zważywszy na jakość tej niesztucznej, trudno bez lęku myśleć o jej syntetycznej odmianie. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

DOŁĄCZ DO GRONA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”!

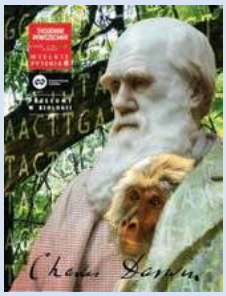

Prenumerata wydania papierowego to:

- **numer ponad 2 złote taniej niż w kiosku***
- **egzemplarz dostarczany do skrzynki pocztowej**
- **oferty lojalnościowe dla Prenumeratorów**
- **pewność otrzymania każdego wydania**

Zapraszamy!

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ:

Prenumerata	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	299 zł	349 zł
Półroczna (26 numerów)	189 zł	209 zł
Kwartalna (13 numerów)	99 zł	109 zł

Prenumeratę można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

PRENUMERATĘ ZAGRANICZNĄ można opłacić poprzez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

* w rocznej prenumeracie ekonomicznej

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

REKLAMA

MocArty
RMF CLASSIC
2017

15 RMF Classic

Wejdź na
www.rmfclassic.pl

Zagłosuj i wygraj
zaproszenia na Galę Finałową
oraz wiele innych
cennych nagród!